
3 1761 07038098 5

MARYAN DUBIECKI.

Z PRZESZŁOŚCI

(1861—1862).



KIJOW.
Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego,
1910.



Kijów, czcionkami drukarni Jana Czokołowa

ZJAZD HORODELSKI.
PIERWSZE MOJE WYGNANIE.

Zjazd horodelski.

I.

. . . .

. . . Rzadko jesień tak bywa stale, a długo pogodną, jak nią była na Bugu, Styru i Horynia porzeczach w pamiętnym roku 1861. Dni owej jesieni stały się chwilą ważną w paśmie rozwoju prądów budzącego się ducha narodowego, które wówczas coraz to szerzej od Wisły płynęły, wzdłuż całego rosyjskiego zaboru; płynęły ku wschodowi, ku najdalszym krańcom dawnej Polski. Prądy te, płynąc w kierunkach jednakich z drogami, któremi niegdyś szły cywilizacyjne wpływy Polski, wywoływały następstwa dziwne: budził się duch narodu; masy, uśpione od wielu dziesiątków lat, niespodzianie dawały znaki świadomości, iż jeszcze iskra życia tli w ich piersi...

Jakieś niepojęte, przedtem nieznane dreszcze wstrząsały organizmem społecznym na wielkich, obszarach.

Ludzie, niedość, iż z wieloletniego, letargicznego snu budzili się, ale lepszymi się budzili, niż

zasnęli. Nowa, o nieznanem mianie siła wstąpiła w jednostki i tłumy: zdawało się, iż ogień nieziemski wstąpił do serc i sumień ludzi, iż ogień ów przetopił te sumienia i serca na kruszec cenny, od którego wszelkie naleciałości obce odpadły, ogień nieziemski podniesionego uczucia narodowego strawił je — pozostały w swej pierwotnej, nieskazitelnej czystości.

Obcy wędrowiec, zwiedzający w owym pamiętnym roku Królestwo Kongresowe, Litwę i inne prowincye zaboru rosyjskiego, zdumiałby się, widząc, iż żałoba okryła całe społeczeństwo, iż czarna szata powiewa na wielkich obszarach, jakby mówiąc, że uczucie jedno i toż samo jednoczy ziemie te, od wielu lat rozjednane, iż wszyscy w tem jednem uczuciu miłości ojczyzny, we wspólnym bólu nad jej cierpieniami łączą się w jedno koło rodzinne.

Tak marzył obcy przybysz... Ktoś, znający miejscowe stosunki, ludzi, ich sprawy, pobudki tych spraw, znalazłby bezwątpienia jeszcze coś więcej, znalazłby i inne zjawiska, — zjawiska bardzo ciekawe, wytworzone na tle wypadków i chwil ówczesnych. Chwile, zaiste, nader niezwyczajnie zarysowywały się, podnosząc ku wyżynom jednostki i tłumy. Prawie rzec można, iż w powietrzu czułeś powiewy jakieś niezwykłe, umoralniające, uszlachetniające ludzi: wiara w przyszłość lepszą, nadzieja rychłego ziszczenia pragnień ogólnych, napełniała i przepełniała serca, wytwarzając nastrój ogólny radośny i niemniej uroczysty. O blizkich rozczarowaniach, o bolesnych zawodach, stojących

tuż obok, niejako za ścianą, nie myślano nawet wcale, przynajmniej wśród ogółu: przeczuwały je może jednostki, lecz nie tłumy.

Jeżeli niekiedy dolatywał do uszu ludzi, wierzących w blizką jutrzenkę wyzwolenia, huk gromu zbliżających się niebezpieczeństw, jeżeli nawet tu lub owdzie niebezpieczeństwa spadały na głowy nieprzygotowanych, umiano stawić czoło niebezpieczeństwom, umiano je znosić z godnością, męstwem, spokojem. Było to jednem ze znamion wybitnych ówczesnych chwil. Lecz nawet i w chwilach największej trwogi, najgroźniejszego niebezpieczeństwa, nie przestawano wierzyć, że spadają ciosy z chmury przelotnej, że wicher, co ją nasunął, wnet ją spędzi z widnokręgu, za którym wciąż gościć będzie słońce statecznej pogody.

* * *

Wiosna szczególnie i lato owego roku, o którym mówimy, patrzały na dziwne, przedtem w takiej liczbie niespotykane zjawiska: poważnieni od wielu lat — podawali sobie dłonie; siejący zły przykład — cofali się ze stromych ścieżek; starzy grzesznicy, źle czyniący w zakresie spraw społecznych— przestawali grzeszyć; a gdy nie mogli zmienić swego postępowania, szkodliwego dla społeczeństwa, bo mocy charakteru w nich brakło, a wiara wygasła — oddawali się rozpaczy...

Wiemy o jednym przykładzie na Ukrainie, że taki zatwardziały grzesznik w zakresie stosunków społecznych, wobec budzącej się opinii publicznej, karcącej a przynajmniej piętnującej podobne zdro-

żności — snać w chwili rozpaczy — życie sobie odebrał. Spotykano i inne podobnego rodzaju przykłady. Rehabilitacye własnego postępowania wcale nie zaliczały się w owym pamiętnym roku do zjawisk rzadkich, owszem, stały wciąż na porządku dziennym.

Prądy, budzące żywsze uczucie narodowe, umoralniały jednostki i masy: widzieliśmy obojętnych w wierze, którzy się nawracali, i po wielu latach szukali drogi do kościoła; urzędnicy Polacy wycofywali się ze swych stanowisk, gdy takowe stawały w sprzeczności z ich obowiązkami względem kraju; budziło się w nich sumienie, jak w wielu innych grupach społecznych.

Nawet uczniowie w niektórych szkołach lepiej uczyć się zaczęli; garnęli się pilnie, z zapałem do polskiej książki, do nauki mówiącej o przeszłości własnego narodu, i sami tę wiedzę zdobywali, gdyż w zaborze rosyjskim całym, szczególnie na Zabużu, szkoła usuwała od nich wszystko, co swojskiem mienić się mogło. Zapał do nauki wśród szkolnej młodzieży rósł w owych czasach pod wpływem moralnych wstrząśnień tamtoczesnych.

Duch podniosły, umoralniający, powionął ponad społeczeństwem, a więc nie opuścił i serc młodocianych, — owszem, odbijał się w onych sercach najwybitniej, i owe młode pokolenia zaczęły dokładniej spełniać swe obowiązki. Rosyanie nawet, nauczyciele szkół, robili tego rodzaju spostrzeżenia w szkołach na Wołyniu — i smucili się tem; gniewało to ich i niezmiernie drażniło.

Duch głębszego uczucia religijnego, spływający wraz z pieśnią patryotyczno-religijną ku duszom dziecięcym, budził się wśród szkolnej młodzieży, a zarazem podnosił na wyżyny ich młodociane serca, umoralniał je. Obawiano się tego w sferach szkolnej, rządowej zwierzchności: zwierzchność szkół, dążąca zwykle do zdemoralizowania młodzieży, do zatracenia w ich piersi uczuć podniośliejszych, na którychby kiełkować i rozwijać się mogły uczucia patryotyczne, z przerażeniem patrzała, iż jej destrukcyjne zabiegi w proch się rozsypują.

Były rzeczywiste powody do przerażenia się dla tych, co prowadzili robotę destrukcyjną, gdyż spostrzeżono, iż po trzydziestu prawie latach zabiegów destrukcyjnych cała ta praca poszła na marne.

Strwożona przeto takiem duchowem, niespodzianem przeobrażeniem młodocianych pokoleń, zwierzchność szkół, — rekrutująca się od r. 1832 z Zadnieprza — zaczęła myśleć o reakcyi i posyłała wciąż sprawozdania o duchu buntowniczym, który zakradł się do serc młodzieży. Denuncyacye biegły nieustannie jedna za drugą do Kijowa, gdzie rezyduje główny zwierzchnik, tak zwany „kurator“ szkół Wołynia, Podola i Ukrainy [1]).

Tak się działo w gimnazyum w Równem, na Wołyniu.

O niem mówię, bo na tę szkołę patrzałem zblizka.

---

[1]) Jak fantastycznemi były denuncyacye tych panów widzimy z pamiętników jednego z nich. (*A. Sołtanowskij*, Pamiętniki, — „Kijewskaja Starina“, r. 1890).

Głównym objawem owych „buntowniczych usposobień“ rówieńskiej szkolnej młodzieży był jej udział w ogólnej żałobie narodu i odmawianie w klasie modlitw przed i po lekcyi „klęcząc“. To zwłaszcza klęczenie podczas modlitwy mocno władzom nie podobało się.

Kapelan, a zarazem katecheta gimnazyalny, ks. Józef Twarowski, wprędce potem był wysłany bez sądu na wygnanie do najsmutniejszych okolic północnej Europy, do Powieńca, na dzikie wybrzeża jeziora Onegi, gdzie, po kilku latach niewoli, wśród wielkich prywacyj, życie zakończył.

Biedny ten człowiek, przed owymi miesiącami wstrząśnień moralnych, uważanym był przez władze rosyjskie, pod względem politycznym i religijnym, jako osoba bez zarzutu; władze widziały w nim indywiduum bierne i lubiły go nawet: rok 1861 przekształcił go stanowczo... Niższe organa policyjne, postawione na straży usposobień, myśli i czynów społeczeństwa, nie mogły wyjść z podziwu z powodu zaszłej w nim zmiany. Nie rozumiano, iż natchnienia Ducha Bożego spłynęły do jego duszy; władze chciały w tem przeobrażeniu widzieć jedynie czyjąś prowokacyę.

Budzenie się ducha narodowego, który na skrzydłach wiary unosił młodsze i starsze pokolenia, przejawiało się na szerokich obszarach rosyjskiego zaboru; inne dzielnice ziem polskich obce były temu samorzutnemu ruchowi, nie znały go, i tem samem ani wówczas, ani później, ocenić go należycie nie umiały i nie mogły.

— „Istna to moralna rewolucya“ — mawiali o całym owym ruchu Rosyanie; i, mówiąc to, słuszność mieli zupełną. Z owym moralnym przewrotem walczyć było trudno; władza rosyjska wzdychała do ruchu zbrojnego, któryby mógł być bronią poskromiony i krwią swą zalał wszystkie zdobycze owej „moralnej rewolucyi“.

Z kolei i to nadeszło.

Lecz w dniach, o których mówimy, w jesieni 1861 r., jeżeli nie gdzieindziej, to w każdym razie na Zabużu, wśród cichych dworów Wołynia, nikt nie myślał o ruchu zbrojnym.

W zachodnich okolicach Wołynia, gdzie mieszkałem, wszystkie przejawy owego moralnego przewrotu, w dniach rozpoczynających październik 1861 r., dobiegały kulminacyjnego punktu rozwoju: tłumny a wspaniały obchód na polach Horodła odbił się echem nader doniosłem wśród szerokich przestworzy Wołynia.

II.

Kilka obchodów wielkich, tłumnych, upamiętniających chwile wybitne dziejów naszych, zapisały na swych kartach roczniki roku 1861.

Poza Warszawą naliczyć ich można było liczbę dość znaczną, lecz najświetniejsze, te, co przenosiły ówczesny ruch umysłów z miast, gdzie się on rozpoczął, do wiosek, pod strzechy wieśniacze, do izb rzemieślniczych małych miasteczek, do puszcz i dalekich zakątków ziem naszych: to przedewszystkiem obchód unii lubelskiej w Kownie, to tłumne zebranie ludu na górze świętokrzyskiej, sypanie pamiątkowego kopca na pobojowisku pod Dubienką, to wreszcie, przerastający wszystkie inne, obchód pamiątki pierwszej unii ziem zaniemeńskich i zabużańskich, odbyty na polach Horodła.

Wieść o mającym się odbyć obchodzie, czyli, jak go wówczas nazywano, „zjeździe Horodelskim“ rozbiegła się nader szybko po całem Zabużu, dotarła do najbardziej ustronnych zakątków Litwy, oparła się o ujścia Wisły. Ze wszystkich tych okolic wybierano się i ciągniono do malutkiego Horodła, na lewem pobrzeżu Bugu położonego.

Tam jednostki społeczeństwa rozbitego na okruchy, do niedawna uśpionego, miały się zebrać z okolic dalekich, z dzielnic różnych, i podać sobie dłoń bratnią, stwierdzić swą obecnością, iż to, co wieki zjednoczyły, nie cementem krwi i żelaza, ale miłością, dobrą wolą, wzajemną potrzebą wspólnej obrony, nie rozsypuje się łatwo w proch pod naciskiem miecza.

Ta myśl rzucona w przestworza wielkie ziem naszych zwołała z niezmierną szybkością — tłumy.

Biegła owa myśl nie linią dróg żelaznych, na tych przestrzeniach bowiem ich wtedy nie było; biegu jej nie przyspieszała prasa — ona milczała; wieść podawana z ust do ust, wieść zapisana na bibulastym skrawku papieru, zawierającym odezwę zwołującą na „zjazd w Horodle" — to szlaki, któremi ona kroczyła... Papier bibulasty z odezwą, odbitą gdzieś w ukryciu, zużytemi czcionkami, odgrywał rolę tu mniejszą, niż prądy nieuchwytne, łączące umysły, serca i dłonie ówczesnego naszego społeczeństwa. Każda myśl dążąca do zespolenia rozjednanych, rozczłonkowanych na stany, na warstwy społeczne, z sobą zwaśnione, myśl podnosząca, oczyszczająca, dążyła tchnieniem tych powiewów nieziemskich, które niekiedy płyną ponad narodami, wytwarzając wśród nich pragnienie wyższych celów, skierowując je do osiągnięcia szczytnych ideałów. Otóż temi szlaki, niewidzialnemi dla oka zwykłego spostrzegacza, przesuwała się wieść o „zjeździe Horodelskim".

Dobiegła ona i nas, niezbyt odległych od porzecza Bugu, dobiegła jednocześnie i dalekich

przestrzenią, usadowionych nad dolną Wisłą, lub górnym Niemnem, czy też w puszczach, przez które toruje sobie drogę wązki, bo początkowy, prąd Dniepru.

Dobiegła prawie jednocześnie blizkich i dalekich odległością, ale w owej epoce zespolonych w jedną niejako rodzinę... Zespalanie się jednostek, kół towarzyskich, tak niedawno jeszcze dalekich i obcych, zespalanie się ścisłe w roku tym niezwyczajnym w jedno grono bratnie, nader często się spotykało i może być zaliczone do cech charakterystycznych epoki.

Wyjeżdżaliśmy — ja i mój brat — na ów „zjazd Horodelski" nie sami; poprzedzali nas i nam towarzyszyli rozmaici, a przed paru dniami wcale nam nieznani przybysze, którzy z dalszych jadąc okolic, do nas zajeżdżali, po bliższe wskazówki, tyczące się również „zjazdu", jak i dróg, któremi najłatwiej dostać się do Horodła.

Takich niespodzianych gości, których pierwszy raz w życiu się widziało — a potem już nigdy — dużo się przesunęło pod naszą wiejską strzechą. Ten przyjeżdżał z dalszego Wołynia, ów z Podola; tamtemu ktoś znany, innemu mało lub zupełnie nieznany dał wskazówki, polecił szukać nas i u nas zasięgać informacyi o Horodle... Bo nawet geograficzne informacye nie były do odrzucenia. Niejeden szlachcic z pod Chmielnika podolskiego, czy też Winnicy lub Berdyczowa, nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie leży owo Horodło. Jechał wszakże wielkim gościńcem ku zachodowi, pewien, że dojedzie do Bugu, a tam już pewnie wiedzą,

gdzie ta mieścina, o której poprzednio wcale nie słyszał.

Raźno i gwarno było, gdyśmy, wreszcie zabrawszy tych i owych, wyruszali małemi, leśnemi drogami, skierowując się na większy gościniec, prowadzący do Bugu.

Jechać wciąż tłumną karawaną było niepodobna. Podzieliliśmy się więc na mniejsze grupy, po dwie, trzy bryczki najwyżej i mniej więcej wszyscy mieliśmy się spotkać u przeprawy w nadbużnym Uściługu. O przeszkodach, jakie mogły nam zamknąć drogę na przeprawie przez Bug, nikt nie myślał, nikt się ich nie spodziewał, a nawet, gdyby spodziewano się — to przed niemi nie cofano się: dużo było wiary w pomyślne jutro.

Zboczywszy z większego gościńca, w pobliżu Włodzimierza-Wołyńskiego, stanęliśmy na dłuższy popas w jednej z ustronnych wiosek, we dworze obszernym, u ludzi mało czy też wcale nam nieznanych. Ale wówczas, gdy dalecy w jednej chwili blizkimi stawali się, gdy wspólne cele, jednakie dążności tak zbliżały nieznanych, iż zdawało się, że mają poza sobą długie lata zażyłych stosunków, w owym gościnnym domu byliśmy wnet jak u dawnych przyjaciół.

Dwór i dziedziniec przed nim zapełnione były. Dom brzmiał gwarem ogromnej ciżby gości, a w dziedzińcu konie, powozy i wozy tworzyły istne obozowisko, wśród którego kręciły się gwarne grupy służby, czeladzi, pachołków, różnego miana i różnej gwary.

Wszystko, co dwór i dziedziniec zapełniało, dążyło do Horodła. Podobnie, jak przed paru dniami u nas, tak i tu, różni przypadkowi przybysze z dalszych i bliższych okolic zjechali się; jedni dla informacyi, inni dla tego, że ktoś z ich znajomych zaglądnął chwilowo, by o drogę bliższą zapytać, inni wreszcie w bramę gościnnie otwartą wjeżdżali, bo przed nimi jadąca bryka w nią się wtłoczyła.

I dwór, i stajnie, i dziedziniec tworzyły obozowisko wesołe, hałaśliwe, przesuwały się przezeń typy różnorodne a nader charakterystyczne. Nie tylko wśród gości tłoczących się w izbach domostwa, ale i na dziedzińcu, wśród służby i różnych ciurów dworskich prowadzono rozmowy, świadczące, iż wypadki ówczesne znacznie się przyczyniły do podniesienia duchowego jednych, uświadomienia innych. Ci inni — ta służba dworska — w wesołych gawędkach składała dowody, iż nie napróżno jeździła ze swymi panami do Dubienki, na uroczystość sypania kopca, mającego uwiecznić pamięć bitwy 1792 roku, nie napróżno udział brali w stawianiu pamiątkowych krzyżów, które upowszechniły się nie tylko w Królestwie, lecz i na Zabuże przechodzić już zaczęły. Gdyby kto wolę i czas miał przysłuchania się ich rozmowom, ze zdumieniem dowiedziałby się, iż rozumieją znaczenie wielu zjawisk ówczesnych, iż naprędce posiedli znajomość niektórych faktów dziejowych.

Wśród ciżby różnych pachołków, nasz woźnica Jakób rej wodził, rozprawiał głośno i zamaszyście o pułkowniku nieprzyjacielskim, Palembachu, który znalazł śmierć w roku 1792, na polach Du-

bienki, i dodawał anegdotę, skądinąd prawdziwą, o napisach, jakie były na krzyżu, stojącym na jego mogile... Tej anegdoty tu przytoczyć nie możemy, ale budziła ona szalony śmiech w gronie słuchaczy Jakóba...

Podczas, gdy służba, na podcieniach stajennych, gwarzyła wesoło i zapominała o śnie, mniej jeszcze o wypoczynku myślano w izbach dworu. Obok rozpraw hałaśliwych, z wnętrza domostwa dobiegały dźwięki fortepianu: ktoś akompaniował do śpiewu; „Marsz czwartaków“ śpiewano.

„Marsz czwartaków“, pióra Włodzimierza Wolskiego, zaliczał się do piosenek wtedy bardzo popularnych; wytworzyła go chwila ówczesna. Ci „czwartacy“, przez Wolskiego opiewani, nic wspólnego nie mieli ze znakomitym pułkiem IV wojsk Królestwa kongresowego, to mieszkańcy szczytów kamienicy hr. Andrzeja Zamoyskiego, na Nowym-Świecie, to młodzież Szkoły Sztuk Pięknych, czynnie dłoń swą przykładająca do ruchu narodowego, a wśród niej, obok często wspominanego Karola Nowakowskiego, zmarłego później na Syberyi, przodował uczeń Szkoły Sztuk Pięknych, malarz „Szachem“ zwany, cieszący się wielką wziętością nietylko wśród swej artystycznej drużyny. Miał „Szach“ dużo miru u braci rzemieślniczej na „Starem mieście“ [1]). Ale to już było w rok później, kiedy stronnictwo tak zwanego ruchu zdobywało szerszy teren do działania.

[1]) „Szach“ — to Stanisław Szachowski, późniejszy profesor prawa rzymskiego, na uniwersytecie lwowskim, wielce ceniony przez młodzież akademicką. Zmarł we Lwowie w sierpniu 1906 r.

Rozbawione dwór i całe obejście nie spostrzegły, iż wieczór pogodny, księżycowy, zamienił się na noc, która w przyległej wsi głucha już była, kołysząca od dawna do snu chaty wieśniacze. Wśród rozśpiewanej, rozgwarzonej i rozmarzonej gromadki gości napróżno szukałbyś myśli niepokoju, bodaj chwilowego, iż znajdzie się na razie siła, która im przetnie drogę na lewe pobrzeże Bugu i do Horodła zamknie wejście... Dotąd nie spotykano się z większym oporem siły, nie przypuszczano, iż nadejdzie ona tak rychło; prawie zapominano, iż ona wogóle istnieje.

Zresztą, pobrzeże lewe — Chełmszczyzna, Lubelskie były związane w jakieś szeregi, posiadały komitet, tworzący ów „zjazd", wiedziano przeto, co się dzieje w innym obozie, rzucano wzrokiem na szersze przestrzenie, — na Wołyniu zaś, wszystko przedstawiało się samorzutnem, dorywczem, wcale niezorganizowanem, a zapatrzonem tylko w lewe pobrzeże Bugowe; stamtąd wyglądano i haseł i kierunków...

— Trzeba nam stąd co prędzej wyjeżdżać, — szepnął mi mój brat — obawiam się, że drogę nam zamkną na przeprawach... Jeszcze wprawdzie trzy dni prawie do 10 października, do terminu zjazdu, ale zwlekać nie należy... Oni czujniejsi od nas...

Dwakroć mi tego nie potrzeba było powtarzać. W pół godziny potem toczyła się nasza bryczka po nierównej drodze w kierunku mgły i mroków głębokich zalegających łąki nadbużne.

Poza nami, nad lasami i polami Wołynia ukazały się pierwsze brzaski bladej jutrzenki.

Minąwszy opłotki wioski, uśpionej tak głęboko, w godzinach przedświtu, iż żadne nawet psa warknięcie ciszy nie przerywało, dopiero u kołowrotu, zamykającego obszerne sioło, poza ostatnią lepianką, rzuconą samotnie na wygonie, odwrócił do nas Jakób swą twarz pogodną, zdaje się dotąd nie pozbawioną wesołych wrażeń, z powodu wspomnień o Palembachu i rzucił krótkie pytanie:

— A teraz dokąd?...

Zdobyć się na natychmiastową odpowiedź, rzeczą łatwą nie było. Myśl, iż mogą nam drogę przeciąć gdzieś u rzeki, że przewozy mogą być obsadzone, a promy ściągnięte — nie opuszczała nas od chwili wyjazdu z gościnnego domu, którego gwar już do nas przestał dolatywać. Widoczną było rzeczą, iż o prostym gościńcu przez Uściług nie podobna myśleć i wogóle niezbędnem się stawało ominięcie dróg większych, przepraw bardziej znanych.

Odbyliśmy krótką naradę, której wynikiem stał się nasz kierunek podróży na Kryłów, małą mieścinę, dokąd może nie doszły jeszcze rozkazy zamknięcia dróg, przecięcia lin u promów.

Nasze przeczucia, samorzutnie powstałe, iż dalsza podróż może być utrudnioną, zostały usprawiedliwione najzupełniej... Jeżeli u nas czujność usypiała, budziła się natomiast czujność siły rządzącej, wchodzącej wtedy właśnie na drogę przecięcia dalszych tłumnych manifestacyi. Nieświadomi dobrze okolicy, zbliżaliśmy się do wybrzeży Bugu naprzeciwko Kryłowa, mieściny ubożuchnej

i ustronnej w Królestwie, zbliżaliśmy się z nieśmiałością i obawą, czy nie błądzimy. Rzeczywiście docieraliśmy do przewozu jakąś miedzą, czy też drogą polową, utorowaną snać dorywczo przez wozy wieśniacze, wśród obszernych łęgów nadbużańskich.

Na wybrzeżu, o ile mogliśmy dojrzeć przez mgły gęste, przewoźnika ani promu nie zastaliśmy. Czekać długo było niebezpiecznie, by nie nadszedł wschód słońca, który mógł sprowadzić jakąś straż. Przeprawa pod osłoną szarej opony świtu i mgły zdawała się najbezpieczniejszą.

Brak promu w niemały kłopot nas wprawił. I oczekiwanie i wołanie mogłoby zarówno stać się niebezpiecznem. Pragnęliśmy coprędzej wydostać się na terytoryum Królestwa, gdzie spotykano wtedy większe rękojmie bezpieczeństwa, niż na Zabużu.

Pragnienia nasze prędzej się urzeczywistniły, niż przypuszczaliśmy. Zachwiała się tafla spokojnej fali rzecznej i bez szelestu, bez szmeru, z poza mgły, wypłynął prom mały, o deskach chwiejących się. Starzec w nędznym przyodziewku, w słomianym kapeluszu z dużemi skrzydłami, kierował promem.

Pospiesznie nasza bryczka wtoczyła się na pokład statku i z pod desek nieco zbutwiałych, źle zestawionych, bryznęła woda.

Przewoźnik przypatrywał się nam pilnie i coś w myśli swej rozważał; nim prom ruszył, odezwał się na wpół do siebie, na wpół do nas.

— Nigdzie pewnie nie nocowaliście, gdy tak przed świtem już u przewozu stajecie... Coś was

pędzi nagłego... czy nie ten zjazd w Horodle, od nas dużo ludzi tam wali...

A po chwili, kiedy prom już prześlizgać się zaczął po spokojnym nurcie rzeki, dodał stłumionym głosem:

— U nas teraz nie to, co u was... u nas „Boże coś Polskę“...

Słowa te nadbużańskiego wieśniaka, z Chełmszczyzny, nie były bez pewnego głębszego znaczenia; wypłynęły one z myśli nieumiejącej zdawać sobie dokładnie sprawy ze zjawisk otaczających; ale mówiący, niby dziecię, intuicyjnie odczuwał, iż działo się dokoła coś dziwnego, iż inna powiała atmosfera, że patrzy na inny jakiś okres w swem dotychczas spokojnem życiu, podobnem do wegetacyi roślin.

Przeprawiwszy się na lewy brzeg Bugu, byliśmy bezpieczni i od wszelkiego pościgu i od odcięcia od Królestwa; niemniej jednak, wobec braku wszelkich bliższych wieści, co się dzieje w Horodle, gdzie szukać organizatorów zjazdu, gdzie są miejsca przeznaczone na skupienie się przybywających? — byliśmy zupełnie bezradni.

Nic nie pozostawało, jak małemi drożynami, polnemi miedzami, ścieżkami, bodaj dłuższemi nieco, zbliżać się do miejsca zjazdu, w tej nadziei, iż gdzieś, w bliższym promieniu od Horodła, spotkamy tak nam konieczne bliższe wskazówki... Minęliśmy miasteczko Kryłów, o parę mil dalej Hrubieszów, który przebyliśmy niezatrzymując się wcale, i dalej zmierzaliśmy w kierunku Horodła polnemi drogami, omijając większy gościniec. Była to jazda dość

mozolna, nie znaliśmy bowiem dokładnie okolicy i konie nasze zaczęły uczuwać znużenie, po długiem, prawie całodziennem kręceniu się po drogach nierównych i bez żadnego dłuższego wypoczynku.

Całą naszą pociechą stała się nadzieja prędkiego dotarcia do celu podróży i wspaniała pogoda jesienna, która nam stale towarzyszyła.

Już była godzina popołudniowa; błąkając się okolnemi drożynami, zajechaliśmy do wioski, której nazwy nawet nie znaliśmy. Droga szła obok bramy dworu stojącego w głębi dziedzińca, otoczonego wspaniałemi drzewami... Sylwetka domu i ogrodu szybko przesunęły się przed okiem naszem — mijaliśmy już je — gdy niespodzianie usłyszeliśmy wołanie poza sobą. Ktoś biegł z naglącemi gestami, abyśmy się wstrzymali.

Biegł od domu, który już pozostawał za nami, chłopak lat 11 lub 12, w konfederatce i czamarce, a skoro stanęliśmy zbliżył się do nas, uniósł nieco konfederatkę, mówiąc: „Matka moja, właścicielka tej wsi, prosi panów, abyście do niej zajechali... Zapewne dążycie do Horodła, na zjazd; miasteczko wojskiem osadzone, dostać się tam niepodobna, lecz dom mej matki stoi otwarty dla wszystkich spieszących do Horodła. Zapraszam panów w imieniu mej matki“...

Wymówił to jednem tchem i, ręką wskazawszy bramę otwartą, podążył spiesznie do ganku, na którym spostrzegliśmy grupę mężczyzn, ciekawie nam przypatrujących się.

Kilka słów tego dzieciaka najzupełniej wystarczającą były informacyą o stanie rzeczy w oko-

licy, która miała stać się terenem zjazdu. Dwie doby oddzielały nas od naznaczonego dnia, a już widocznie cała sieć przeszkód, utrudnień, zarzuconą została na okolicę horodelską. W jednej chwili pozycya stała się dla nas rzeczą jasną: gościna nam ofiarowana bardzo była na czasie, bo dawała możność lepszego zorganizowania się wśród nowych okoliczności i wprowadzała do licznego grona uczestników zjazdu.

W szeroko rozwartych podwojach sieni obszernego domostwa, robiącego wrażenie nie pańskiej rezydencyi, ale dostatniego dworu szlacheckiego, powitała nas matrona poważna, odziana w grubą żałobę, poza nią stało kilka pań w czarnych sukniach, a dalej, w głębi, cała ciżba mężczyzn różnego wieku... Wszyscy oni, jak wprędce dowiedzieliśmy się, dążyli do Horodła.

Poważna matrona, witająca nas, to pani pułkownikowa Teodora z Podhorodeńskich Podhorodeńska, wdowa po Leonie Podhorodeńskim, pułkowniku wojsk polskich, którego w roku 1831, widziano na czele jazdy lubelskiej. Była to pani domu tego, otoczonego wsią nazywającą się Hrebenne.

— Moje Hrebenne — mówiła pułkownikowa wprowadzając nas do obszernej izby na prawo — leży tuż przy Horodle, obowiązkiem przeto jest obecnie otworzyć bramę, rozszerzyć, o ile się da, ściany dla wszystkich, co z daleka, z bardzo daleka spieszą, by za dni parę zejść się na polach Horodła, by sobie dłoń bratnią podać, spojrzeć w oczy i rzec, że się jeszcze żyje... Dni teraźniejsze niech

świadczą, iż chociaż rozbici na okruchy, chociaż długo zupełnie uśpieni, prawie zamarli, do snu wiecznego złożeni — jeszcze żyjemy... Przeszkadzają nam jednak okazać to światu. Horodło od dwóch dni zajęte przez wojsko; na Bugu dziś, wczoraj, zaciągnięto silne kordony; nikt z zabużańskich okolic nie będzie się mógł teraz przedrzeć, kto dotąd rzeki nie przebył... Niektórym jednak udało się omylić straże. Prawie wszyscy moi łaskawi goście, których panowie tu widzicie, są z poza Bugu; zdołali prześliznąć się niepostrzeżenie wśród czat i posterunków nadbrzeżnych... Wobec tego strzeżenia przejścia z Zabuża, wobec utrudnienia zejścia się w większe gromady, wobec zresztą, iż wielu, przekroczywszy Bug, błąka się i niewie, co z sobą począć, postanowiliśmy i my otoczyć się posterunkami, czyniącymi wywiady... Młodzież z naszej okolicy prawie cała uruchomiona; konno przebiega drogi i pola, sprowadza niewiedzących dokąd się udać i zabłąkanych do pewnych punktów, dowiaduje się o stanowiskach i ruchach wojsk, o rozporządzeniach krępujących skupianie się gromad pątniczych dążących do Horodła...

— Podczas gdy młodzież starsza czyni wywiady na dalszej przestrzeni — ciągnęła dalej swe opowiadanie pani pułkownikowa — poleciłam czuwać memu chłopcu u bramy domu i sprowadzać tu wszystkich błąkających się i niewiedzących o stanie rzeczy w miasteczku...

Tu nastąpiła wzajemna rekomendacya nas i tych, których już tam zastaliśmy. Była tych osta-

tnich spora gromadka, około trzydziestu osób, wszyscy prawie z zabużańskich okolic. Wcześniej oni nieco przemknęli się do Kongresówki, korzystając z małych, niestrzeżonych przewozów. Inni, co później nad Bug przybyli, musieli pozostać w Uściługu, miasteczku wołyńskiem, na prawem porzeczu bugowem: zbrojnie im drogę zamknięto.

W gronie oczekujących na zjazd horodelski, pod gościnnym dachem pani pułkownikowej Podhorodeńskiej, spotkaliśmy wśród innych: Władysława Ciechońskiego, ziemianina wołyńskiego, który w parę lat później zginął w walce pod Minkowcami, Maryana Wasiutyńskiego z Koziatyna, na Ukrainie, marszałka Sumowskiego z małżonką, z włodzimierskiego powiatu, młodziutkiego Władysława Cieszkowskiego, który w 1863 r. w Lubelskiem poległ, otrzymawszy mnóstwo cięć i ran, młodego Migurskiego, bratanka owego Migurskiego, wygnańca syberyjskiego, którego ucieczka niegdyś dokonana z tragicznym wynikiem, stała się tematem różnych opowiadań, opisów, i wreszcie, w dzisiejszej epoce, szeroce znany pisarz rosyjski, L. Tołstoj, napisał powiastkę na podstawie tradycyi o tej ucieczce...

———

III.

Półtory doby, czy też nieco więcej, przebyliśmy w Hrebennem, gościnnie podejmowani, w kole licznem ludzi bardzo sympatycznych. Panował tu nastrój poważny, spokojny, tem spokojniejszy, iż stosunkowo młodzieży tam było mało.

Do tej atmosfery ciszy, skupienia, wyczekiwania, przybywały niekiedy wieści z okolicy, przerywające spokojne wyczekiwanie, wzniecały niepokój, mąciły nastrój poważny. Wieści gwałtownie wpadające do Hrebennego, niby rakieta różnobarwna, głosiły o znacznych militarnych zarządzeniach w Horodle i okolicy, o bateryi dział ustawionych u wejścia do miasteczka, o silnym oddziale wojska strzegącym w Uściługu przeprawy z Wołynia do Królestwa i o licznych podjazdach kawaleryi przebiegających okolicę. Inne znowu wieści, o barwie mniej groźnej, mówiły o tłumach ludu, z miasteczek i wiosek bliższej i dalszej okolicy, tworzących zastępy pątników, ciągnące z pobożną pieśnią na ustach, z krzyżami na czele, na miejsce naznaczonego zebrania.

W przededniu „zjazdu“ wszystkie gromady pątnicze skupić się miały o jakie pół mili, czy nie-

co dalej od Horodła, zatoczyć tam wielkie obozowisko, z którego nazajutrz, o świcie, chcieli ciągnąć do miasteczka... W Hrebennem uformować zamierzano oddzielną partyę, której polecono połączyć się z ową wielką gromadą.

Lecz właśnie w przededniu zjazdu zaszedł wypadek grożący w Hrebennem zupełnem rozproszeniem tych, co się tam skupili.

Około południa, przed gankiem dworu pani Podhorodeńskiej, stanął powóz, z którego wysiadł znany wtedy w Lubelskiem ze swej niezmiernej gorliwości, pułkownik żandarmeryi, Masłowski. Wprowadzonogo do saloniku i w tejże chwili salonik zapełnił się, jakby na dane hasło, acz nikt się nie umawiał, gośćmi pani Podhorodeńskiej. Zeszliśmy się wszyscy i otoczyliśmy zwartem kołem gospodynię tego gościnnego domu... Była ona bardziej niż zwykle poważna i stała się milczącą... Pułkownik, rzuciwszy parę frazesów banalnych o pogodzie, pierwszy zagaił rozmowę, wskazującą cel swego przybycia: wszak niepodobna było przypuszczać, iż przyjechał z Lublina do Hrebennego dla wzięcia udziału w pochodzie manifestacyjnym do Horodła.

— Widzę tu liczne zebranie u pani dobrodziejki — rzekł pułkownik głosem nadzwyczaj słodkim — ci panowie są, o ile się zdaje, z dalekich okolic... Pragnę wiedzieć ich nazwiska i miejsce stałego zamieszkania... — Pańskie nazwisko? — dodał po małej przerwie, wyjmując ołówek i notatnik — pańskie nazwisko? — powtórzył, zwracając się do kogoś z najbliżej stojących.

Zagadnięty podniósł nieco głowę i miał coś odpowiedzieć, ale pani Podhorodeńska skinęła ręką i, wśród ogólnej ciszy, trochę podniesionym głosem rzekła:

— Są to wszystko krewni moi i przyjaciele. Tak łaskawi, iż goszczą u mnie... Ich nazwiska są zupełnie dla pana zbyteczne...

Tyle mocy było w jej głosie, tyle powagi imponującej w postawie, iż pułkownik zamknął książeczkę, schował ołówek i nieco zmieszany chciał jakąś obojętną rozmowę rozpocząć. Nie szło mu to jednak; po kwadransie wizytę zakończył; spiesznie pożegnał gospodynię domu i odjechał. [1])

Takim był wynik zamachu na rozproszenie nas z Hrebennego. Odtąd spędziliśmy tam jeszcze kilkanaście godzin przez nikogo nie niepokojeni.

Na prawem, wołyńskiem pobrzeżu Bugowem, w Uściługu, władze zatrzymały tłumy spóźnione, do Horodła dążące. Widziano tam, wśród licznych innych, Janusza Nowowiejskiego, Kajetana Oskierkę, Eustachego Iwanowskiego (Heleniusza), Marcina Tarnowskiego, starego żołnierza Kościuszkowskiego, b. pułkownika wojsk Ks. Warzawsk., Wincentego Piotrowskiego, marszałka pow. łuckiego, Aleksandra Wermińskiego, lekarza z Beresteczka,

---

[1]) W kilka miesięcy później dowiedziałem się z gazet, że ten pułkownik Masłowski zginął, w tejże Hrubieszowskiej okolicy, z ręki pewnego młodzieńca, który, zamordowawszy go, sobie życie odebrał. Biedny entuzyasta w ten sposób chciał obronić od uwięzienia swego nauczyciela, Bonguarda, rodem ze Szwajcaryi, posądzonego o podniecanie do dążności rewolucyjnych. — Bonguard był sądzony i na roboty galernicze skazany.

Drohojowskich z Kowelskiego... Znaczna ich część przedarła się za Bug; niektórzy napróżno dłoń wyciągali do braci za głębią Bugową święcących wspomnienie dziejowe...

Dzień następny był to pamiętny 10 października 1861 r., dzień zjazdu horodelskiego, olbrzymiej manifestacyi, o rozmiarach tembardziej imponujących, iż udział w niej wzięli mieszkańcy z dalszych dzielnic.

Świt nas powołał do spiesznego opuszczenia naszych legowisk i wzięcia udziału w pochodzie do Horodła.

Ranek dnia, pełnego blasków słonecznych i bezbrzeżnej ciszy w przyrodzie, przybywał upowity w mgły jesienne, otrząsł się jednak natychmiast z tych powijaków, zwracając się całem swem przepojonem jasnością obliczem ku ziemi, którą spiesznie osuszał z wilgoci nocnej. Jeszcze nie był się zupełnie zwolnił z opon mglistych, gdy opuszczaliśmy już dwór w Hrebennem, dążąc do miejscowej, unickiej cerkiewki. Odbyło się tam nabożeństwo przy pierwszych promieniach wschodzącego słońca, odprawione przez tamecznego parocha i łacińskiego kapłana, przybyłego z okolicy. Po wyjściu z cerkwi, poprzedzeni przez kapłanów obu obrządków, wyruszyliśmy gromadnie do Horodła. Wiedzieliśmy wybornie, podobnie jak inne kompanie, z dalszych okolic dążące na zjazd, o osadzeniu miasteczka nietylko przez wojsko, ale przez artyleryę, niemniej jednak wszystkie większe, bądź mniejsze gromadki pątnicze miały wskazane jako cel swej pielgrzymki Horodło.

Wyszliśmy z Hrebennego polnemi drożynami, miedzami, dążąc ku większemu gościńcowi, który prowadził do miasteczka. Gromadka nasza składała się z osób niewięcej jak czterdziestu, wśród których było kilkanaście kobiet, wraz z szanowną gospodynią hrebeńskiego dworu. Kapłani, prowadzący nasz zastęp, intonowali pieśni wyłącznie religijne: również i inne kompanie rządziły się tem hasłem, aby, brzmiała pieśń wyłącznie religijna, aż do chwili połączenia się wszystkich kompanii w jeden hufiec olbrzymi u granic Horodła.

Był to, zaiste, widok dziwnie rzewny ten pochód gromadki złożonej z kilkudziesięciu ludzi różnego wieku, stanu i płci, dążących przez pola i dąbrowy, ścieżkami okrytemi rosą poranną, z naszą prastarą pieśnią na ustach „Kiedy ranne wstają zorze"... Nietylko bowiem modlitwa i śpiew, wyrażające patryotyczne uczucia brzmiały wówczas u podnóża wiejskich krzyżów, lub u obejścia sielskich cmentarzy, ale nieraz zwykły „pacierz", „Pod Twoją obronę", „Kto się w opiekę", rozlegały się wśród gromadek, skupionych pod sztandarem jednej myśli, jednego uczucia...

Doszliśmy tak do większego gościńca, który prowadził do Horodła, a na nim spotkać mieliśmy wszystkie już zgrupowane pątnicze gromady; ku wielkiemu jednak naszemu zdumieniu i zafrasowaniu, nikogo nie zastaliśmy: stał tylko krzyż przydrożny, samotny, wyciągający ramiona błogosławiące ku przechodniom.

Wchodząc na większą drogę, mieliśmy przed sobą Horodło, przed którem widoczną była na ho-

ryzoncie linia wojsk, w szyku bojowym stojąca, za nami legł gościniec, którym miały nadpłynąć pątnicze zastępy — cały główny korpus olbrzymiej manifestacyi; lecz gościniec, biegnący w głąb lasu, jak okiem zajrzeć, był najzupełniej pusty, nikt nim nie dążył. Przyszliśmy zawcześnie...

Postanowiono więc u stóp krzyża przydrożnego oczekiwać na nadejście owego olbrzymiego korpusu, z którym mieliśmy się połączyć; że go jednak nie było, staliśmy się jego awangardą.

Pozycya wytworzyła się ze wszechmiar przykrą, niebezpieczną, można rzec groźną. Przednia straż pochodu narażoną została na pierwsze ciosy gromicieli zjazdu. Tworzyliśmy hufczyk mały, możliwą przeto było rzeczą, iż padnie on doszczętnie pod naciskiem jakich podjazdów zbrojnych, a liczbą nawet silnych, przebiegających gościniec. W jaki zaś sposób miano rozpraszać i gromić ów zjazd — o tem najmniejszego nie mieliśmy pojęcia...

Skupieni u stóp krzyża w kornej postawie, pieśnią religijną zapełniliśmy czas wyczekiwania. Płynęły szybko minuty — główny korpus pochodu nie nadchodził. Wreszcie dał się słyszeć, z początku głuchy, potem coraz bardziej wyraźny, tętent: jeździec czy też jeźdzcy gwałtownym galopem się zbliżali. — Gościniec w tem miejscu zataczał poza nami półkole, wpadał w las i ginął; nie zdołaliśmy więc rychło dojrzeć, kto nadjeżdża: oni, bądź nasi... Nasze posterunki konne, przebiegające okolicę, również mogły pędzić szybkim kłusem ku Horodłu... Tętent wzmagał się; nie goniec jeden lub dwóch, ale znaczny oddział jazdy pędził z lasu wprost na

nas, klęczących lub stojących pod krzyżem; podniesione pałasze wskazywały, iż ta szarża za chwilę zmiażdży całą naszą gromadkę... Przeleciała tuż koło nas, okryła chmurą pyłu i podążyła do miasteczka, na pola horodelskie. Zostaliśmy nietknięci...

Rzuciłem okiem na pątników naszych, na tę gromadkę z Hrebennego, tworzącą przednią straż zjazdu — spokój, niemal pogoda była na obliczach wszystkich. Jawne niebezpieczeństwo wrażenia żadnego nie wywierało.

I znowu po kilku minutach huk jakiś przeleciał po lesie — pędziła szalonym galopem bryczka, a na niej ktoś z ziemian okolicznych: to nasze czaty. Niby burza przeleciała bryczka około nas i dał się słyszeć z niej głos: „idą już, idą... formujcie szeregi...“

Brzmiało jeszcze echo tego głosu, gdy zaczął dolatywać nas szmer, niby powiew wichru wśród głębin lasu; szmer z dziwną szybkością wzrastał. zbliżał się i stanęła przed nami lawina tłumów ciągnących we wzorowym porządku szeregami: trzymano się za ręce. tworząc linie głów tak długie, jak szerokim był gościniec, w tem miejscu wcale nie wązki. Lawina ta olbrzymia, której końca nikt dojrzeć nie zdołał, płynęła wciąż z dziwną mocą, porywając wszystko na swej drodze spotkane... Porwała ona i nas: wytworzyliśmy jej pierwsze szeregi.

Miejscowość stawała się rozwartą, wychodziliśmy na obszerne pola horodelskie, poprzedzające miasteczko, przed niem zaś ciągnęły się długie linie

wojsk, wśród których łatwo wprawne oko mogło dojrzeć jakiś ruch niezwyczajny: skrzydła tych linii wydłużały się, wreszcie rozdzieliły się i w środku widocznie zarysowała się baterya dział: było ich ośm:

Z głównego ogniska wojsk, otaczających miasteczko, oddzielił się hufczyk niewielki i najwidoczniej zbliżał się ku nam... Lawina głów ludzkich płynęła nieustannie naprzód. Ruch jej jednak został wstrzymany, gdy się zbliżył do niej hufczyk złożony z grona wyższych oficerów, na którego czele jechał poważny, siwiejący już generał. Był to wódz całej tej małej armii, broniącej wstępu do Horodła — generał Chruszczew... Obie strony stanęły.

Zetknięcie się czoła armii z tłumami miało miejsce o parę kilometrów od miasteczka, wśród obszernej równiny, która wówczas była ścierniskiem, po zżętych już zbożach.

Fala niezmiernych tłumów zakołysała się i po paru minutach wstrzymała bieg swój. Cisza tak wielka rozpostarła się ponad tem morzem głów ludzkich, iż zdawało się, że echo skrzydeł ptaka, szybującego w przestworzu, byłoby słyszanem.

Generał Chruszczew wstrzymał konia, zażądał rozmówienia się z przywódzcami tłumów... Wysunął się na czoło pochodu ksiądz Laurysiewicz, unita, Bazylianin mąż wielkiej wymowy: on w istocie przewodził tym masom.

— Dokąd dążycie? — rzucono pytanie.

— Do Horodła... chcemy tam uczcić pamięć

wielkiej historycznej rocznicy zbratania ludów — brzmiała odpowiedź.

— Mam stanowczy rozkaz niewpuszczania was do miasta i spełnię go z całą ścisłością... — rzekł generał z lekkim gestem prawej dłoni—a po chwili dodał — ale macie pola...

Na tem rokowania skończono.

W jednej chwili pochód cały zwrócił się na lewo z gościńca i olbrzymia fala ludu zalała szerokie przestworza ściernisk. Jak gdyby za dotknięciem różczki czarodziejskiej, zwinięte chorągwie z herbami województw i ziem rozwinięto: obok krzyży i chorągwi kościelnych, które dotąd jedynie były widocznemi, powiewać zaczęły godła, budzące pamięć przeszłości, pieśń religijną zamieniono na hymny religijno-patryotyczne: obchód przybrał cechy uroczystości narodowej.

Był to widok jedyny w swoim rodzaju: tysiące ludu, o różnobarwnych strojach, zalewające obszary pól, nad niemi powiewają sztandary i godła narodowe, a w ich oku i sercu tyle zapału, tyle wiary w lepsze jutro, iż to się wypowiedzieć nieda: potrzeba było żyć wówczas, patrzeć na to własnemi oczyma, odczuwać tę potęgę ducha, która podnosiła społeczeństwo na nieznane przedtem wyżyny, aby zrozumieć czem były owe godziny „zjazdu Horodelskiego“.

Udano się na najwyższy szczyt tych pól i otoczono wzgórze chorągwiami narodowemi, środek wyżyny zajął ołtarz polowy, przy którym kapłan starzec, kapucyn, odprawił Mszę św. — Bardzo znaczny zastęp kapłanów świeckich obu obrządków

i zakonników, przeróżnych zgromadzeń, otaczał ołtarz a hymn religijno-narodowy „Boże coś Polskę“, który wówczas wszędzie się spotykał, ulatywał z wielu tysięcy piersi... Wszystkie te masy, których liczbę trudno było określić, bezbronnie tam się stawiły, acz w nich była świadomość, że w każdej chwili mogą się stać ofiarą szeregów zbrojnych. Długie linie wojsk i działa, a przy nich kanonierzy z dymiącymi lontami, dawały się widzieć zdala, uzupełniały ten niezwyczajny a malowniczy obraz. Widok dział, groźba kul i bagnetów nie zastraszały owych tłumów, mniemających, że gotowość do ofiary bezbronnej odkupieniem stanie się społeczeństwa. Tę myśl niejednokrotnie wypowiadano w owej epoce, tę myśl i w czyn wcielono... Tę myśl czytamy w owym roku w adresie cechu kotlarzy warszawskich do delegacyi miejskiej: „...Nie szczędząc życia, trzeba iść na rzeź i pokazać światu, czego chcemy — piszą kotlarze — dla tegośmy szli w procesyach, śpiewając pieśni, i uczynim to, ilekroć tego będzie wymagać potrzeba. A gdy ofiar potrzeba będzie, widać, że Bóg je wymaga; a jeżeli jeszcze więcej potrzeba, gotowiśmy losować, kto ma pójść na ofiarę, podać kark pod miecz...“ Tak mówili ludzie od młota, od kowadła, nieodrodni potomkowie czeladników Kilińskiego: i niedość, że tak mówili, lecz u nich czyn ze słowem szły zbratane... Tem samem uczuciem przejęte były i owe tysiące, klęczące, rozmodlone dokoła ołtarza, na ściernikach horodelskich łanów...

Gdy podczas podniesienia wyniosła postać kapłana hostyę uniosła ku górze i tak ją dłuższą

chwilę trzymała — pieśń ust i piersi w przestworzach zamarła; śpiewały jeno, wśród ogólnej ciszy — dusze owych tysięcy, a łkały serca...

Po Mszy św. były przemowy: ks. Laurysiewicza, i dwie ludzi świeckich — mecenasa z Lublina i jednego z licznych zastępów młodzieży. Chwila wielkiej dziejowej przeszłości w początkach XV wieku i chwila ówczesna, na tychże polach Horodła święcona, dostarczały wspaniałych tematów dla mówców. Wrażenia przemówień były wielkie: gdy zaś jeden z mówców wezwał do podpisania manifestu, w którym oświadczono, że protestują przeciw rozdarciu społeczeństwa, rzucono się tłumnie do podpisów...

Miano chwilowe złudzenie, że to, co zdziałały dziesiątki lat i moc niezmierna klęsk — już nie istnieje. Szły zastępy po kilku, lub bodaj samowtór, czy samotrzeć, do podpisu z różnych województw i ziem.

— My z Nowogródzkiego—wołano—z Nowogródzkiego!... i przeciskały się przez zwartą masę podlasiaków i sandomierzan, promienne młodością, w kontusiki przybrane, dziarskie postacie sąsiadów kolebki Mickiewicza.

— My ze Żmudzi — wołano z innej strony— i sunęli do podpisu żmudzini.

— A ja z pod Gdańska, tu jestem — w tłumie wołał Tokarski, ziemianin z Pomorza, ówczesny poseł do sejmu pruskiego i kładł swój podpis.

I tak szli z owej różnobarwnej masy zalegającej ścierniska pól horodelskich jednostki i grupy

z ziem dalekich, oddawna rozjednanych, w których już zapominano, z jakich to części ta prastara ich macierz się składała.

Podpisywano na improwizowanych stołach: deski i drągi z bryczek, z wozów licznego taboru owych tłumów dostarczały materyału na dorywcze stoły... Podpisywano spiesznie, łącząc nieraz łzę rozrzewnienia z atramentem, zalewając łzą to, co pióro skreśliło.

Jednocześnie z podpisami pracowano nad utrwaleniem tej chwili jakimś pomniczkiem. Postanowiono usypać kopczyk, a na nim wznieść krzyż... Myśl przez kogoś podjęta znalazła wnet wykonawców. Rzucono się z zapałem do sypania kopca; dłonią, czapkami noszono ziemię — i wkrótce w tem miejscu, gdzie stał ołtarz, wzniósł się kopiec usypany rękoma tysięcy.,. Na kopcu ustawiono krzyż dębowy z kory nieodarty...

Przypadek zrządził, że dłoń wieśniaka, wieśniaka z Polesia wołyńskiego, pomysłowość jego i praktyczność przyczyniły się do postawienia owego krzyża... Gdy bowiem udano się do pobliskiego lasu po drzewo na krzyż, znalazł się wśród taboru przybyłych na obchód wieśniak z Polesia wołyńskiego; widząc on, iż są bezradni dla braku siekiery, poleszuk, który nigdy z siekierą się nie rozstaje, ściął młody dąb, odciął od niego część mniejszą, przywiązał ją w braku gwoździ więzą drewnianą jako poprzeczką — i w ten sposób zaimprowizował pomnik pod Horodłem, na tej wyżynie nadbużańskiej, kędy synowie upadłego narodu zeszli się, by po 448 latach stwierdzić swą obecno-

ścią braterski sojusz ludów i ziem, sojusz oparty tylko na chrześcijańskiem uczuciu miłości i wzajemnego siebie wspierania.

Przypominano na polach Horodła te pamiętne słowa aktu owej pierwszej unii, który tak orzekał: „Niechaj więc zjednoczą się z nami miłością i braterstwem i staną się nam równymi... I przysięgamy im słowem czci i przysięgi nie opuścić ich w żadnych przeciwnościach i niebezpieczeństwach, lecz owszem stawać im ku pomocy w każdej potrzebie, udzielać im rady przeciw wszelkim zamachom nieprzyjacielskim...:“ Przypomnienie to napełniało nas na polach Horodła, po wielu wiekach, prawdziwą radością, nawet dumą najzupełniej usprawiedliwioną: ojcowie nasi w ciągu licznych pokoleń nie sprzeniewierzyli się temu, do czego ich praojcowie zobowiązali. Jeżeli chlubą było XV wieku, że się zdobył na taki dar braterstwa i to z wielką świadomością znaczenia chwili dziejowej, to niemniej przemożny to zaszczyt dla narodu, iż się nigdy nie targnął na złamanie owych zobowiązań; owszem, z biegiem czasu wprowadził te ludy w Horodle ongi zjednoczone do świątyni zupełnych swobód narodowych...

Jesienne słońce już się chyliło ku zachodowi, gdy wkopano krzyż na kopcu i zaczęto się rozjeżdżać i rozchodzić. Rozchodzono i rozjeżdżano się po całodziennem niezmiernem umęczeniu z wielkiem podniesieniem ducha i z rozjaśnionem obliczem, a radością w sercach; miano to przeświadczenie — i słusznie — że się przeżyło dzień mówiący o życiu narodu, iż się godnie uczciło ów wielki

fakt dziejowy, który, w XV wieku, niosąc pochodnię wiary i księgę praw na wschód wielkich puszcz, za Narew i Bug, rozszerzył granice ówczesnej Europy, chrześcijańskiej, dążącej do światła, a wyrwał pogaństwu i zdziczeniu spory kęs ziem...

Pierwsze moje wygnanie.

I.

„... Ziemia wygnania jest jakoby najdroższa własność naszego narodu — dorobek jego żywota, pole prac jego ducha, miejsce święte, w którem próbowane były wiara i ufność w Bogu"....

Eust. Hel.

Wstrząśnienie, wywołane na szerokich obszarach dzielnic naszych wschodnich przez „Zjazd Horodelski" wielkie było, lecz ostatnie...

W powietrzu już wisiała represya, która stłumić miała wszystkie objawy ówczesnego ruchu. Rozkaz dano — i na całej linii władz wykonawczych rozpoczęły się prześladowania.

Każda prowincya powinna była dostarczyć pewnej liczby ofiar, które porywano z domów najniespodzianiej i, nie mówiąc o powodach wygnania, deportowano.

Rzucenie tego rodzaju postrachu uważano za środek wyborny, tem skuteczniejszy, iż na całem Zabużu od lat przeszło dwudziestu nie widziano owych tajemnych wywożeń bez sądu i jawnie sta-

wianego zarzutu, a ówczesne rządy cieszyły się jeszcze reputacyą sprawiedliwych i łagodnych. Rozpocząć się mające wywożenia stały się przeto niespodzianką, acz bardzo bolesną, niemniej jednak niespodzianką. Tym razem wysyłania nie były liczne; chciano poprzestać na niewielkiej liczbie przeznaczonych na wygnanie; dowolnie brani i wywiezieni ku granicom Azyi, przeważnie byli bez innego zarzutu, oprócz podejrzeń.

Może to byli ludzie gorąco miłujący ziemię rodzinną, może entuzyaści, ale nie inicyatorowie owej — jak Rosyanie nazywali — „moralnej rewolucyi". Deportacya, która wówczas spadła na kilka domów ziemian wołyńskich, stała się ostrzeżeniem niejako, iż władze czuwają, iż nastąpił zupełny, a stanowczy zwrot w sposobie dotychczasowego postępowania władz.

Po tłumnym „obchodzie horodelskim", gdzie widziano mieszkańców różnych dzielnic, z wybrzeży ujść wiślanych i z nad górnego Niemna, w którym wzięły udział, lub na który dążyły liczne rodziny ziemian wołyńskich — wstrzymane tylko po części na przeprawie przez Bug, w miasteczku Uściługu — spadły najniespodzianiej wyżej rzeczone deportacye.

Wywożenia, chociaż bezpośrednio po dniu Horodła miały miejsce, nie zostawały wszakże w ścisłym związku z owym obchodem prastarej unii; zarządzono je w zasadzie nieco wcześniej, bo już około 18 sierpnia (now. st.) odbyła się w Petersburgu rada ministeryalna, na której postanowiono

za pomocą represyi stanowczo zgnieść kiełkujący w Polsce ruch narodowy.

W drugiej połowie października plan wchodził w wykonanie zarówno na Wołyniu, jak i w Królestwie—w różnych może nieco formach, ale dążył ku jednemu celowi.— Litwę wtedy nieco oszczędzono, zapewne dzięki ludzkości ówczesnego jej wielkorządcy, Nazimowa, który należał do generacyi lepszej swego narodu, później zaginionej. I wołyńskie deportacye wcale licznemi mienić się nie mogły. Działano na ślepo, biorąc pierwszych z brzegu, nie zdając sobie dostatecznie sprawy, czy rzeczywiście winnych dotyka ten ostracyzm. Wielkorządca kijowski, rządzący trzema prowincyami: Wołyniem, Podolem i Ukrainą — książę Hilaryon Wasilczykow, podobnie jak i wołyński gubernator ówczesny, książę Drucki-Sokoliński, smoleńszczanin, niegdyś marszałek szlachty smoleńskiej — wcale to nie byli ludzie usposobień srogich; nienawiść plemienna, później tak potężny czynnik w postępowaniu władz rosyjskich, nie przyświecała w ich czynnościach: wszystko, co trąciło pewnego rodzaju ostracyzmem, wypływało nie z ich osobistych usposobień, lecz jedynie z systemu, którego oni byli narzędziem i powolnymi sługami.

* * *

Mieszkałem wówczas na krańcach zachodnich Wołynia, tam gdzie on z dawnem Bełzkiem graniczy, o kilka kilometrów od galicyjskiego kordonu. Do tego cichego zakątka niewiele dobiegało wieści z szerszego świata; dzięki jednak przemycanemu

Czasowi, niemało wiadomości z innych dzielnic Polski otrzymywaliśmy. Na nieszczęście jednak spora doza wiadomości, które ówczesny *Czas* zawierał, kłamliwemi były; szczególniej umieszczane tam wówczas korespondencye z Warszawy, grzeszyły przesadą i fałszem, świadomie szerzonym — i w ten sposób dolewały oliwy do ognia, prowokowały niejako, zbliżały ruch zbrojny, a przynajmniej szerzyły większe wzburzenie umysłów, dodając otuchy za pomocą wielu rzeczywistych, ale też wielu i urojonych faktów. O prawdziwości jednak tego, co pisała gazeta, nikt wtedy nie wątpił.

Zbytecznemi wszakże, można rzec, były wówczas gazety.

Najciekawsze zmiany i wydarzenia wytwarzały się w nas samych... Pokolenia tamtoczesne odczuwały jakieś metamorfozy wewnętrzne, przejawiające się w dziedzinie ich ducha. Każdy to odczuwał; młody, bądź stary; każdy w owej epoce przeżywał chwile podniosłe, które rzadko wprawdzie nawiedzają niektóre społeczeństwa, nawiedzają wszakże i zostawiają ślady wybitne swego przejścia...

W tym cichym zakątku, gdzie mieszkałem, w owych dniach październikowych pogodnej jesieni, zapominaliśmy, iż tak, jak było, nie mogło być długo; zapominaliśmy, że chwile podniosłe znikną, niby sen, a rzeczywistość rychło zmrozi kwiat nadziei młodociany, a wątły.

Nadeszły dnie zniknięcia czaru nader prędko.

Podobnie jak się działo na lewych porzeczach Bugu, w Królestwie, wznieśliśmy u siebie na wsi krzyż przydrożny, na pamiątkę owych chwil pod-

niosłych, któreśmy wtedy przebywali, w intencyi, że stanie się on widomą ofiarą błagalną. Bo, że za wiele żałować, o niejedno prosić należało i długo błagać, by mgły poziome zniknęły, a ukazała się jutrzenka odrodzenia, o tem nie zapominaliśmy... Krzyż nie został poświęcony, wyczekiwaliśmy chwili stosownej, aby do proboszcza katolickiego można się było udać z prośbą o benedykcyę. Benedykcya jedynie z tej dłoni byłaby właściwa; bo nie mówiąc już o nas, i dla tej rzeszy wieśniaczej, chociaż urzędownie prawosławnej, nawróconej bowiem niegdyś z unii grozą ukazów — jedynie benedykcya katolickiego kapłana posiadała wartość; do kapłana nowej wiary nie miała ona ufności.

Lud garnął się pod olbrzymie ramiona krzyża, który z dużych, nieodartych z kory sosnowych balów wzniesiony, stał na wzgórzu przy gościńcu; korona cierniowa, upleciona z tarniny, zawisła u jego szczytu. Garnął się lud do stóp krzyża i intencyę zrozumiał, i jeszcze wtedy modlić się nie zapominał, bo tradycye unii, chociaż zamglone, żyły tam jeszcze. Nie odczytywał wszakże wieśniak, bo czytać nie umiał, nie odczytywał modlitwy błagalnej, którą dla niego brat mój (Aleksander Dubiecki † w r. 1868 w Krakowie) ułożył[1]), tłumacząc na język ludowy hymn: „Boże, coś Polskę“, gdzie każda strofa kończyła się prośbą o jedność i zgodę wśród mieszkańców jednej ziemi: *Prosym Tia Boże i Twojoho Syna — Nech wsi znow budem jak jidna rodyna.*

[1]) Patrz o nim „Rocznik Tow. histor. w Paryżu“ za r. 1868 i „Rachunki z r. 1868“.

Rozbratu szczepowego tam nie znano i dziś go tam nie spotykają. Słowa powyższej modlitwy tyczyły się przeto wyłącznie zjednoczenia ziem, poszarpanych na szmaty. O fermencie politycznym, wytwarzanym na wzgórzu św. Jura we Lwowie, nikt tam wówczas sie słyszał; dowiadywano się o nim potrosze z nadchodzących z Warszawy gazet, ze sprawozdań dziennikarskich z sejmu galicyjskiego, który wtedy właśnie rozpoczął był erę konstytucyjną naszej podkarpackiej dzielnicy, i ze świeżo wówczas wyszłej z pod prasy powieści J. Zacharyasiewicza p. t. „Św. Jur". Lud i wielu, bardzo wielu ze szlachty w okolicy, ba, i w całym kraju nie czytali ani sprawozdań sejmowych, czyniących smutne wrażenie, ani powieści Zacharyasiewicza — wcale przeto nie domyślali się istnienia poza kordonem galicyjskim aspiracyj sztucznie wzniecanych. Jeśli lud tamtych okolic, zachodniego Wołynia, myślą sięgał kiedy szerzej i na chwilę zdołał zbudować w swym umyśle ideały, przekraczające ubożuchne płoty swej chaty, nie różniły się one wcale od ideałów zacniejszych ludzi z gniazd szlacheckich.

„Czasy polskie" — jak je lud nazywał — to, wedle pojęcia tłumów, czasy lepszej przeszłości: wśród ludu spotykano gorętsze nawet niekiedy uczucia miłości dla Polski, której pamięć była jakby synonimem czegoś dawnego, a lepszego.

Niejednemu z doktrynerów wyda się to dziwnem, tak jednak było: nie spiknęły się jeszcze wtedy siły różne, złe i najgorsze, by w szatańskim sojuszu pracować nad przekształceniem bryły ludowej, wedle

modły swych dążności, celów, często bardzo dalekich od nauki Chrystusa o miłości bliźniego.

W kilka dni po wzniesieniu krzyża — zdaje się nazajutrz — dowiedzieliśmy się, że krzyż, podobny jak u nas, wznieść zamierzono u naszego, o parę mil mieszkającego sąsiada, Aleksandra Bereżeckiego, we wsi Chocimiu. Sąsiad zapraszał nas na inauguracyę pamiątkowego krzyża; ale drobna jakaś sprawa, powołująca nas obu z bratem do okolic, o kilka mil odległych, a w dwóch przeciwnych kierunkach leżących, nie pozwoliła z zaproszenia korzystać.

Wyjechaliśmy w istocie na dni kilka, mając zamiar powrócić na 22 października. Brat mój wyjechał do poleskich okolic włodzimierskiego powiatu, ja podążyłem do rówieńskiego. Rozjechaliśmy się spokojni; nic nie rokowało zmian. Ciszę naszej wioski uważaliśmy za ciszę szerszych horyzontów. Złudzenie!... Wypadki groźne w Warszawie, właśnie wówczas zaszłe, — profanacya kościołów i ich zamknięcie, stan oblężenia — jeszcze nam znanymi nie były; ani dzienniki ani prywatne o tem wieści nie nadbiegały, dróg zaś żelaznych wcale nie posiadaliśmy... *Czas* przemycany również spóźniony przychodził; posłańcy z poza kordonu niekiedy gazetę gubili, nic przeto nie wiedzieliśmy, że nastąpiła zmiana w taktyce postępowania władz, iż dnie prób twardych zaczynają się, przynajmniej dla tych dzielnic, co leżą na wschód od Królestwa.

Załatwiwszy w rówieńskiem me interesa, chciałem wracać do domu; właśnie byłem w mieście Równem, gdzie miałem zamiar dobę zabawić. Dałem stosowne polecenia memu woźnicy w zajeździe, że

jutro dopiero wyjedziemy, aby odpowiednio do tego zarządził wypoczynek i karmienie koni.

Dość apatyczny mój wóźnica, wieśniak wołyński, chłopak o niewiele odemnie młodszy, który od lat paru, czy nieco więcej, był u mnie, a podczas gdy odbywałem studya uniwersyteckie w Kijowie, on również w chwilach wolnych od służby oddawał się studyom w szkółce ludowej, ale nie czynił wielkich postępów i z książką pospolicie nie chciał mieć do czynienia, niekiedy, chociaż bardzo rzadko, pełnił funkcyę woźnicy. Tym razem również w takim charakterze występował: projekt zabawienia doby w Równem nie podobał mu się, chciał w rzeczonej kwestyi zrobić interpelacyę, zaczął więc rozmowę od czegoś, niemającego związku z obchodzącym go przedmiotem.

— Coś tu niedobrego — zaczął flegmatycznie.

— Cóż, straszy? — pytałem żartobliwie, wiedząc, iż chłopak, chociaż otrzaskany ze światem, chętnie w duchy, w upiory, wierzy.

— No tak... straszy... jużcić straszy... i to tego licha ani zażegnać ani od niego uciec...

— Zkądże ci znowu upiory w głowie?

— Ba, to gorzej od upiorów, które tylko w nocy pokazują się... Od tego, co tu słychać, ani woda święcona ani żadem u r o k nie pomoże — ciągnął chłopak powoli, oglądając się.

— Cóż tu słychać?

— Co słychać?... Co słychać? — powtarzał flegmatycznie, wciąż oglądając się. — Mówił mi sługa hotelowy, że żandarmi lecieli tędy szosą wczoraj i przedwczoraj; jakichciś panów powieźli... Było trzech

żandarmów i trzech panów. Pędzili jak opętani; wszyscy żydzi z domów powylatywali, by na nich patrzeć, jak to licho pędziło bez opamiętania. Pewnie nic innego, jak nieczysta siła ich gnała, bo gdzieżby człowiek, chociaż i pocztylion, tak nieludzko gnał konie...

Gwarzenie chłopaka trwało jeszcze chwilę, ale już na nie nie zważałem.

Jakieś przeczucia złowieszcze w myśli mej powstały. Wyszedłem z zajazdu, lecz wszystkie interesa, jakie miałem w miasteczku, w jednej chwili zniknęły, a natomiast wystąpiła myśl jedna, górująca nad innemi, górująca nad wszystkiem... Nie było to przeczucie; pewność zupełna w umyśle mym rozgościła się: pewny byłem, nie zdając sobie wcale sprawy dlaczego, pewny byłem, iż, zanim doba lub dwie upłyną, porwą mnie i powiozą gdzieś daleko, na północ... Nie umiałem sobie sprawy zdać z pewności tej, która wydawała mi się najzupełniejszą rzeczywistością... Słońce pogodnej, ciepłej jesieni w całym blasku świeciło; było to południe, a przed mym wzrokiem przesuwały się zamiecie, huragany śnieżne, białe przestworza, których końca oko dojrzeć nie zdołało. Mijała godzina, dwie — widziadła nie znikały; pewność szybkiego przeniesienia się do krajów srogiej zimy nie przestawała mnie trapić. Widziadła, sen na jawie, wziąłem za rzeczywistość i stosownie do tej rzeczywistości, tłoczącej się gwałtownie do mej wyobraźni, zacząłem się urządzać. Usnuły się wnet projekta dla chwil najbliższych.

Uważałem za rzecz słuszną natychmiast wracać do domu, a korzystając z pobytu w miasteczku,

postanowiłem zaopatrzyć się w zimowe ubranie, któreby odpowiadało tej srogiej zimie, jaką okiem mej duszy widziałem. Znaczny wydatek, zrobiony jedynie na zasadzie przeczuć, wskazywał całą moc wiary w te przeczucia, które mnie wówczas opanowały.

— Jedziemy za godzinę, za dwie... jedziemy wnet, — mówiłem do mego młodziutkiego woźnicy, śpiesznie kończąc kupowanie zimowych ubrań — jedziemy na całą noc i koni żałować nie potrzeba. Musimy co prędzej stanąć w domu...

Podczas gdy robiono przygotowania do odjazdu, kupowałem futra, berlacze, słowem, ekwipowałem się śpiesznie do krainy lodów.

W tym pośpiechu moim ekwipowania się było coś gorączkowego, ale też zarazem i dziwnego, zważywszy, że tu przeczucie jakieś dziwne, niewytłumaczone, grało rolę.

W parę godzin potem, ku wieczorowi, opuszczałem miasteczko, z nikim się nie widząc, nikogo osobiście nie pożegnawszy, lubo miałem tam znajomych i życzliwych. Myślą tylko biegłem: to pod dach zacnego lekarza, Henryka Boguckiego, ucznia niegdyś Akademii wileńskiej, człowieka przedwcześnie złamanego, z którym mnie, pomimo wielkiej lat różnicy, łączyła szczera sympatya, — to do gmachu gimnazyalnego, gdzie moje krótkotrwałe, roczne zaledwie wykłady, wywołały nawet miłość poczciwej szkolnej młodzieży, — to na tak zwaną „Górkę“, do zamiejskiej siedziby ks. Kazimierzostwa Lubomirskich, gdzie spotykałem zawsze gościnność, — to znowu stawał mi w myśli miłośnik zbiorów archiwalnych i wyborny znawca przeszłości Wołynia, Teofil Sty-

pułkowski, zajęty wówczas opracowywaniem drobnych artykułów o Wołyniu, do zaczynającej wtedy właśnie wychodzić „Encyklopedyi Powszechnej“, Samuela Orgelbranda [1]).

Tych, innych, wszystkich, żegnałem w mej myśli, żegnałem nazawsze...

W chwili gdy moja bryczka, o wcześnie zapadającym zmroku, mijała ostatnią chatę miasteczka, odezwał się dzwonek cmentarnej kaplicy, wzywający na „Anioł Pański“.

Miasto, acz powiatowe, nie miało innego kościoła nad kaplicę mogilną, ubożuchną, poza obejściem miasteczka leżącą. Wsłuchując się w głos dzwonka cmentarnego, słyszałem w jego dźwięku głos pożegnania ziemi rodzinnej; coraz wyraziściej stawało przed okiem mego ducha głębokie przeświadczenie, iż zawisł nad mą głową pewnego rodzaju przełom w życiu, przełom stanowczy... Wyparty z pod strzechy rodzinnej, miałem odtąd pójść tułaczem na lata, na życie całe...



Wśród nocy dość ciemnej, pędziłem szybko ku domowi. Nigdzie nie nocowałem, odbywałem tylko krótkie popasy. Woźnica mój nie był wtajemniczony w przeczucia tak jaskrawo zarysowujące się w mej

1) Teofil Stypułkowski w kilka lat później zmarł w pustyniach zachodniej Syberyi. Wypadki 1863 r. wyrzuciły go z kraju.—Pozostałe po nim cenne materyały historyczne, tyczące się dziejów Wołynia, umiejętnie zużytkowywał, w pewnej przynajmniej części, dziś również już zmarły, Tadeusz Jerzy Stecki.

myśli, iż poczyniłem nawet sprawunki stosowne do podróży dalekiej, do kraju śniegów, niemniej jednak i w jego umyśle powstawały jakieś przewidywania rzeczy niezwykłych, czy też obawy, bo ze szczególną troskliwością wpatrywał się we mnie i podczas długiej, nocnej jazdy, wszczynał rozmowy nacechowane niezmierną tęsknicą.

Przypuszczam, iż myśl, że się ze mną rozstanie, nurtowała w jego umyśle. Nie wiem, czy z obaw swych sprawę zdawał sobie dokładnie, czy zastanawiał się nad przyczyną smutku, co trawił go wówczas, ale w tonie i sposobie mówienia, widoczną była bezbrzeżna tęsknota. Rozmowy, które rozpoczynał, rozbrzmiewały smutno. Nie zważałem prawie na chłopaka, na jego smutkiem nacechowane zapytania i jakieś reminiscencye, które mnie z pewną tęskną zadumą do ucha wkładał, czego pospolicie nie zwykł był czynić. Bądźcobądź niezwykłe zachowanie się mego młodziutkiego woźnicy świadczyło, iż również w jego umyśle powstały i górowały smutne jakieś przeczucia, czy też obawy groźne.

Jechaliśmy noc całą i dzień cały, prawie bez dłuższego wytchnienia. Małe popasy pokrzepiały nieco nasze konie, lecz nie nasze siły: ku wieczorowi czuliśmy się znużeni. Trzynaście mil, całą dobę, bez odpoczynku prawie i bez chwilowego nawet snu, siedząc na bryczce, wzdychałem do wytchnienia i dachu. Młode siły nie wyczerpywały się, ale wzruszenie wywołało znużenie, a przynajmniej je powiększało.

Ku wieczorowi ujrzeliśmy zdaleka, historycznych wspomnień pełne, pola Beresteczka. Konie znać

poznały okolice o miedzę położone od domu, bo przyśpieszyły kroku, zapominnjąc nawet o wielkiem zmęczeniu. O zmroku wjechaliśmy do Beresteczka; woźnica moj chciał przebiedz miasteczko, nie zatrzymując się ani na chwilę — wstrzymałem go wszakże. To samo przeczucie, które na dobę przedtem kazało mi robić przygotowania do drogi długiej, zimowej, kierowało i teraz memi krokami; byłem mu niewolniczo posłuszny, jak nigdy przedtem, jak nigdy później. Pewny najzupełniej, że coś nadzwyczajnego w domu zaszło, nie omieszkałem już w miasteczku zasięgnąć języka o tem, co się u nas dzieje. Zaraz więc u wjazdu do mieściny, kazałem woźnicy skręcić w bok o kilkadziesiąt kroków, do mieszkania doktora Aleksandra Wermińskiego. Lekarz ten, człowiek wysokiej zacności, — niegdyś uczeń Akademii medycznej w Wilnie, poźniej, w ciągu lat dwunastu, od 1839 r., żołnierz-wygnaniec na Kaukazie, wreszcie po powrocie do kraju praktyk powszechnie ceniony, przyjaciel domu naszego — prawdopodobnie wiedział, co u nas zaszło w ubiegłych dniach kilku; do niego więc zajechałem, dla powzięcia języka[1]). Lekarza nie zastałem, ale ktoś z jego domowników zaraz zwrócił moją uwagę, iż prawdopodobnie wisi jakaś burza nad naszą siedzibą.

— Całe miasteczko — mówił mi ktoś — zajęte od kilku dni faktem u nas niezwykłym. Naczelnik

[1]) Dr. Aleks. Wermiński, mąż cnót niemałych i podniosłego patryotyzmu, który w r. 1863 emigrował, zmarł w Serbii około r. 1876. — Wszędzie, gdzie przebywał, jednał sobie serca, bo sam był człowiekiem potężnego serca, wysokiej moralności i uczuć szczerze religijnych.

powiatu bawił tu ze trzy doby, i konie pocztowe z sobą przywiezione trzymał, i codzień do państwa, na wieś, urzędnika na zwiady posyłał. Wszyscy sądzimy, iż coś zajść może złego u państwa...

Nie czekałem końca opowiadania. W jednej chwili byłem już na wózku, i śpiesznie pędziłem ku domowi.

Przeczucia złowieszcze, prędzej niż sądziłem, ziszczać się zaczęły. Dla mnie było to już nie domniemanem zjawiskiem w sferze przeczuć, ale faktem dotykalnym, iż mają porwać mnie lub mego brata, lub nas obu, i wywieść na wygnanie... O powód nie pytałem nawet siebie; wiedziałem, iż dowolność wciąż panowała w kraju od lat wielu, a więc i tym razem możemy się stać jej pastwą. Głuche wieści, jakie dobiegały do mnie w Równem — jak wspominałem przed chwilą — świadczyły, iż system dowolności, nieco zmodyfikowany po zgonie cesarza Mikołaja I., wznawiano znowu. Obraz wygnania na lata, na życie całe, stawał przede mną.

Szybko przebiegł mój wózek przestrzeń kilku kilometrów, oddzielającą miasteczko od naszej wioski. Droga biegła o małe ćwierć mili od granicy austryackiej. Księżyc wypłynął na wyżyny horyzontu, oświecając pola i lasy; noc, chociaż poprzedzała dzień dość późnej jesieni, piękną, cichą, ciepłą tak była, jak w lipcu. Spiesząc ku domowi, wiedziałem napewno, że jadę w ręce tych, co pojmać mnie mają. Kilkakrotnie nasuwała mi się myśl, bardzo zresztą naturalna, iż należy się ocalać; bliskość granicy mogła zachęcać do jej przekroczenia, nie myślałem wszakże o tem na seryo. Ucieczka wydawała mi

się czemś dziwnem, niewłaściwem, omal występnem. Po raz pierwszy wówczas, o ile pamiętam, powstało w mym umyśle przekonanie, iż wśród niebezpieczeństw jedyne stanowisko: nie podawać stopy wstecz ani na chwilę, nie cofać się przed grozą, bodaj ostatecznej zagłady...

Później, znacznie później, miały się skupiać nad mą głową niebezpieczeństwa stokroć groźniejsze — lecz trzymałem się raz przyjętej zasady: nie cofać się wobec potężnej dłoni przeznaczenia. Zdaje się, noc owa, o której obecnie mówię, była chwilą wytworzenia się u mnie rzeczonej zasady...

. . . .

Na granicy gruntów siedziby naszej, kończą się pola dość rozwarte, które towarzyszyły mi od miasteczka, a zaczyna się las; jego niedługie pasmo przecięte jarami, wąwozami, tworzy wjazd do wioski. Najmniejsza to i najwęższa z odnóg lasu naszej ówczesnej siedziby. Jeden zwrot w lewo z szerokiego gościńca, a już byłbym na drożynie, która przebiegając coraz to szersze leśne przestrzenie, doprowadzićby mogła do galicyjskiej granicy, odległej od punktu, gdzie się znajdowałem, zaledwie o godzinę jazdy. W chwili, gdy przemknęła mi przelotnie myśl ocalenia się, byłem na owej miedzy pól naszych, na wspomnianym zawrocie pod lasem. Woźnica, jak gdyby odpowiadał na myśl moją, dojechawszy do lasu, do zawrotu, gdzie na miedzy naszych obszarów, jako spuścizna czasów dawnych, czasów unii, stała maluczka kapliczka ze statuą św. Onufrego — wstrzymał konie...

Chcąc się uchylić od wiszących nad mą głową niebezpieczeństw, dość było wjechać z szerszego gościńca na leśną ścieżkę, która w ciągu godziny, półtorej, mogłaby doprowadzić do galicyjskiej granicy. Tego wszakże uczynić nie chciałem. Chwila nader stanowczą się stała. Potrzeba było rozstrzygnąć bez wahania się i nieodwołalnie, którą drogę obieram: wygnania, bądź tułactwa. Głos wewnętrzny ku pierwszej skłaniał—zanim poszedłem. Zdawało mi się, iż to droga obowiązku, a przedewszystkiem pragnąłem w życiu mem iść tą właśnie ścieżką.

Wysiadłem z wózka i, ukląkłszy u stóp drewnianego posągu, szukałem w modlitwie natchnienia, co czynić?...

Po chwili wstałem spokojny; modlitwa dodała mi mocy. Nie poczuwałem się do żadnej winy; niebezpieczeństwa, które otoczyć mnie miały, uważałem jako jeden z ciosów, tłumnie spadających na mój naród: całe społeczeństwo je dźwigało, dlaczegoż jednostka miała się uchylać? — byłem posłuszny woli Opatrzności.

Cicha, ciepła, prawie letnia noc, nie przypominała wcale jesieni, chociaż poprzedzała ona już dzień jesienny, dzień 11 października (st. stylu). Cisza na krawędzi lasu, gdzie wszystko było uśpione, zachęcała, usposabiała do rozmyślań, marzeń; czas nie był po temu. Nagliłem woźnicę, by się nie ociągał. Wsiedliśmy obaj szybko do wózka, a konie, radośnie parskając, jakby poznały, że dom blisko, śpiesznie przebiegły las, poza którym rozsiadła się nasza siedziba.

Las napełniała cisza niezwykła: niekiedy tylko dolatywały zdala odgłosy drewnianych dzwonków zabłąkanego bydła i szeroce rozlegało się echo turkotu naszego wózka, biegnącego po przepaścistych wąwozach, którymi wiła się droga. Minęliśmy w lesie, na maluczkiej polanie, krzyż i połączone z nim pewne wspomnienie rodzinne, minęliśmy jeszcze parę wąwozów i obwiały nas prądy zimne, wilgotne; — byliśmy we wsi, rozrzuconej na pagórkach, u stóp których legły szerokie stawiska. Zimne, wilgotne mgły ulatywały nad stawiskami, ciągnącemi się na znacznej przestrzeni. We wsi panowała głucha cisza, podobnie jak w lesie; żaden głos się nie ozwał, nawet pies nie zaszczekał; nigdzie śladu, by czuwano, chociaż pora nie była zbyt spóźnioną.

Jeszcze chwila, a wózek stanął przed gankiem naszego domu.

Ognie od frontu zgaszone zdawały się świadczyć, iż nie czuwano. W rzeczywistości wszakże inaczej się działo — czuwano i mnie z niepokojem wyglądano. Policya u nas wprawdzie nie pokazywała się, lecz różni jej agenci zdala krążyli po wiosce, zaglądali do karczmy, wszędzie tajemniczo dopytywano o coś, śledzono zdala, oględnie. Podobno włościan dopytywano się pilnie o krzyż pamiątkowy, z bierwion sosnowych, z kory nieodartych, sklecony, który — przed kilku dniami wzniesiony — górował nad wioską. Temi wiadomościami alarmującemi powitano mnie na domowym progu.

Po upływie godziny brat mój również wrócił z podróży; powtórzono mu wieści złowróżbne, które

mnie witały. Udaliśmy się na spoczynek bardzo późno i sen trwał niedługo.

*
* *

Nazajutrz (11 października star. st. 1861 r.), zaledwie późny wschód jesiennego słońca uderzył swym blaskiem w okna izby, gdzieśmy spali, stanął przed naszemi łóżkami urzędnik policyi, wzywając krótkiemi słowy, abyśmy wstawali. Wezwanie, acz lakoniczne, zrozumiałem się stało.

— Wstawać proszę!.. pojedziemy... mam rozkaz... konie czekają—mówił przybyły.

Nie pytaliśmy, z czyjego rozkazu, dokąd, z jakiego powodu nas zabierano. Pytania i protesty, żądania, by wylegitymowano się z pobudek uwięzienia, uważaliśmy za rzecz zbyteczną. Wstawaliśmy śpiesznie i zaczęliśmy się krzątać około wybioru. Nie była to rzecz łatwa.

Urzędnik na tyle względnym się okazał, iż pozwolił nam kilka godzin użyć na przygotowania do podróży, z której pospolicie albo wcale się nie wraca, albo po latach wielu.

Przeczucia niespodziane, powstałe przed paru dniami w mym umyśle, ziszczały się...

Dla mnie ten wybiór był łatwym, przynajmniej łatwiejszym: zaledwie przed trzema laty pierwsze dwudziestolecie życia mego upłynęło—byłem sam; brat zostawiał rodzinę, malutkie dzieci, interesa dość zawikłane.

Parę, czy nieco więcej godzin, jakich nam udzielono na przygotowania do podróży, przemknęły, niby jedna chwila. Krzątaliśmy się, czyniąc

śpieszne przygotowania, ale byliśmy już więźniami.— U drzwi naszych stał na ganku drab zbrojny i zdala tem samem wskazywał, iż to jest dom klęski i żałoby. Każdy przechodzień już ten dom powinien omijać, by go to samo, co nas, nie spotkało.

Gdy żegnaliśmy rodzinę i domowników, a urzędnik policyjny, wciąż w pierwszej izbie domu siedzący, coś o pośpiechu mówić zaczął, dodając, iż prawdopodobnie wywiozą nas dalej, niż do głębokiej Rosyi, bo ku środkowej Syberyi, do Tomska—wleciały, jak huragan, na dziedziniec konie rącze, zaprzężone do małego powoziku. Był to nasz sąsiad z dalszego nieco sąsiedztwa, pan Władysław Stroynowski, człowiek w sile wieku, posiadający liczne stosunki, dostatni majątek, wiele wolnego czasu. Gwałtownie, niby burza, wpadł jego powozik na dziedziniec, obiegł trawnik i miał się właśnie zatrzymać przed gankiem, gdzie bardzo wąska przestrzeń oddzielała ganek od trawnika, otoczonego żywopłotem, krzewami. W chwili, kiedy wyborny woźnica osadzał na miejscu dzielne a spocone konie, właściciel powoziku powstał, by śpiesznie wyskoczyć. Objął on jednym rzutem oka cały stan rzeczy: drab w błękitnej kurcie, z długim pałaszem, konie pocztowe z pachołkiem policyjnym, czerwony kołnierz urzędnika, wyglądający z okna, tworzyły dla bystrego spostrzegacza dostateczny komentarz naszej ówczesnej sytuacyi.

— Zawracaj! — huknął do woźnicy właściciel powoziku. I w jednej chwili konie, gwałtownie osadzane na miejscu, również gwałtownie skręciły,

ruszyły, dęba stając i chrapiąc. Woźnica dokonał w swym rodzaju arcydzieła furmańskiej sztuki.

Jeszcze jedna minuta, jedno mgnienie oka, a konie i powozik równie szybko wyleciały z dziedzińca, jak wpadły; galopem minęły bramę i tylko kurzu obłoki pozostały po niespodzianym gościu.

Ta oględność, to cofanie się dalszych, a nawet bliższych, nie spotykały się wyjątkowo; powszechny to objaw w krajach i czasach, gdzie dowolność góruje.

. . . .

Słońce już sięgało zenitu swego biegu na horyzoncie, gdy bryką pocztową, pod strażą wspomnianego urzędnika policyjnego i draba o długiej szabli, opuszczaliśmy naszą siedzibę.

Pierwszą stacyą długiej podróży, której ostateczny kierunek nie był znany ani nam, ani naszym ówczesnym strażnikom, miało być odległe o pięćdziesiąt kilometrów miasto Dubno, stolica powiatu. Tam stawić nas należało przed oblicze naczelnika powiatu, a ten o dalszych losach orzec coś miał. Późnym wieczorem przybyliśmy do Dubna: zawieziono nas do mieszkania naczelnika powiatu. Dygnitarz ten, Rosyanin, przyjął nas w sposób dość gburowaty, jakby dla zaakcentowania, iż już jesteśmy więźniami. Odtąd mieliśmy być stawiani wielekroć, na wielkich obszarach Rosyi, przed oblicza różnych maluczkich dygnitarzy, każdy z nich szorstkim był z natury, czy też starał się takim być; szorstkość ich wszakże w stosunku do przebieganych przez nas przestrzeni, zmniejszała się.

Bardzo spóźnioną godziną ulokowano nas w jakimś zajeździe, zkąd nazajutrz wyruszyliśmy w dalszą drogę, do miasta gubernialnego, Żytomierza. Nim jednak władza wykończyła pewnego rodzaju przygotowania do naszej podróży, składające się z różnych papierów urzędowych i karty pocztowej (tak zwanej *podorożni*), której wydanie w godzinach biurowych jedynie mogło być dokonanem, upłynął cały poranek.

Żydzi, którzy w owych czasach mieli zwyczaj roznosić po zajazdach towary i, zaglądając do drzwi, wychwalać je, recytując całą ich nomenklaturę, tym razem nie omieszkali toż samo uczynić; uchylali drzwi, wyliczając różne drobiazgi swego przenośnego handlu, ale rozglądnąwszy się dokładniej po izbie, i widząc draba z pałaszem pilnującego nas, szybko zmieniali monotonne tempo wołania i zwyczajną nomenklaturę: „igły, nici, ołówki, papier“ — na głośniejsze okrzyki: „futra, kożuchy, buty futrzane“. W okrzyku tym niespodzianym, brzmiała wcale nieukryta ironia. Przekupnie, zapewne ci sami, co z wiosną owego roku sprzedawali liczne patryotyczne emblemata, jako wyraz chwili tamtoczesnej, ku jesieni, gdy ukazały się widoczne znamiona represyi, gotowi byli dostarczać futer dla jadących na Syberyę; co również cechę chwili stanowiło.

Gdy już gotów był wóz, wiozący nas w dalszą podróż, i straż, którą miano zmienić w Żytomierzu, prosiliśmy o pozwolenie wejścia do pobliskiego kościoła. Pozwolono. Nie chcieliśmy opuszczać ziemi rodzinnej, bez kapłańskiego błogosławieństwa. Wyszedł starzec-zakonnik i dał nam błogosławień-

stwo na dni tułactwa, u stopni wielkiego ołtarza. Kościół, w chwilach tych porannych dnia powszedniego, był prawie pusty, u drzwi tylko brzęczały pałasze i ostrogi strażników... Podczas modlitw i benedykcyi kapłana, klęcząc u stopni przybytku, powtarzaliśmy w myśli stary hymn do Matki Boskiej, który tylekroć brzmiał w ustach konfederatów barskich, na Sybir pędzonych:

> Maryo, Matko, bądź uwielbiona!
> W każdej stronie
> My w Twej obronie...

Po chwili, na wielkim, czterokonnym wozie, cisnąc się na nim ze strażą zbrojną, i niezbrojną, bo urzędnik policyjny, który nas wywiózł z domu, wiózł i dalej— ruszyliśmy w podróż daleką, a jej kres ostateczny nikomu z jadących znanym nie był. Coś o tem miano stanowić w Żytomierzu. Nie obcą też nam była i myśl, że nas uwolnią, że za dni kilka powrót do domu nastąpi; do żadnej bowiem winy nie poczuwaliśmy się.

Dubno ówczesne jeszcze było własnością prywatną, jeszcze żywioły obce stanowiły w niem rzadkość niemałą, ale—jak wszystkie prawie miasteczka powiatowe wołyńskie—przeważnie roiło się żydowską ludnością, inteligencya zaś miejska głównie się składała z urzędników, Rosyan. To, co było polskiem, nielicznie bardzo prezentowało się w szeregach oświeceńszych warstw ludności. Wobec takiego stanu rzeczy mieściny powiatowe były na Wołyniu oazami obcego pierwiastku i gniazdami demoralizacyi wszelkiego rodzaju. Dubno w latach nieco

wcześniejszych od czasów, o których mówimy, urastało swą polskością ponad inne miasta wołyńskie; pewna liczba rodzin ziemiańskich, tam mieszkających, zjazdy doroczne bliższych i dalszych ziemian, zwane „kontraktami“, ożywiony handel wreszcie, ściągający chwilowo znaczną liczbę obywateli z dalszych nawet niekiedy okolic—to czynniki, które znacznie przyczyniały się do zachowania w mieście cech dawnych. Od 1831 r. stopniowo miasto upadało, jak wszystko, co było w tym nieszczęśliwym kraju. Ruina materyalna, rozszerzając się na wielkich obszarach, coraz bardziej postać kraju zmieniała; upadek dobrobytu wywoływał coraz widoczniejsze znikanie wyższego poziomu moralności; przejścia i osiedlania się obcych na obszarach ziemi naszej były niby tchnieniem zniszczenia, niosącem zupełną zagładę wszystkiemu, co legło na drodze tych zabójczych powiewów.

Ślady materyalnej ruiny spotykaliśmy na każdym kroku. Liczne bardzo zajazdy, mało uczęszczane, stały pustkowiem. W rynku, dość obszernym, główny gmach, gdzie odbywały się od r. 1773, od czasu wcielenia Lwowa do Austryi, przeniesione do Dubna z tego ostatniego miasta kontrakty—także świecił już wtedy zaniedbaniem, omal nie nędzą; nazywano ów gmach „globem“; był on świadkiem świetnych zebrań, balów, redut, jakiemi brzmiało niegdyś Dubno—teraz słuszniej należała się mu nazwa ruiny, ku której szybkim krokiem zbliżał się.

Szybko pędził nasz wóz, przeładowany strażą, na nim usadowioną, raczej przyczepioną,—odstraszający przechodniów... Tego rodzaju pociąg wy-

wołuje zawsze obawy i myśli smutne. Żydzi na odgłos wielkiego dzwonka, przywiązanego do dyszla, chronili się za węgły domów; z trwogą mieszczanin, ubogich przedmieść mieszkaniec, reprezentujący żywioł najzupełniej polski, potomek to bowiem, w miasteczkach zachodniej części Wołynia, wielkopolskiej, a po części mazowieckiej kolonizacyi—ustępował z drogi, zcicha się żegnając, jakby przed nadlatującą siłą nieczystą...

Przesunął się przed okiem naszem zamek dubieński, z fosami, murami, basztami, z wyniosłą bramą, z fortyfikacyami przypominającemi dość znaczną swą obronnością, że był wielekroć puklerzem Wołynia za dni najazdów tatarskich. Mury jeszcze krzepko się trzymały, dodając dużo cechy charakterystycznej do obrazu tego kraju, o starej cywilizacyi, o zasługach wielkich wobec reszty świata, dla którego on był bez zaprzeczenia tarczą w ciągu wieków. Groble i mosty, rzucone na szerokich rozlewach wód, które otaczały zamek, dodawały mu obronności, a tworzyły się ze zbiegu dwóch rzek, Ikwy i Styru. Poza temi wodami, Surmicze,— niegdyś zapewne mała osada, złożona z grajków zamkowych, grających na „surmach", dziś obszerne przedmieście;—przelecieliśmy przez nie już cwałem; i ta podróż cwałem, pędem szalonym, na nic i na nikogo nie oglądająca się, trwała aż do Żytomierza. Dźwięk przeraźliwy dzwonka, wraz z dzikim krzykiem pocztylionów, torowały drogę, a karta pocztowa *(podorożna)*, w której dozorca pocztowy na każdej stacyi czytał, iż, gwoli spraw rządowych, taki to urzędnik i straż jadą z wiadomemi,

osobami, dodawały pośpiechu, usuwały wszelkie przeszkody.

Dzień, noc, i znowu dzień upłynął w tej jeździe szybkiej, hałaśliwej, gorączkowej, dziwnie niewygodnej... Popołudniu drugiego dnia podróży, stanęliśmy u rogatek Żytomierza.

II.

Przebiegane prawie bez odpoczynku przestrzenie, od Styru i Ikwy do wybrzeży Teterowa, były to dobrze mi znane okolice. Te przestrzenie, to cały Wołyń i część Polesia ukrainnego, Polesia dawnej Kijowszczyzny. Wsie, miasta, dwory, pałace, ogrody, kościoły, ruiny Wołynia przesuwały się tak szybko, iż ani im przypatrzeć się, ani uwagi skupić około ich wspomnień niepodobna było. Ostróg już legł jedną wielką ruiną: wspaniałe, olbrzymie mury kolegium niegdyś Jezuitów tworzyły szkielet budowy, która w proch się rozsypując, jeszcze potrzebowała wielu lat, by ostatecznie w proch się rozsypać i zniknąć bez śladu, i przestać świadczyć wobec potomnych, że przeszły przez tę ziemię pokolenia z pochodniami światła, że pług pracy cywilizacyi zachodniej zorał te ugory. Już i wówczas album Wołynia, gdyby tworzonem było, składałoby się jedynie z widoków ruin.—W Zwiahlu—nawet ruin i śladów wspomnień przeszłości dopatrzeć trudno; zamek oddawna w gruzy się rozpadł, pojedyńcze kamienie, cegły i okruchy rozniesiono, rozsiano po świecie, lepianki ze szczątków klecono; a to, co tam w oko wpada, niezmiernie razi, gdyż wszędzie ślady nowego, urzędowego pokostu—ponad to nic niema;

widocznie, iż miasteczko posiada piętno jedynie nowego życia, z dawnego nic nie pozostało.

Zwiahel, jako miejscowość bez wybitnych wspomnień dziejowych, szczególnie faworyzowanym był przez rząd zaborczy, który zawsze wielką wagę przywiązywał do zacierania wspomnień przeszłości. Chętnie przyczyniano się do zatracania w starych a głośnych osadach wszystkiego, co o dawnem życiu świadczyło, co tradycyą było, aż do samego nazwiska. W ten więc sposób, wnet po zaborze, Katarzyna II obrała Zwiahel za stolicę prowincyi i zmieniła nazwisko mieściny na Nowogród Wołyński. Wprawdzie do ulokowania stolicy prowincyi w Zwiahlu nie przyszło, lokowano ją chwilowo w Zasławiu, nadając mu nazwę nową—„Izasław", ale nadana przez Katarzynę II nazwa urzędowa przylgnęła do mieściny i pozostała do dziś; nawet w ustach pewnej części inteligencyi słychać to, przedtem nieznane nazwisko: lud pozostał przy starem. Do urzędowego imienia przybył i pozór bardzo urzędowy, który nigdy Zwiahla nie odstępował.

Wołyń w owych czasach nie posiadał ani jednego kilometra kolei, a nawet dróg szosowych także tam nie widziano, prócz jednej szosy, która łączyła Kijów z Łuckiem, a była linią strategiczną. Rozpoczęta za dni Mikołaja I., prawie ćwierć wieku budowała się owa szosa i, wreszcie, gdy skończoną została, zobaczono, że ominęła wszystkie główne, stare ogniska życia tamtych okolic, przebiegając przez lasy, bagna, pustkowia, stroniąc od wiosek. Jedyna to droga szosowa ówczesnego Wołynia; ba, i obecnie, po kilku dziesiątkach lat, innej nad tę

nie spotykamy. Wjechaliśmy na nią w Zwiahlu, i aż do Żytomierza, na przestrzeni ośmdziesięciu kilometrów, przebiegaliśmy jeden wielki las lub pustkowia, wydmy piaszczyste, a na nich rozsiane szałasy, domki naprędce sklecone, co wszystko świadczyć się zdawało, że to kraj, co się ledwie poczyna zasiedlać.

Był to wynik systemu: prowadząc główne drogi bite umyślnie przez pustkowia, lasy, wytwarzało się na nich wioski o pozorze obcym; zajazdy, domy wznoszono wedle obyczaju obcego i nadawano krajowi cechę tej ziemi, z której pochodziły żywioły rządzące.

Las, pustynia, nieużytki, to parawan, poza którym dla oka obcego wędrowca starano się zamaskować rzeczywisty wygląd owych okolic, starano się ukryć, że za leśnemi przestrzeniami istnieje kraj starej cywilizacyi, która tam tak głęboko wsiąknęła, iż jej korzenie niełacno wytrzebiać się dają.

Takie maskowanie niejednokrotnie, w różnych epokach, w państwie tamecznem spotykano; oszukiwano, bądź podnosząc to, co na podniesienie nie zasługiwałó, bądź dekoracyą i kulisami zasłaniając rzeczywistość. Potemkin przed Katarzyną II i jej otoczeniem, złożonem z cudzoziemców, z posłów obcych mocarstw, ukrywał starannie, iż kraj, przez nich zwiedzany, jest pustynią. Droga, którą do Żytomierza zbliżałem się, tworzyła antytezę niejako tamtej zeszłowiecznej maskarady; kierunek jej, zabudowanie, zdawały się mówić, iż ten kraj cywilizuje się dopiero teraz i zaludnia, dzięki usiłowaniom Wschodu.

Dość wczesna popołudniowa godzina towarzyszyła naszemu wyjazdowi z lasów, za którymi o parę kilometrów ukazał się Żytomierz.

Cwałem przelecieliśmy przez miasto.

Stosownie do otrzymanych instrukcyj, urzędnik eskortujący kazał woźnicy zajechać przed dom gubernatora.

Rozkaz spełniono.

Wóz z podróżnymi i strażą przed domem gubernatora stał się w jednej chwili przedmiotem powszechnej ciekawości. Najprzód tworzyły się gromadki małe, później wzrastała liczba ciekawych, i w miarę jak się przedłużało nasze wyczekiwanie na wozie pocztowym, tłum powiększał się na placyku przed domem gubernatora i na przyległej ulicy, jednej z głównych, zapełnionej w owej porze dnia spacerującymi.

Upływał tak kwadrans po kwadransie, wreszcie godzina i więcej upłynęło; urzędnik, który nas przywiózł i udał się z papierami do przybocznego biura gubernatora, nie wracał; tłum tymczasem coraz to szczelniej zapełniał placyk, coraz węższym pierścieniem otaczał nasz wóz. Na twarzach widoczne było zainteresowanie się, tem większe, iż miasto przechodziło właśnie przed niewielu dniami — o czem nie wiedzieliśmy — przez szereg wzruszeń, wcale niezwykłych, przedtem nieznanych.

Później dopiero dowiedzieliśmy się, iż w Żytomierzu, na kilka dni przed naszem przybyciem, zaszedł tego rodzaju wypadek. — W pewien poranek zobaczono na małym wirydarzu, przylegającym do głównego placu miejskiego, a więc w centrum

miasta, krzyż olbrzymi z drzewa nieociosanego, krzyż, który przypominał bardzo krzyże pamiątkowe, stawiane wówczas w Królestwie. Policya zobaczyła ów krzyż z przerażeniem: nie wiedziano w pierwszej chwili, co czynić.

Krzyż wydał się rzeczą niebezpieczną; symbol męki przypominał, że ziemia ta jest ziemią boleści, że męki i wszelkiego rodzaju utrapienia obrały ją za siedlisko. Budził ów symbol wiary myśl wyższą, była więc godną zdeptania. Tak przynajmniej mniemali pragnący widzieć wszystko poziomem.

Rzucono się szybko ku zagładzie krzyża. Zwołani pachołkowie policyjni wykopali, wywlekli i umieścili go w cyrkule policyjnym, w t. zw. „części", gdzie pospolicie umieszczano zabranych z bruku ulicy złodziei, włóczęgów i inne wszelkiego rodzaju a płci obojga męty społeczne.

Zabranie, szczególnie zaś umieszczenie krzyża, tak niewłaściwe, uważano za profanacyę. Tłum, zwykle cichy, pokorny, znoszący tam wszystko cierpliwie, apatycznie nawet, tym razem zawrzał oburzeniem; przyczyniła się ku temu i chwila ówczesna; przychodzili ludzie do świadomości dokładniejszej tego, co ich otacza. Zebrano się przeto gromadnie przed domem gubernatora—przeważnie były to kobiety—domagając się energicznie uwolnienia krzyża z więzienia. Pan gubernator rozkazał, by deputacya stawiła się przed nim z żądaniami; z ciżbą bowiem, masami zalegającą placyk przed domem, mówić nie będzie.

Weszły, jako rzeczniczki zgromadzonego tłumu,

trzy kobiety. Gubernator mówił z niemi, ale, obiecując wynaleść dla krzyża lokal stosowniejszy, uznał te panie za prowokatorki tumultu. Uwięziono je i wysłano do miast powiatowych, gdzie je na czas dłuższy internowano. Pani Bohomolcowa pojechała do Berdyczowa, p. Pietkiewiczowa, żona Adama Pługa, do Owrucza, i p. Karolina z Zapolskich Sławkowa do Starego Konstantynowa. Osoby, posądzone o budowę i wzniesienie krzyża, jak p. Marcin Jełowicki i inni, uległy daleko sroższym losom.

Nasze przybycie do Żytomierza właśnie miało miejsce wkrótce po tym tumulcie ludowym i wysłaniu z miasta wyżej wspomnianych kobiet: owo zajście z krzyżem wywołało szereg emocyj, przedtem nieznanych w życiu miasteczka. Zapomniano na chwilę o kartach, komerażach, drobnych przygodach życia towarzyskiego; umysły były czas niejaki w stanie ekscytacyi.

Nic więc dziwnego, że ukazanie się naszej bryki pocztowej i straży zgromadziło tłumy na ulicy. Znaleźli się tam i ci, w których piersi biły gorące serca owej epoki.

— Skoro powiedzą wam, że przez dni kilka pozostaniecie w mieście na wolnej stopie, — szepnął nam ktoś z ciżby, otaczającej nasz wóz — niechybny to znak wywiezienia; to wygnanie.

I rzeczywiście, po długich wyczekiwaniach oświadczono, że zawiodą nas do głównego biura policyi; a gdy tam przyjechaliśmy, powiedziano, że tuż obok jest hotel, gdzie możemy zamieszkać na wolnej stopie dni sześć, ośm, może dłużej. Wszystko mówione było z wielką uprzejmością, wszystko posiadało cechy dobroduszności, wszystko zapowiadało,

że pochwycenie niespodziane nie skończy się wywiezieniem w głąb pustyń Rosyi, czy też Syberyi, że to tylko pomyłka, a wkrótce do ognisk rodzinnych wrócimy.

Zmierzch wieczorny towarzyszył naszemu wejściu do hotelu, tak dalece zmitrężono wożeniem po mieście.

— To wygnanie, deportacya! — szeptał znowu głos jakiś z ciżby, co nas odprowadzała do hotelu, gdzie u progu pożegnaliśmy i tłum, i straż. Ten głos przestrogi przebrzmiał bez echa w naszej myśli. Zdawało się nam, żeśmy już wolni. Znużeni udaliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz nikt z władz o nas nie pytał, nikt się nie dowiadywał; w spokoju przebyliśmy pierwszy dzień pobytu w gubernialnem mieście. Takich dni mieliśmy zapewnionych kilka, tak przynajmniej obiecywano; wierzyliśmy obietnicom; doświadczenie nie nauczyło jeszcze oględnie dawać wiarę obietnicom, nie ufać złudnym nadziejom. Na wszelki przypadek chcieliśmy jednak uwiadomić najstarszego brata naszego i wezwać, by przybył do Żytomierza. Odległość była znaczna, mil kilkanaście: poczta tam dochodziła późno i kołując; telegraf nie istniał. Posłaniec umówiony, izraelita, podjął się szybko zawieść list, nie mógł wszakże wnet wyjechać, bo to była sobota, czekał dnia następnego, a przynajmniej zachodu słońca—kres to sabatu. Sabat upłynął, posłaniec ruszył w drogę; obrachowywaliśmy dzień przybycia wzywanego: okazało się, że dni kilka co najmniej potrzeba było; lecz próżna troska o czas; wszakże obiecano dni kilka, a może i więcej, spo-

kojnego pobytu. Czasu mamy dość. Tego rodzaju uspokajające refleksye wciąż się naszej myśli nasuwały.

Ów odpoczynek sobotni wzmocnił naszą wiarę w przyszłość i utrwalił przypuszczenia, iż dalej, jak do Żytomierza, nie pojedziemy. Wypoczynek po szybkiej podróży, po przykrych wrażeniach pokrzepił siły, otworzył dziedzinę złudzeń: uspokojeni chwilowo, łudziliśmy się, iż jutro będzie pogodne.

Jutro rzeczywiście pogodnem było, lecz tylko na przestworzach nieba. Pogodna jesień stale dopisywała. W losach naszych stało się inaczej; zmiany zaszły, i to na gorsze, zmiany gwałtowne.

Ku wieczorowi pierwszego dnia wypoczynku zakołatał do naszych drzwi jeden z mych uniwersyteckich kolegów, Władysław Teleżyński; przypadek jakiś sprowadził go do miasta, dowiedział się o mem przybyciu i przyszedł odwiedzić. Gwarzyliśmy długo, a gdy wreszcie odejść chciał, zatrzymałem gościa, prosząc, by u nas zanocował; numer nasz hotełowy składał się z dwóch pokojów, przestrzeni więc mieliśmy dość, a powrót do miasta mógł się stać nieprzyjemnym, gdyż ulice przebiegały patrole zbrojne, zapewne pilnujące, azali jaki krzyż nowy nie urośnie na bruku.

Gość tem chętniej zgodził się na naszą propozycyę, iż ulokował się w dość odległym zajeździe.

Po chwili usnęliśmy; my w drugiej izdebce, gość nasz w pierwszej. Jak długo sen trwał, nie wiem; zdaje się bardzo krótko. Przerwało go kołatanie gwałtowne, brzęk ostróg, szczęk broni, posuwanie mebli. Kilka głosów naraz mówiło.

— Proszę wstawać, pan pojedzie, konie czekają, mam rozkaz — wołał ktoś w pierwszej izbie, zupełnie jeszcze ciemnej, bo okiennice były zamknięte.

Apostrofa ta, wygłoszona po polsku, ale tonem stanowczym, tyczyła się naszego gościa.

Stopniowo zaczęliśmy się oryentować; domyślaliśmy się, iż spada na nas jakiś najazd; odemknięto okiennice, promienie jaskrawo wschodzącego słońca oświeciły całą sytuacyę. Przyjechano po nas, by znowu porwać i wieźć dalej. Miejscowa policya, której zalecono wykonać rozkaz co najspiesznej, gromadnie wtargnęła do zajazdu, mając na szarym końcu swego licznego korowodu znaczny zastęp pachołków, zalegający korytarz i dziedziniec, i wreszcie czwórkę pocztową, która już stała w pogotowiu u drzwi domostwa.

Dla tego zbrojnego tłumu, kto na placu, to nieprzyjaciel; każdy, pierwszy lepszy spotkany, nieprzyjacielem mienić się mógł. Pierwszym, co im wpadł pod rękę w pierwszej izbie, był to nasz gość; budzono go więc, nie pytając wcale o nazwisko, wyciągano z łóżka, by wieźć na wygnanie. Że jednak znaleziono w izbie jednego tylko, wtargnięto do drugiej izdebki i ku wielkiemu zdziwieniu swemu, spostrzeżono nas dwóch. Rozkaz brzmiał, by wywieść dwóch, tu zaś aż trzech miano w ręku; było to zawiele. Kogo zabrać, a kogo zostawić, nie wiedziano dokładnie; nie mogli, ale też i nie chcieli oryentować się; nie chodziło im tyle o osoby, ile o liczbę.

Wytłumaczyliśmy wreszcie, że ten, w pierwszej izbie spotkany, gościem naszym, my zaś jesteśmy ci zapewne, po których przyjechano.

Nie sprawdzano tożsamości osób, uwierzono słowom, nagląc tylko niezmiernie do szybkiego wyjazdu.

Po kwadransie, czy też dwóch, już byliśmy gotowi; zanim jednak nadeszła chwila wsiadania, ktoś z nas zapytał, dokąd nas wiozą. Nie było na to odpowiedzi stanowczej; wymijająco powiedziano, że podoficer eskortujący ma instrukcyę i kartę pocztową; te wskazują kierunek, w drodze dowiemy się reszty.

Przy ciagłem nagleniu ubraliśmy się pośpiesznie: wielka ilość pachołków pakowała nasze rzeczy, załatwiała drobne, niepokończone przygotowania do podróży.

Podczas krzątania się pachołków policyjnych w izbach hotelowych jeden z urzędników, przewodniczących całej tej krzątaninie, opowiadał o pomyślnościach, któremi się roją ziemie wygnania. Brak uważnych słuchaczy nie zrażał opowiadającego.

— Gdy po siedmnastu, czy wielu tam latach wrócicie — mówił on — sami przyznacie panowie, że tam dobrze.

Było to niezgrabne sadzenie się na osładzanie chwil przykrych; kto wie, może i z dobrą intencyą czynione.

Załatwiano za nas wszystko śpiesznie, byleśmy coprędzej wyruszyli poza rogatki. Pamiętam, iż wśród drobnych interesów naszych, przez owych wyręczycieli załatwianych, był sprawunek w zakła-

dzie zegarmistrza; z tego powodu dowiedziałem się o przykrości, której doświadczyła ta stara firma zegarmistrzowska. Na wystawie magazynu od lat wielu ponad zegarem czytano wypisaną po łacinie znaną sentencyę: „Nadejdzie godzina, która ci powie — odejdź“. W dniach ówczesnej represyi wydało się władzom, iż odwieczna prawda ich się tylko tyczy, nie zaś całego rodzaju ludzkiego. Narobiono dużo hałasu. Biedny zegarmistrz, który w sukcesyi po przodkach otrzymał firmę i znak z wypisaną na nim sentencyą, i całe życie na swój szyld patrzał obojętnie, nie domyślając się, że zbrodniczym można go mienić, zniewolony został do usunięcia napisu łacińskiego, tudzież karę jakąś zapłacił. Czy jednak w ten sposób wstrzymano bieg przeznaczeń na wielkim zegarze dziejowym, czy niedoścignione zamiary Przedwiecznego innymi pójdą tory?

* * *

Tuż zaraz za bramą gospody spotkaliśmy parę dorożek ze znajomymi, którzy, dowiedziawszy się o wywożeniu nas, śpieszyli, by rzucić słowo pożegnania. Z wysokości wozu pocztowego rzuciliśmy im „do widzenia“; zatrzymywać się nie pozwolono. Ci, co nas z gospody zabierali, z całą ścisłością eskortowali na kilku fiakrach aż do rogatek północnych miasta, do których bocznemi ulicami dojechaliśmy. Robiło to wrażenie, jakby dotykalnie, przekonać się chciano, iż już wyjechaliśmy.

Godzina wczesna była bardzo, a że przytem dzień niedzielny, więc się ruch nieco później zaczynał: ulice jeszcze prawie nie miały przechodniów.

Tu i owdzie wieśniaczek mała gromadka, na targ śpieszących, służąca z koszykiem, stróż, leniwie otwierający bramę, parę niewieścich czarnych, sukien żałobnych — żałoba wówczas była powszechną—to wszystko, co spotkaliśmy na ulicach miasta. Wóz nasz pocztowy nie przeszedł jednak bez zwrócenia uwagi nielicznych przechodniów. Żołnierz zbrojny, siedzący na przedniem siedzeniu, twarzą zwrócony do nas, wymownie wskazywał, jaki to pociąg dążył śpiesznie ku rogatkom. Tak zwykle wywożono na wygnanie.

Kiedy mijaliśmy jeden z węgłów ulic, postać jakaś starca żebraka, skulona przy murze, nagle wyprostowała się i, wpatrzywszy się w nasz wóz, wielkiem znakiem krzyża, zakreślonym w powietrzu, błogosławiła. Uchyliliśmy czapki i głowy; uczucie głębokiego rozrzewnienia biegło na skrzydłach myśli z podzięką ku tej postaci siermiężnej, nieznanej, żegnającej nieznanych.

U rogatek północnych, zwanych „petersburskiemi", które prowadzą na trakt owrucki, dorożki z policyą zawróciły ku miastu, rozkaz zwierzchności spełniono; byli już znać spokojni, że nas wyrzucono za miasto.

Jeszcze za rogatkami dopędziły nas mocno spienionymi końmi dwa powozy tych, co pragnęli dłonie uścisnąć, kilka słów przemówić, myślą, uczuciem podzielić się z odjeżdżającymi. Byli to krewni nasi. Pożegnanie trwało chwilkę, ale niczem już nie byliśmy skrępowani. Straż krótkiej rozmowie wcale nie przeszkadzała. Tam dowiedzieliśmy się, że do Wiatki jedziemy.

Nasz strażnik, człowiek niemłody, podoficer wysłużony, opatrzony był w „kartę pocztową“ *(podorożnia)*, która polecała szybko nas ekspedyować na pocztach; była to bowiem ceduła, wystawiona z tym ważnym dodatkiem, iż się jedzie „gwoli potrzebom rządowym“ i wiezie się „osoby wiadome“. Ta maska anonimu miała nam towarzyszyć wciąż: nazwiska nasze znikały; byliśmy jedynie „wiadomemi osobami“. Strażnik posiadał w swem ręku pieniądze na koszta podróży i na swój powrót; instrukcya przytem tajemna, której pilnie przestrzegał, lecz wcale jej nie pokazywał, wskazywała mu kierunek drogi i zalecała wieźć szybko. Na koszta utrzymania swego miał zapewnione dwa grosze polskie od kilometra przebieganej przestrzeni: im większą liczbę kilometrów dziennie przebiegał, tem większą ilość strawnego otrzymywał. Było to niejako do pośpiechu zachętą.

Udało się nam wytłumaczyć naszemu strażnikowi, że zawsze odbierze swe strawne, bez względu, czy tę przestrzeń większą, czy też mniejszą, ilość dni jechać będzie; wydatków nie poniesie zbytecznych, zapewnimy mu bowiem w drodze utrzymanie, a ze swej strony żądamy jazdy z noclegami i wypoczynkiem, gdybyśmy potrzebę takowego widzieli. Traktat na tych zasadach stanął. Byliśmy przeto zabezpieczeni od szykan i zbytecznego naglenia. Jechaliśmy do Wiatki, a więc na krańce zaludnionego lądu, na północny wschód Europy, ku podgórzom Uralu, do dzikich puszcz, do których wcale śpieszyć nie mieliśmy powodu, postanowiliśmy przeto przedłużać podróż, o ile się uda. Podróż była jedy-

ną wytchnienia chwilą przed długimi dniami internowania, którego ani warunki, ani czas trwania przewidzieć się nie dawały.

Wywożenia na wygnanie odbywały się w owych czasach wedle pewnych, ustalonych, niezmieniających się nigdy przepisów, które powstały jeszcze za dni pierwszych wygnańców, jacy szli z Wołynia w r. 1794. Wówczas przez Owruckie i z Owruckiego przez Białoruś wywożono; dla nas również Owruckie i Mozyrskie Polesie, a wreszcie Mińskie i Mścisławskie województwa stały się gościńcem, odmykającym bramy niewoli.

Wśród lasów i bagien Polesia gościniec posiadał wówczas cechy dziwnie patryarchalne, a może i dziś takowe posiada. Brak przejeżdżających sprawiał, iż zarastał on w znacznej części trawą; cisza zalegała go pospolicie, którą przerywały niekiedy wózki wieśniacze lub, jeszcze rzadziej, powoli wlokące się bryki żydowskie, naładowane towarami. Ta cisza miała dla nas swe właściwości dodatnie: nie spotykaliśmy się z tem, co mogło niemile razić lub niepokoić; na stacyjkach pocztowych, pozbawionych wszelkich znamion urzędowych,—były to zwyczajne dworki szlacheckie, lub chaty wieśniacze z nieco lepszym wyglądem—mogliśmy rozlokowywać się na noc, spokojni, iż nikt nam spoczynku nie zakłóci. Unikaliśmy tylko noclegów w miastach i miasteczkach, gdzie łatwiej było o zetknięcie się, wcale nieprzyjemne, z czerwonym kołnierzem władzy jakiejś lub też z pałaszem wojskowym. Nasz stróż, który traktatu wiernie dochowywał, również unikał wszelkiego z władzami spotkania, chociaż o

tym wstręcie do mundurów nigdy nie mówił. Człowiek to był cichy, milczący, spełniający swój obowiązek ściśle, ale bez pedanteryi.

Tak więc podróż w stosunkach znośnych i bardzo nawet znośnych warunkach odbywała się, szczególnie gdy byliśmy jeszcze na terytoryum dawnej Rzplitej.

Tak znośnych warunków w rok, w półtora roku później już niespotykano.

Przez Owrucz przesunęliśmy się w dzień; ktoś tam na nasze spotkanie wyszedł, ale nie zatrzymywaliśmy się w mieście dłużej nad minut kilka, niezbędnych dla przeprzęgu koni. Zmieniono konie, wóz, rzuciliśmy słówko podzięki osobom, co na stacyę wyszły, by nas witać i żegnać zarazem—i zniknęły przed mem okiem ubogie domki smutnej mieściny.

Granica Owruckiego od Mozyrskiego, granica zarazem dawnych województw koronnych od województw litewskich, wyraziście zarysowywała się nam na pierwszy rzut oka. Z wysokości wózka pocztowego mogliśmy łatwo rozróżnić, że linią dawnej miedzy Korony i Litwy biegła etnograficzna dwóch szczepów granica: rusińskiego i białoruskiego. Obecnie to granica gubernii Mińskiej od północno-wschodniego węgła gubernii Wołyńskiej. Poza nami pozostały owe chaty białe, które są wybitną charakterystyką rusińskiego osiedlenia się i wszędzie spotykają się gdzie tylko Rusin osiada, bodaj w okolicach Korei, na wybrzeżach jeziora Chankà, w sąsiedztwie Oceanu Spokojnego, bo i tam od lat niewielu są ich kolonie. Zamiast miłych oku, białych ścian lepianek,

powitały nas również ubogie może nawet uboższe, a bardziej smutne, z bierwion zaledwie ociosanych sklecone, dymem okopcone chaty białoruskiego wieśniaka. Wraz z temi chatami o barwie ciemnej, o obejściu ubogiem, sama przyroda zmieniła niejako swe oblicze. Polesie to już głębokie, bagna na ogromnych legły przestrzeniach, woda wytryska zpod kół i wszędzie prześwieca, w większych lub mniejszych zbiornikach. Las, woda, trzęsawiska, chaty wlące się, w ziemię zapadłe, od dymu zczerniałe, a nad tem niebo szare, pochmurne, z bardzo rzadkim przebłyskiem słońca—to Mozyrskie Polesie, przedsionek Litwy, przez które powoli przesuwaliśmy się.

Pogoda, stale nam towarzysząca, tu już, wśród bagien, nieprzebytych moczarów, wśród niezbrodzonych trzęsawisk, opuściła nas, i jej powrotu, przy najśmielszych nawet nadziejach, niepodobna było spodziewać się, lub w dniach bliższego jutra wyglądać: spóźnione dni jesienne na niebie świeciły. Słoty rozgościły się w najlepsze, końca ich nikt nie przewidywał; pocztylioni poleszucy, rozglądając się po mrocznych widnokręgach swych błot, grobli i smutnych trzebieży, wróżyli wciąż niepogodę, wciąż deszcze aż do dni mroźnych bliskiej już zimy.

Deszcze dodawały ciemnych barw do obrazu ponurego tych ziem, po sierocemu uposażonych. Lasy i mgły, przez całe dni nie znikające, zacieśniały horyzont. Jednostajność nużyła oko, myśl smutnemi ścieżki kroczyła.

Wszystko tam inaczej, napozór ujemniej przedstawiało się, niż na Wołyniu. Kraj zaiste zapadły,

mglisty, senny, niby zapomniany; a jednak pod powłoką ubóstwa, pod osłoną niezmiernej prostoty, pod kubrakiem z samodziału, przy obyczaju niewykwintnym, biły serca gorące, uczucia dla kraju szczere a głębokie, jak owe bezdenne tonie ich trzęsawisk.

Minąwszy Mozyrz, około którego spotykamy oazę niejako innych, weselszych widoków, spotykamy wzgórza wyniosłe, znowu poza Prypecią wpada się w krainę nizin, moczarów, znowu kraj coraz to bardziej senny, mglisty, znowu oko niema na czem spocząć, a myśl snuje coraz smutniejsze obrazy. A jednak w tym to właśnie zapomnianym od świata zakątku Polesia biły serca gorące, chociaż nikt tego ani poznać, ani ocenićby nie zdołał na pierwszy rzut oka. Mieliśmy tego parę przykładów, chociaż nie nastręczała się wcale możność przypatrzenia się bliżej ludziom i stosunkom.

Zdarzyło się nam w pewien bardzo słotny dzień jesienny, gdy droga stała się zbyt błotnistą i ciężką nadzwyczaj, ujechać przestrzeń wcale niewielką. Strażnik nasz biadał, iż stare jego kości zbyt się utrzęsły na poleskich groblach, iż przestrasza go przestrzeń, którą ma przebiedz do Wiatki,— przestrzeń zaiste olbrzymia — chętnie więc przystał na projekt wcześniejszego noclegu.

Zaledwie upłynęły dwie godziny wypoczynku, nadbiegła sztafeta, dokądciś daleko jadąca, która oprócz pakietu, z którym ją wysłano, wiozła ekspedycyę do nas, dorywczo dodaną i adresowaną do „osób wiadowych“, do tego punktu, gdzieby nas ów kuryer dopędził. Nazwiska nasze znanemi nie były,

nie można przeto było inaczej adresować. Pakiet zawierał zwrot tego, co zapłaciliśmy za ostatni nocleg, i kartkę, ołówkiem śpiesznie nakreśloną, w której ktoś donosił, iż, zostawiając zapłatę, wyrządziliśmy przykrość, gościnność bowiem jest obowiązkiem każdego ziomka w stosunku do wygnańców.

Zanim minęliśmy ziemie dawnej Polski, kilkakrotnie starano się nas podejmować na stacyach. Unikaliśmy tego, lubo nie zawsze udało się uniknąć objawów serdecznego współczucia dla nieznanych nawet z nazwiska.

Za rzeką Berezyną, za miastem Rohaczowem, poza wybrzeżami górnego Dniepru, charakter kraju znacznie się zmienił. Wjechaliśmy do dzielnicy najdawniej odpadłej od całości narodowej. Kraj tu się zaczął już nie tak nizki; okolice błot i moczarów poza nami pozostały; ziemie rozpoczęły się wyższe, suchsze, ale postać wszystkiego, co do traktu przylegało, nosiła coraz bardziej obcą cechę. Od Rohaczowa coraz dobitniej to się uwydatniało; tam bowiem wjechaliśmy na wielki szosowy gościniec, łączący Brześć z Moskwą. Szosowa droga, największa arterya komunikacyjna środkowej Rosyi z Zachodem, posiadała pokost najzupełniej obcy. Stacye wspaniałe, murowane, służba, zaprzęgi, słowem wszystko innem, obcem było. Miasteczka, spotykane na tym wielkim, murowanym gościńcu, dążącym ku wschodowi, — Rohaczów, Propojsk, Czeryków — już tchnęły obyczajem owego obcego Wschodu, i jego język brzmiał prawie wyłącznie dokoła. Żałowaliśmy bagien mozyrskich, a wśród nich ubożuchnych wiosek poleskich, które jeszcze zachowały dawną swoj-

skość. Lecz niektóre wskazówki odkrywały nieraz niespodzianie drugą stronę medalu: ów cudzoziemski pokost dekoracyę jedynie tworzył, w znacznej części przynajmniej; rzeczywistość inna istniała pod grubym pokładem naleciałości.

Te niespodziane wskazówki nawet nam, przebiegającym śpiesznie ten kraj i w warunkach wyjątkowych, nasuwały się. Turysta mógłby ich więcej wyszukać, dopatrzeć. Nasuwały się one nam w dawnem Mścisławskiem województwie, a więc na najdalszych wschodnich kończynach starej Rzplitej.

Zanim przebyliśmy ową miedzę dawnych kończyn, zdarzyła się możność wysłuchania mszy św., w Krzyczewie. Los to zrządził, jakby na pożegnanie ziemi ojczystej. W tym dniu wieczorem mieliśmy przekroczyć starą polską granicę z r. 1772. Było to w dniu Zaduszek.

Wieczorem późnym rzeczywiście dotarliśmy do owej miedzy granicznej, prastarej, w rzeczywistości niczem nieoznaczonej, na mapach niezawsze teraz łatwej do odnalezienia, w pamięci ludu wszakże żyjącej.

Noc była zimna, wietrzna, śnieg po raz pierwszy pokazał się; przybył na skrzydłach wschodniego wiatru, zaczął od zamieci. Jechaliśmy dość długo wśród śnieżycy, jechaliśmy, pędząc cwałem po równym, murowanym gościńcu. Wreszcie woźnica zwolnił biegu i w otwartem polu nagle konie wstrzymał.

Mniemałem, że potrzebuje coś poprawić około uprzęży; on jednak z kozła nie zsiadał, lecz wska-

zując krótkim swym biczem na coś szarzejącego wśród śnieżycy, powiedział po białorusku:

— To Polski granica!

Podnieśliśmy głowy, szeroko rozwarły się oczy, a mocno zakołatały serca.

Woźnica nie ruszał dalej, jak gdyby czekał na kogoś lub na coś. Śnieżyca szalała wśród pól rozwartych, tem przykrzejsza, iż pierwsze to były zimy objawy, a nadeszły niespodzianie, ziemię zmroziły, sypnąwszy na nią obfitą garścią śniegu. Poza szosą, wzdłuż której biegły słupy telegraficzne, drogę niejako wskazując, nic dostrzedz nie mogliśmy. Wpatrzywszy się jednak pilniej w punkt, ku któremu woźnica rękę wyciągał, dostrzegliśmy jakiś słup niezbyt wyniosły, może w części śniegiem zasypany.

— To krzyż, na samej granicy on stoi — mówił pocztarz, wskazując dłonią ów słup, do połowy śniegiem zasypany.

Wysiedliśmy z bryki pocztowej, aby uchylić czoła przed ostatnim krzyżem przydrożnym, jaki spotyka wędrowiec, udający się na Wschód, aby pożegnać ziemię zroszoną krwią i potem ojców naszych, zoraną pługiem cywilizacyi europejskiej.

— A stąd Rosya już się zaczyna? — pytaliśmy pocztarza.

— Stąd — rzekł, rzucając ręką przed siebie — stąd już „zabrany kraj„ zaczyna się, ale jeszcze nie „Moskwa“.

— Jakto „zabrany“? — dopytywałem się.

— „Smoleńszczyzna“, kraj od Polski kiedyś oderwany — tłumaczył mi zapytany.

Umilkłem. Uchylić głowę należało przed tak dobrem rozumieniem rzeczy. Woźnica zaciął konie, wydał okrzyk dziki, który się połączył z jękiem wichru i śnieżnej zamieci, z donośnym odgłosem dzwonka pocztowego — i popędziliśmy w przestrzeń ciemną, nieznaną...

Tak się odbył nasz wjazd do Smoleńszczyzny, do tych dziedzin, w XVII w. jeszcze oderwanych od Rzplitej, które długo bierny opór stawiały, zanim po wielkich, bolesnych, próżnych wysiłkach zatrzymania wiary nie zamalgamowały się z górującym pierwiastkiem państwowym.

Oderwanie to, dokonane przed wiekami, jednym rzutem dłoni nakreślone na papierze w akcie traktatu, długo i boleśnie znać w życiu urzeczywistniało się, kiedy do dziś w pamięci ludu wspomnienie o niem przechowało się dość żywo.

III.

Na wielkim gościńcu szosowym, do stolicy prowadzącym, podróż szła szybciej znacznie, niż w pierwszych dniach, gdy przesuwaliśmy się przez błota poleskie; nie było więc możności przypatrzeć się Smoleńszczyźnie. Zresztą trakt z pokostem urzędowym, czy on jest gościńcem murowanym, czy koleją żelazną, nie daje rzeczywistego pojęcia o kraju.

Nazajutrz po naszym wjeździe do Smoleńszczyzny wiatr mroźny ustał, zaczęła się odwilż, słota, towarzysząca wciąż aż do murów Moskwy.

Kraj tu już rozpoczął się inny, obcy obyczajem, pojęciami; krajobrazy, nużące monotonią, niczem nie przywiązują ani myśli, ani oka. Bardzo małą cząstkę Smoleńszczyzny szosa przecina; nie zarysował się więc przed nami ów kraik zaludniony białoruskim szczepem, o tak dziwnie tragicznych losach. Tu i owdzie przesunęła się przed nami biała świta miejscowego ludu, świadcząca, że nie weszliśmy jeszcze do ziem rdzennie rosyjskich; ale to trwało bardzo krótko. Jeszcze kilka przeprzęgów i wjechaliśmy, wcale nie wiedząc, kiedy to się stało, w głąb Kałuskiej gubernii. Tu już nie ulegało wątpliwości

najmniejszej, że stanęliśmy w rdzennych prowincyach wielkiego imperyum.

Gościniec, w kierunku najprostszych linij wytknięty, ominął większe miasta; zresztą, niema ich prawie aż do stolicy. Kaługa zdala pozostała od naszej drogi. Mówiono, że posiadała jeszcze wówczas gmach stary, pamiętający Samozwańców, późniejsze schronienie wygnańcze biskupa Sołtyka.

To co na gościńcu spotykało się, było nader banalnem, nic nie przypominało przeszłości; wszystko jak gdyby wczoraj stanęło na ugorach cywilizacyi, i jak gdyby jedna dłoń wszystko to wzniosła; tak uderzające podobieństwo wiosek, miast i domów.

Zanim stanęliśmy w Małojarosławcu, jedynem prawie większem mieście spotkanem przed Moskwą, przypadek urozmaicił nieco wędrówkę naszą. Spotkaliśmy na jakiejś stacyi przyszłego towarzysza wygnania, Dyonizego Kadłubiskiego, który wywieziony z Wołynia (z powiatu włodzimierskiego), na kilka dni przed nami, również dążył do Wiatki; ale dążył widocznie rzemiennym dyszlem, tak bardzo nie śpiesząc, iż dopędziliśmy go. Pierwszy raz w życiu widzieliśmy owego Kadłubiskiego, ale wspólność losów zbliżyła nas. Postanowiliśmy odbywać dalszą podróż razem, jako jedna karawana. Nasi strażnicy nie protestowali; owszem, strażnik spotkanego Kadłubiskiego cieszył się nawet z tego zbiegu okoliczności. Kadłubiski był wieziony przez jakiegoś urzędnika, człowieka już niemłodego, który nieco obawiał się dalekiej podróży; większa karawana napełniała go lepszą otuchą, iż podróż od-

będzie szczęśliwie; chętnie więc przystał na projekt, który w gruncie rzeczy przekraczał przepisy wydane naszym strażnikom. Ów p. urzędnik, postać dość zabawna, wobec poczciwca podoficera eskortującego nas, nosił się zpyszna, z tytułu swej wyższej rangi chciał mu przewodzić; wytwarzało to kolizye zabawne i częste między nimi. Z tego też powodu maluczka ta karawana to rozdzielała się, ku czemu nasz strażnik dawał hasło, trzymał się oddzielnie, to znowu łączyła się.

Miasto Małojarosławiec, schludne, zamożne, przypominało swą pewnego rodzaju elegancyą, iż już jesteśmy u bram stolicy. Żywioł kupiecki, liczny, zasobny, cechę zamożności nadawał. Wyniosły pomnik u wjazdu do miasta, to uwiecznienie pamiętnej bitwy, którą na jego polach stoczyli Rosyanie z armią Napoleona, cofającą się z Moskwy. Bój rozstrzygnął o losach odwrotu. Zaparto gościniec z kierunkiem bardziej południowym, zmuszając nieprzyjaciela do cofania się zniszczoną doszczętnie, spaloną i ogłodzoną drogą smoleńską.

Wyświeżony, wciąż odświętnie wyglądający Małojarosławiec, był dla pamiętnych chwil 1812 r. pierwszym odblaskiem słońca pomyślności. Pomyślność, tam spotkana przypadkiem, już nigdzie nie opuszczała sztandarów i dążności rosyjskich, aż do Kulmu, do Lipska, do Paryża.

. . . .

Poza Małojarosławcem przelecieliśmy przez Podolsk, miasteczko mile wpadające w oko dzięki swej czystości, porządkowi. Wszystko wróżyło bliskie sąsiedztwo stolicy. Ukazała się wreszcie, sze-

roko na równinie rozsiadła; we mgłach jesiennych ginęły jej krańce.

Mgła i deszcz drobny, nieustannie dokuczający—w Polsce kapuśniaczkiem zwany—błoto, wyziewy nieprzyjemne obszernego, brudno utrzymywanego miasta, powitały wjeżdżających i towarzyszyły ich pobytowi.

Pobyt dziwnym zbiegiem okoliczności przedłużył się dni kilka. Wjechawszy do tej obszernej, na rozległej przestrzeni rozrzuconej, starej stolicy, zajechaliśmy przed pałac generał-gubernatora, gdzie nasi strażnicy meldowali się w biurze. Były to czasy, gdy terroryzm wcale wychodził z użycia — sądzono, że nazawsze—oddawano się powszechnie złudzeniom; były to czasy chwilowego wypoczynku po twardej epoce, która krymską wojnę poprzedziła. Nie troszczono się więc zbytecznie o nas; pozwolono naszym strażnikom na wypoczynek w stolicy; a że się ich prędko pozbyto, zapewne nie określono ściślej ani czasu, ani warunków, wśród których wypoczynek ten miał się odbywać.

Eskorta nasza, poczęści znużona, a bardziej niż wypoczynku żądna wygód, do których wprawdzie przyzwyczajoną nie była, ale od nas spodziewała się takowe otrzymać, wcale nie protestowała, iż, ulokowawszy się w Moskwie, w hotelu, zamierzaliśmy tam dni kilka przepędzić.

Ubiegliśmy już więcej tysiąca kilometrów: następna wszakże część podróży, która nas jeszcze czekała, nietylko, że wielką była ogromem przestrzeni, ale wielkiemi groziła i uciążliwemi niewygodami, niewczasami, droga bowiem wypadała przez

kraje coraz to mniej zaludnione, coraz dziksze, a rozpoczynająca się zima przynosiła zapowiedź znacznie większych prywacyj.

Na wszystkie wróżby i groźby niewygód, z warunków klimatycznych płynące, zabezpieczyć się wypadało, o ile możność pozwalała. Moskwa zdawała się, i rzeczywiście była, punktem ku temu najlepszym. W ciągu więc dwóch, czy też trzech dni bawienia w mieście, zaopatrywaliśmy się we wszystko niezbędne do dalszej, długiej i przypuszczalnie mniej wygodnej, a nawet uciążliwej podróży. Z całej karawany najmniej potrzebowałem o sobie myśleć; bo, jak wyżej wskazałem, jeszcze na dobę przed mem uwięzieniem, pod wpływem przeczucia, wyekwipowałem się stosownie.

W Moskwie należało ostatecznie ułożyć dalszą marszrutę podróży. Niełatwą się to okazało rzeczą. W instrukcyach naszych strażników kierunek drogi wytyczono, lecz u każdego inaczej wskazywano. Szczególniej marszruta urzędnika, eskortującego naszego kolegę, brzmiała dziwacznie: wedle instrukcyi przezeń posiadanej, powinien był jechać przez miasta, które nie posiadały traktów pocztowych; kierunek ten dziwaczny zaczerpnął urząd dający instrukcyę z jakichciś ukazów XVIII stulecia. Nasz strażnik miał również błędy grube w swej marszrucie, ale inne; żaden z nich zaś nie chciał ustąpić na rzecz innego swoich wskazówek: godzili się tylko w jednym punkcie, a mianowicie, iż „wiadome osoby“ nie mogą jechać żadną miarą koleją żelazną, chociażby kolej skracała znacznie koszta podróży, łożone przez rząd. Tego rodzaju rozkaz rzeczywiś-

cie istniał w instrukcyi; opierał się zaś na ścisłem przestrzeganiu bardzo dawnych tradycyj biurowych, tyczących się wysyłanych na wygnanie. Tradycye, zapisane w licznych starych ukazach, również wskazywały kierunek, jak i sposób deportacyi. Zmieniły się drogi, trakty pocztowe poszły w innych kierunkach, wprowadzono koleje żelazne, lecz tradycya biurowa wymagała deportacyi odbywanej w tychże samych warunkach i sposobami zawsze jednakiemi.

Kolej żelazna już istniała do Niższego Nowogrodu, na przestrzeni przeszło pięciuset kilometrów, ale wygnańcy korzystać z niej prawa nie mieli.

Musieliśmy przeto, wśród trwającej i wzmagającej się bezdroży, równolegle do kolei, posuwać się na wozach pocztowych, przez Włodzimierz na Klazmie ku Niższemu Nowogrodowi. Ale i pod tym względem strażnicy nasi zgodzić się nie mogli, tem bardziej, że obaj w geografii biegłymi nie byli. Podczas gdy my przygotowywaliśmy się do podróży dalszej i staraliśmy się rozpatrzeć w nieznanem mieście, oni spierali się o kierunek drogi.

*
* *

Parę dni pobytu w Moskwie przeszło spokojnie.

W dniu trzecim, kiedyśmy pokończyli przygotowania i pragnęli obejrzeć starą stolicę, o ile niepogoda ciągła, deszcz ze śniegiem, wciąż w oczy bijący, krótkość dni mglistych i nieznajomość miasta na to pozwalały, kiedyśmy to rozejrzenie się po mieście od odwiedzenia kościoła rozpoczęli—i nazajutrz zamierzaliśmy być na mszy św.—wpadł późnym wieczorem do naszego hotelu zastęp policyi, oświad-

cząjąc, że powinniśmy jechać dalej natychmiast, że straż nasza odpowiadać będzie za owo pobłażanie, którem zgorszony mocno p. generał-gubernator, że hotel nie powinien był tolerować naszego tak długiego pobytu.

— Konie czekają; wyjeżdżajcie panowie natychmiast — wołano, a tłum zbrojny, brzęczący ostrogami i pałaszami, pokój napełnił.

Po kilkunastu minutach już do dalszej drogi byliśmy gotowi.

Straż nasza, nieco zmieszana niespodzianym ewenementem, zapomniała narazie o swych geograficznych sporach co do kierunku drogi. Postanowiliśmy przeto z okoliczności tej skorzystać i własnym pomysłem rozciąć węzeł gordyjski niepewności, którędy jechać, by do Wiatki trafić.

Dla nas rzeczą obojętną było, tym lub owym gościńcem dostać się do Wiatki, ale w Moskwie właśnie powiedziano nam, że w Kostromie jest ktoś z niedawnych wygnańców. Myśl zobaczenia kogoś, chociaż nieznanego, lecz w warunkach tych samych wegetującego, w jakich my mieliśmy wkrótce stanąć, uśmiechała się nam. Pragnęliśmy więc skorzystać z możności i zwrócić nasz trakt na Jarosław, Kostromę, ku okolicom północnym, przypuszczając, że tam znajdzie się jakaś droga pocztowa, prowadząca do Wiatki.

— Dokąd jedziemy, przez jaką rogatkę? — zapytywali pocztarze, wynosząc nasze tłumoki.

— Jedziemy przez Carewo-Kokszajsk, Kosmo-Demiańsk — recytował długą nomenklaturę miasteczek zawołżańskich strażnik naszego kolegi,

urzędnik drapujący się chętnie w powagę naczelnika całej karawany.

Pocztarze wzruszyli ramionami i zamilkli; dla nich niezrozumiałemi były nazwiska wyliczanych miejscowości.

Skorzystałem z zamętu, który panował podczas nagłego wybioru i z nieporadności naszych strażników; szepnąłem któremuś z pocztarzy, wsuwając mu jakąś monetę:

— Pojedziesz pierwszy; my na twym wozie.... jedziemy na trakt jarosławski.

Niezrozumiałe mruknięcie zastępowało odpowiedź, ale niemniej pocztarz zastosował się do naszego żądania. W kilka minut później pędziły dwie trójki pocztowe, zamiast ku wschodnim, ku północnym rogatkom miasta. Całą noc trwała jazda, chociaż wicher północny obdarzał nas obficie śniegiem, chociaż wozy na każdej stacyi zmieniane, dziwnie były niewygodne, i całą noc straż nasza mniemała, iż jedziemy do Niższego Nowogrodu, podczas gdy lecieliśmy w kierunku wręcz przeciwnym, do Jarosławia.

Po wschodzie słońca wielkie zdziwienie owładnęło strażą, zwłaszcza zdumiał się urzędnik pozujący na zwierzchnika karawany, gdy zapytywał o odległość do Niższego, a odpowiadano mu, iż jest na gościńcu prowadzącym do Jarosławia.

— Więc nie wiecie dokąd jedziecie? — ironicznie ten i ów dozorca stacyi pocztowej zauważał.

— O, wiemy, dobrze wiemy,— zżymał się urzędnik — ale nieczysta siła splątała trakty, a oczy naszym pocztarzom śniegiem, czy czemś zasypała.

Szatańska robota... przed władzą wyższą odpowiadać mogę, gdy nie pojadę przez miejsca w instrukcyi wskazane.

I tu zaczął wyliczać, po raz nie wiem już który, miasteczka nadwołżańskie, rozpoczynając długą nomenklaturę od Carewo - Kokszajska, Kosmo-Demiańska...

Pomimo zżymań się i wyrzekań straży, jechaliśmy w kierunku Jarosławia; wracać na trakt wschodni niepodobieństwem już było. Pogodzono się przeto wprędce ze stanem rzeczy.

Podróż z Moskwy do Jarosławia dała nieco wolnego czasu do zgrupowania wrażeń, jakie Moskwa przyniosła. Stara stolica nie wydała się nam ani piękną, ani ciekawą dla turysty. Powitała nas owinięta we mgłę głębokiej jesieni; błotnista powłoka, zalegająca ulice wązkie, kręte, brudne, nie dodawała piękna miastu obszernemu, źle utrzymanemu, o domach dziwnie pospolitej powierzchowności, pozbawionych cech charakterystycznych. Nic nie przypominało, iż to stary gród; nic nie zapisywało się trwalszem wrażeniem. Miasto, gdy było stolicą małego księstwa, zabudowywało się na małej przestrzeni; składało się jedynie z Kremlina, starej fortecy, rezydencyi swych władców, i z małego otoczenia, które wkoło obiegało twierdzę. Z biegiem czasu i ze wzrostem państwa, owe okólne przedmieścia coraz szerzej zabudowywały się, lecz zawsze tworząc koło, i o coraz to dłuższych promieniach. Takich cyklów, okalających wspólne centrum, „Kreml", wzrosło kilka; każda taka warstwa posiadała swe obwarowania i swą nazwę oddzielną.

Ulice miasta poprzeczne w ten sposób biegną nie w prostych kierunkach, lecz zakreślają koła coraz szersze. Pierwowzór do takiego zabudowania wzięto prawdopodobnie z urządzeń taborów ludów koczujących, lub wielkich hord zbrojnych: tam na środku wznoszono opony namiotu naczelnika taboru, wokoło zaś biegły namioty, bądź jurty, czy też szałasy podległych mu. Na Wschodzie całym, bliskim i dalszym, znanemi były tego rodzaju „zataczania“ kolistych obozów.

Jeżeli w starej stolicy trąciło co przeszłością, przypominało rozwój dawnej sztuki, były to przypomnienia kultury chińskiej, którą zapożyczano, za pośrednictwem Mongolii, z najdalszych głębin azyatyckich. W budownictwie, w starych świątyniach, w wieżach dziwnie oryginalnych, odbija się przeważnie wpływ chińskiej sztuki. Nie zapierano się tego wpływu przed wiekami; owszem, dawano mu jawnie i szczerze wyraz wcale niedwuznaczny uznania, nazywając jedną z celniejszych, dawnych dzielnic „chińskiem miastem“ *(Kitaj-gorod)*. Jeszcze niedawno, bardzo niedawno, przed półtora wiekiem, oblicze owego narodu zwrócone było wciąż ku Wschodowi, ztamtąd czerpano soki pożywne istnienia.

Dawne życie handlowe, rozwijające się głównie, niemal wyłącznie, na wschodnich rynkach, wytwarzało spójnię łączącą z kończynami Wschodu, torowało drogę do stosunku ściślejszego z kulturą tą daleką, rdzennie sprzeczną ze wszystkiem, co na Zachodzie się spotyka.

Wszystkie miasta tameczne martwe — Moskwa bardziej od innych. Dużo wprawdzie handlowego krzątania się, lecz zamyka się ono przeważnie w głębi sklepów, w kantorach handlowych; gwaru miejskiego, ruchu ożywionego w mieście nie spotykamy.

Osobliwości miasta, głównie zamknięte w murach Kremla. Poza niemi niejeden zabytek, nie ich ale naszego życia, możnaby znaleść w muzeum Rumiancowa, w cennych bardzo dla badaczy zbiorach archiwum dawnego, tak zwanego kolegium spraw zagranicznych, i w innych większych księgozbiorach, gdzie nieraz całe działy biblioteki, złożone z ksiąg, rękopisów, papierów, z Polski przywiezionych, czekają od wielu lat pracowitej dłoni, którąby je przejrzała, skatalogowała, od moli, zniszczenia, ostatecznego zatracenia ocaliła. Biblioteki, archiwa klasztorne, lub prywatne, przybywały z różnych okolic Polski całemi pakami, w różnych czasach, po różnych naszych porażkach; składano te trofea jak stos drew, nie troszcząc się o ich zawartość: i lata płynęły nad butwiejącemi papierzyskami, nikt do nich nie zaglądał; nie ceniono ich jako materyał historyczny, lecz obchodzono się z niemi niby z więźniami, skazanymi na wieczną niewolę, na zagładę zupełną.

Nie czynimy tu niestosownego porównania. W dziwnym tym kraju, do wielu innych zupełnie niepodobnym, wiele rzeczy spotyka się gdzieindziej nieznanych. Nieraz tam dawnemi laty książka z Polski, dzwon z polskiego kościoła wraz z jeńcami szły na wygnanie. W XVII w. szukano polskich msza-

łów aż w głębi Syberyi, nad Jenissejem, gdy je miano, na mocy traktatu, oddać dawnym właścicielom. Tak dalekie wożenie książki, mszału, bądź dzwonu, wskazuje, iż nie brano tych przedmiotów dla użytku własnego, dla zbogacenia zbiorów, ale robiono z nich jeńców, co zastosowywano nieraz i do własnych przedmiotów martwych, gdy zawiniły. Przykładem wymownym dzwon, który dzwonił na tumult ludowy podczas zabijania carewicza Dymitra w Ugliczu; skazany został biedny dzwon w XVI wieku na wygnanie do Tobolska; — i, co gorsza, pozbawiony różnych przywilejów, a nawet został galernikiem, bo wyrwano mu, jak ówczesnemu galernikowi, część boku (ludziom rwano nozdrza). Później różne edykta wracały biednemu dzwonowi niektóre prawa, poprzednio odjęte: pozwolono mu dzwonić na jutrznię, i jeszcze w paru innych razach; ale dopiero w XIX wieku, a mianowicie w 1848 r. mieszkańcy miasta Uglicza zanieśli prośbę do tronu, prosząc o uwolnienie zupełne i powrót więźnia. Pozwolono. Zupełne prawa odzyskał tyloletni — trzywiekowy — więzień, zaczęto weń dzwonić podczas uroczystości większych, kwestya wszakże powrotu rozbiła się o koszta. Rząd nie chciał łożyć na powrót, miasto Uglicz, wcale niezamożne, zdobyć się na to nie mogło: długo trwała pisanina, kto ma koszta ponosić, i rzecz do dziś w biurach ugrzęzła [1]).

---

[1]) W r. 1864 jadąc na Syberyę, odwiedziłem w Tobolsku ów dzwon nieszczęsny Odbity bok świadczył o zmianach losu, co go dotknęły. Rosyanie posiadają monografię, opowia-

Z zabytków naszej pracy, dawnego naszego życia, zawartych w rękopismach, dokumentach, papierach i księgach, nikt nie korzysta, a niemało tam, i w innych Rosyi miejscowościach, jest źródeł do studyów nad naszem życiem umysłowem i społecznem.

Już wówczas nasuwała mi się myśl, w której ugruntowało mnie późniejsze życie, późniejsze pilne przypatrzenie się owym i dalszym znacznie krajom, aż na pograniczach Mandżuryi, iż rola nasza w przeszłości dalszej i bliższej, rola szerzycieli kultury europejskiej, na tych bezbrzeżnych przestworzach, wcale małą nie była.

Pole tu do studyów obszerne a przez nikogo nietknięte.

Ziomkowie nasi, idąc tłumami wielkimi na jasyr daleki, pracą, poświęceniem, nieraz życia całego ofiarnością, cichemi cnotami płynącemi z miłości bliźniego, na drodze chrześcijańskiego i cywilizacyjnego rozwoju mieszkańców owych ziem dalekich, szczególnie syberyjskich, zrobili bardzo wiele; ale nie wytworzyli zbliżenia szczepów tak różnych pod każdym względęm; nie zdołali zasypać przepaści, która dzieli dwa te narody. Znać głęboką jest owa otchłań, tyle pochłaniająca a wciąż rozwarta...

---

dającą szczegółowo koleje, przez które przechodził ten najstarszy z wygnańców syberyjskich. Obecnie on już podobno wrócił.

IV.

Przestrzeń, dzieląca Moskwę od Jarosławia, a zatem od górnej Wołgi, gęsto zaludniona, o ludności zamożnej, kupczącej lub przemysłowej, nosi ślady dobrobytu, który już i wówczas uderzał, chociaż były tam jeszcze czasy niewoli wieśniaczej. Właśnie wtedy wiekowe kajdany kruszono, lud z pod brzemienia niewoli wydobywano. Potrzeba było dziesiątków lat, by pokolenia młodsze, zrodzone i wychowane w innych warunkach, złożyły dowody, że skorzystały z dobrodziejstwa wolności. Zapewne teraz nie na jednem polu ludność wieśniacza, usamowolniona, podniosła ten kraj i nadała mu inną, bardziej ponętną postać. Wówczas byli to jeszcze iloci; ich stan prawny stokroć gorszym mienić się mógł od poddaństwa u nas.

Przyroda tam smutna, uboga, podobnie jak gleba, która nieobfity plon daje wzamian za pracę wieśniaka. Równiny nużące swą monotonią, rozległe, nigdzie nie wzkazują, by człowiek starał się ożywić je sztuką, ozdobić. O tem nigdzie nie myślano. Zamożne wsie przemysłowe posiadają domy piętrowe, obszerne, ale wewnątrz dostatek niezbyt się ujawnia. Przemysłowiec, kupiec nie wyda grosza, wytrwałą zapobiegliwością zdobytego, na rzecz nieprodukcyjną,

nie rentującą się natychmiast. To samo rzec można o ludziach średniej zamożności; arystokracya, bardziej zestosunkowana z Zachodem, mniej owych znamion rodzimych posiada.

Cecha to szczepu, praktycznego nadzwyczajnie, pracowitego, ale dalekiego od hołdowania podniosłym ideałom.

Osobista niewola — rzecz nieznana u nas — nie przeszkadzała tamecznemu wieśniakowi ponad swą zależność wydostawać się; wszakże nie inaczej, jak kosztem haraczu, często wielkiego, zastosowanego do wysokości otrzymywanego zarobku. Czynsz ten (obrok) płacono panom swym, którzy normę owego czynszu układali, posiadając prawo zmieniania normy, mniejszą na wyższą. Ciągnął przeto pan dochody nie z ziemi, uprawianej pracą, pańszczyźnianą— jak u nas było w owej epoce — ale oprócz pańszczyzny korzystał z pracy, umiejętności, z pewnego uzdolnienia specyalnego, a wreszcie z darów losu swego niewolnika.

Liczny stan kupiecki rekrutował się przeważnie, wyłącznie prawie, z owych wieśniaczych ilotów, którzy na nieurodzajnej ziemi, na jej szczupłych płachtach, nie mając żadnych widoków powodzenia, szli w świat szeroki, rzucali się nieraz do bardzo odległych okolic olbrzymiego państwa i tam na drodze kupczenia lub przemysłu dorabiali się niekiedy fortuny. Pan nie zapominał jednak nigdy o takim wybrańcu losu: ściągał czynsz skrupulatnie, podnosząc wysokość takowego stosunkowo do wysokości powodzenia swego niewolnika. Dochodził ów czynsz niekiedy do pięciu tysięcy rubli

rocznie, a nawet wyższym się stawał, jeżeli niewolnik szczęśliwym zbiegiem okoliczności znacznie się wzbogacił.

Ze zniesieniem poddaństwa, rzecz naturalna, upadł czynsz od osoby niewolnika i od pracy jego.

Tacy wieśniacy, szukający, szczęścia na szerokich obszarach państwa, chociaż wzbogacali się nieraz znacznie, nie mieli nigdy ani chwili spokoju przez cały bieg życia: spodziewali się bowiem nieustannie, że pan ich istnienia mógł zakłócić spokój, zburzyć pomyślność, opłacaną wieloletnim, ciężkim trudem.

Brak spokoju, brak wiary w pogodne jutro, niepewność ustawiczna o przyszłość najbliższą, o noc dzisiejszą, jest, niestety, udziałem i dziś jeszcze wielu, bardzo wielu w tem olbrzymiem państwie, chociaż poddaństwo i niewola osobista wśród ludu oddawna zniesione. Składają się na to już inne, państwowe względy.

Kraj, który przebiegaliśmy, dziwnie smutny, ponury: na każdym niemal kroku swą barwą posępną przypominał, że jesteśmy w ziemi niewoli, iż na jej polach mało urodzajnych nic nie urasta uszlachetniającego człowieka, iż to kolebka ucisku dla ziem i ludów.

Pola obszerne, biegnące w nieskończoność, a wciąż posępne, zaprowadziły nas do osady, w której się wznosi znany monaster Troicko-Sergiewski, o dziesięć mil od Moskwy odległy. Miejscowość, pamiętająca przeszłość odległą i wypadki dziejowe, które o jej mury odbijały się, nie o wiele wzbogaciła naszą wiedzę, wcale nie odpowiedziała oczeki-

waniom. Niczem ów klasztor nie różni się od innych, w Rosyi spotykanych, chyba obfitością bogactw, które się przechowują w skarbcu świątyni.

Zwiedziliśmy klasztor, świątynię, skarbiec; pokazywano nam pamiątki: suknię Iwana „Groźnego", rodzaj szlafroka o barwie błękitnej, kilka orężnych zabytków z czasów Samozwańca, przypominających obleganie tej obronnej pustelni przez wojska polskie pod Janem Pawłem Sapiehą. Pamiątki wspomnianej doby noszą nazwę „litewskich" zabytków. Kilka tych kól „litewskich" tkwi dotąd w murach. Wogóle w głębi Rosyi, szczególnie w czasach odległych, wszystkie wspomnienia, związane z dawną Rzplitą, noszą nazwę wspomnień litewskich. Przeszło nawet owo określenie do starych kronik dawnej Moskwy. Tak przeto żołnierz Rzplitej, bez względu z której prowincyi pochodził, nazywa się „Litwinem", jeńcy pędzeni w jasyr „litewskimi ludźmi", co może miało nieco słuszności za dni odległej przeszłości, gdyż dawne W. Ks. Moskiewskie, leżąc u granic Litwy, z nią głównie i najczęściej bezpośrednie prowadziło stosunki.

Klasztor ten, przedmiot czci ludu tamecznego, nie wywołał wcale podnioślejszych wrażeń: żadnych zabytków sztuki lub dawnego budownictwa nie spotyka się tam. Porównywałem go z Częstochową — o ileż ostatnia zyskała pod każdym względem na tem porównaniu!

Monaster Troicko-Sergiewski, rówieśnik Moskwy, stanął jeszcze w XIV. wieku; siedziba to niegdyś patryarchów. Dom parterowy, nader pospolity co do budowy i wewnętrznego urządzenia, two-

ızył ową rezydencyę. Zwiedziliśmy go, lecz i tam nic ciekawego; spocząć oko na niczem nie mogło. Kosztowna bardzo trumna Sergiusza, patrona tamecznego, to jedyna rzecz, którą pamięć wyniosła z owych odwiedzin głośnego na całą Rosyę monasteru.

Perejasław-Zaleski, Rostow, miasta bardzo bogate, handlowe, szczególnie ostatnie z nich, słynne w sferach kupieckich, poprzedziły Jarosław. Przelecieliśmy je już w saniach, wśród nocy; przesunęły się przed okiem naszem jedynie mury licznych cerkwi i monasterów, w które obfitują oba te miasta, a głównie Rostow, stolica niegdyś, również jak Perejasław-Zaleski, udzielnego księstwa.

Pod Jarosławiem spotkała nas najprawdziwsza zima; śnieżna, mroźna, zima zaiste północna, która raz ustaliwszy się, nigdy niema przerw, nie zna odwilży, tajania śniegu, dni słotnych. Mrozy, co z dziwną mocą i gwałtownie nadbiegły, ścięły fale Wołgi, jakby jednym rzutem swej siły: przebywaliśmy rzekę po lodzie, pieszo. Lód zdawał się dość cienkim; ale po kilkunastu godzinach już działa można było po nim prowadzić, tak się szybko moc jego ustaliła, i taką pozostać miała zima z silnymi mrozami i obfitą śnieżycą aż do wiosny.

Wołga, owa macierz wód Rosyi, główny wodny gościniec, żywicielka wielkich obszarów, ukochana i opiewana przez lud, nie jest jeszcze w Jarosławiu bardzo szeroka, acz już spławna.

Przypatrywać się Wołdze, miastu, stosunkom tamecznym, ludziom i ich otoczeniu, niepodobna: mróz uderzył odrazu, śnieg okrył wszystko oponą

białą, lśniącą, oślepiającą, powietrze zapełniło się miryadami drobniutkich, śnieżnych igiełek. Troskliwie okrywaliśmy się od zimna przenikliwego. Były to pierwsze chwile poznania się z mrozami północy. Dnie oswojenia się z nimi jeszcze nie nadchodziły, ale i one wprędce. nadeszły.

. . . .

Z Moskwy wywieźliśmy parę wskazówek, iż w Jarosławiu i w Kostromie mogliśmy się z ziomkami spotkać. W pierwszem z tych miast mieszkał jakiś p. S., w drugiem był od niedawna na wygnaniu ks. Mleczek, proboszcz z Biały Podlaskiej. Warunki podróży zmieniały się jednak na gorsze: nasza straż, nieco zaniepokojona przygodą w Moskwie, niezbyt skłonną stawała się do dłuższych odpoczynków w miastach większych. Zresztą i okoliczności zmieniały się na gorsze. W Jarosławiu w chwili naszego przybycia, już p. dozorca pocztowy zaordynował wnet przeprzęgać konie i chciał nas dalej wyprawiać, nie pozwalając na chwilowe nawet ogrzanie się.

— Dla takich ludzi, jak wy — mówił ów dygnitarz — nie daje się ani minuty wytchnienia. Szklanka wody... i marsz dalej.

Straży naszej nie podobała się ta mówka p. dozorcy stacyi, wkraczała bowiem w jej atrybucye; pomimo więc protestów surowego przestrzegacza praw, straż pozostała na parę godzin, pod pozorem meldowania się władzom. Skorzystaliśmy z tej chwili, aby odwiedzić p. S., którego ktoś nam polecił jako *cicerone*, w razie dłuższego wypoczynku w Jarosławiu. Dokładnie wypisany w liście polecającym

adres ułatwił natychmiastowe odszukanie nieznanego ziomka.

. . . .

. . . .

W obszernej izbie, nieco zaciemnionej, przepełnionej sprzętami licznemi, staroświeckiego wyglądu, wśród których na przedniejszem miejscu stał fortepianik dość dawnej konstrukcyi, powitał nas człowiek stary, wzrostu małego, szczupły, poważny, lecz nie sztywny. Był to p. S., rodem zdaje się z Litwy, od wielu lat urzędujący w Jarosławiu. Samotnie mieszkał, samotnie płynęło mu życie, wśród obcych, przykuty koniecznością pracy do murów dalekiego miasta, do wegetacyi na pozaświeciu. Szukanie chleba, pracy, zdala od swoich, zrobiło z niego dobrowolnego wygnańca z niejedną prywacyą niewoli.

— A więc mam być przewodnikiem ziomków— zagaił rozmowę, rozpatrując się w liście polecającym.

— Nie skorzystamy z uprzejmości waszej,— odrzekliśmy—bawimy tu tylko chwilę, za parę godzin, może za godzinę, wyjazd nasz nastąpi.

Opowiedzieliśmy, iż w dziwnie niegościnny sposób powitano nas na stacyi pocztowej, co zapewne jest odbiciem usposobień władz tutejszych, i tem samem dłuższy wypoczynek byłby niepodobieństwem.

— Pozwólcie przeto,—rzekł staruszek, wstając śpiesznie — że przyjmę was tem, co rozjaśnia moją samotnię na obcej ziemi i przenosi chociaż myślą do dalekich a drogich.

Usiadł przy fortepianie i rozległy się akordy poważne. Zabrzmiał polonez Ogińskiego... Słuchaliśmy do głębi przejęci. Dźwięki melodyi rodzimej, płynące wśród ciszy, na dalekich Wołgi wybrzeżach, miały w sobie coś niewysłowienie rzewnego. Po jednym polonezie nastąpił drugi, trzeci... Przy ostatniej nucie jednego z nich, uścisnęliśmy dłoń starca, niemniej jak my wzruszonego, i w pół godziny potem już wyjeżdżaliśmy z miasta. Wizyta, którą strażnicy nasi złożyli władzom administracyjnym i żandarmskim, poszła im podobno niefortunnie. Ofukano biedaków za brak pośpiechu w podróży, za zbytek uprzejmości dla nas. Następstwem tego wszystkiego stał się nasz wyjazd na całą noc wśród ostrego mrozu i wielkiej śnieżycy.

Jarosław już i dawnie bywał miejscem wygnania: tu generał Ignacy Prądzyński, po upadku listopadowego powstania, był internowany, ale niedługo; od r. 1863 czcigodny arcybiskup Feliński tu pędził lata długiego wygnania; tu wreszcie od r. 1885 trzymano w niewoli biskupa Hryniewickiego...

Jeszcze brzmiały w duszach naszych ostatnie dźwięki polonezów Ogińskiego, jeszcze myśl nie przyszła do należytej równowagi, lecz leciała na falach dźwięków ku strzechom zagrody ojczystej, gdy przesunęły się ostatnie, wyniosłe a rzęsiście oświetlone domy Jarosławia. Poza nim coraz dziksze zaczynały się okolice, coraz uboższe, jakby zupełnie od reszty świata odcięte.

Przed Moskwą odczuwało się pewne powiewy z Zachodu, patrzało się jeszcze na kraj, który z cywilizacyą europejską związany jest jakąś nicią,

chociaż słabą,—lecz dalej ku Wołdze, i za Wołgą wszystko stawało się innem, obcem, nietylko dla nas jako Polaków, lecz dla nas ludzi innej cywilizacyi.

Do tego, co spotykało się wśród społeczeństwa owych ziem dalekich, nasi ludzie, czy to wygnańcy, czy zaniesieni burzą innych losów, czy też chleba tam szukający, jeżeli należeli do ukształceńszych warstw, przyzwyczaić się nie mogli, a o zespoleniu z otoczeniem i mowy być nie mogło. Życie ich często upływało, jak życie pustelników, w odosobnieniu zupełnem. To odosobnienie pochodziło z konieczności, gwoli zachowaniu swych właściwości narodowych, i wytwarzało często typy dziwnie oryginalne. Owi pustelnicy wśród obcych, niekiedy i dla swoich stawali się pustelnikami, co im wszakże nie przeszkadzało, iż byli to znakomici obywatele kraju, którzy na stare lata odmawiali sobie wygód niezbędnych, aby pomnożyć oszczędności życia całego, przeznaczone dla instytucyj ziemi rodzinnej.

Spotkany w Jarosławiu p. S. pierwszym był tego rodzaju anachoretą, jakiego poza krajem widziałem. W późniejszych latach miałem sposobność niejednego widzieć i wszyscy budzili we mnie podziw, szacunek. Pracą wielekroć bardzo twardą, prywacyami życia całego, ludzie ci zdobywali możność czynienia dobrze pojedyńczym jednostkom i niesienia obfitego nieraz grosza na ołtarz dobra publicznego.

Przewodnią ideą w praktyce życia celniejszych wśród nich były słowa takiego anachorety, tułacza na rosyjskiem pozaświeciu, męża zasług wielkich,

Edmunda Liwskiego, który w notatkach swych rzekł: „Dobre czyny nie giną daremnie; z nich składa się wielki moralny kapitał. Im więcej dobrych czynów, tem naród bardziej potężnieje, tem widoczniej dąży do swego odrodzenia“.... [1]).

Biografie tych tułaczy, napozór dobrowolnych, opisy ich walk z sobą i otoczeniem, opisy boleści i tęsknoty, trawiącej ich przez życie całe, gdyby zebranemi być mogły, dostarczyłyby mnóstwa wzorów wysokiej cnoty obywatelskiej. Życie samotne wśród obcych, myślą zwrócone do ziemi rodzinnej, życie prawie zakonne, podnosiło ich duchowo, wyróżniało wśród ziomków. Nie wszyscy byli takimi, ale tak wyróżniających się, wybitnych wielu, bardzo wielu spotykano. Była i garstka zbłąkanych, bo gdzież ich niema?—ale faktem jest niezaprzeczonym, że przeważała ją znacznie liczba gorliwych obywateli kraju, dobrych synów Kościoła, wśród tych tułaczy dobrowolnych. I nawet byli oni przykładem,

[1]) Edmund Liwski, b. profesor-docent uniw. charkowskiego, całe życie wśród obcych spędził, zapisawszy swe imię chlubnie w ich pamięci. Sprawa Konarskiego wyrzuciła go młodzieniaszkiem (1838 r.) za Dniepr. Patrząc na tę postać podniosłego ducha, Rosyanie uczyli się cenić Polaków; mniemali, iż wszyscy są takimi. Prof. Liwski, całą ziemską tułaczkę przebył z myślą o Polsce, umierając w kraju († 1888), w Kaniowie, na Ukrainie, która była jego kolebką, całe swe mienie, pracą długiego życia zebrane, a wynoszące kilkanaście tysięcy rubli, zapisał krakowskiej Akademii Umiej., zobowiązując ją, aby z kapitału tego, powiększywszy go prowizyą w ciągu lat trzydziestu, wytworzyła fundusz dla biednych literatów i ich rodzin. Jedyna to u nas, jak dotąd, fundacya tego rodzaju.

zachętą, wzorem dla ludzi, co nigdy nie opuszczali ziemi rodzinnej.

. . . .

Przebiegając małą mieścinę powiatową, Nerechtę, i większe nieco miasto, stolicę gubernii, Kostromę, mieliśmy sposobność przypatrzenia się dalekim zakątkom głębokiej Rosyi. Zapadłe, od świata najzupełniej odcięte okolice, stawały przed nami w szacie powszedniej, niczem nie osłaniały swych braków, swej wielorakiej, częściej moralnej niż materyalnej nędzy. Przemysłowe, zamożniejsze okolice pozostały już poza nami; wjeżdżaliśmy do ziem coraz bardziej pod każdym względem zaniedbanych, do krajów, które niepostrzeżenie wprowadzały do puszcz szeroko biegnących ku wschodowi i północy, do dzikich ostępów bezbrzeżnych, ginących tam u wód północnych, gdzie bujniejsza roślinność ginie. Ostra, śnieżna zima dorzucała niejeden rys wybitny a tęskny do ponurego obrazu.

Kostroma tworzyła niejako wstęp do okolic zapadłych, mało znanych, o obyczaju nader patryarchalnym. Chociaż to miasto gubernialne, i liczące wówczas około 15.000 ludności, z pewnymi pozorami ładu i dobrobytu, nie było tam ani porządnego hotelu, ani restauracyi, przypominających kuchnię o wymaganiach i przyzwyczajeniach bardziej europejskich. O krok dalej miało być jeszcze gorzej; radzono nam zaopatrzyć się we wszystko, bo już aż do Wiatki, na przestrzeni kilkuset czy więcej kilometrów, nie było nadziei dostania czegokolwiek na odludnym gościńcu. Zastosowaliśmy się do tej rady o ile się dało, i to nam wyszło później na

dobre. Rzeczywiście, gościniec dalszy, przebiegający okolice przeważnie leśne, mało zaludnione, prawie zupełnie nieuczęszczane, najprawdziwszą legł dla nas pustynią; oprócz utensyliów herbacianych, nic tam nie spotykano na stacyach. O zajazdach wygodnych mowy nawet być nie mogło. Kraj to znacznie więcej ustronny, bardziej pustynią wiejący, niż wiele okolic Syberyi.

W Kostromie przebywał, od kilku zaledwie miesięcy, czy też tygodni, osadzony, proboszcz z Biały Podlaskiej, ks. Mleczek. Odwiedziliśmy go. Przelotne to jednak były odwiedziny, jak przelotnym pobyt nasz w Kostromie. Ks. Mleczek Józef wyrzuconym był z kraju z powodu rozszerzającego się wówczas ruchu narodowego. Należał do tych szczęśliwych, którzy podczas szybko zmieniających się okoliczności w Królestwie, wkrótce potem wrócili do kraju, i posiadł to drugie, wyższe szczęście, iż niedługo po powrocie umarł: nie patrzał zatem na okres klęsk i nieszczęść bezbrzeżnych, które spadły na społeczeństwo, i trwać miały lata, dziesiątki lat.

Pierwszy ten wygnaniec, spotkany na ziemi tułactwa, jeszcze widocznie spory zachował zapas wrażeń ożywczych chwili ówczesnej, wywiezionych z ziemi rodzinnej; żył niemi, one go pokrzepiały, osłodą były w samotności: znużenia moralnego w nim nie dostrzegało się wcale, tęsknota wygnańcza, owa rdza, co już tyle u nas serc skruszyła na proch, tyle dusz strawiła, nie zawitała znać pod jego dach tułaczy. Daleki ów zakątek oddawna przeznaczonym bywał na ziemię wygnania. Już Samozwaniec wy-

syłał do Kostromy żonę Filareta Romanowa i jej syna Michała, wówczas jeszcze młodzieniaszka, który urósł wkrótce na cara i protoplastę dynastyi wielkiego państwa. Z czasem, ale już w naszej epoce, osnuto legendę, iż życiu Michała zagrażało niebezpieczeństwo, iż skrytobójcza dłoń nań godziła, a ocalił go jakiś prostaczek. Stosownie do chwili wytworzenia legendy, zrobiono z niej fakt dziejowy, a skrytobójczą dłoń nazwano polską dłonią. Cesarz Mikołaj uwiecznil nawet legendę pomnikiem, który na brzegu Wołgi wita wjeżdżających do miasta. Po roku 1831 stanął ten pomnik w Kostromie, i stał się propagandą legendy, zmyślonej już w epoce polistopadowej. Propaganda nienawiści przyniosła plon szybki; gdy bowiem około roku 1849 szerzyły się pożary w mieście, lud przypomniał sobie Polaków, których spotyka na płaskorzeźbach podstawy pomnika, i przypisując im wszystkie klęski ogniowe na nich spadające, postanowił wyrżnąć tych przynajmniej, co byli w mieście. W owych czasach było nieco w Kostromie Polaków w sferach urzędniczych; padliby oni zapewne pod siekierą ludowego tumultu, gdyby policya wszystkich nie zamknęła w więzieniu: nie znaleziono innego środka ocalenia naszych ziomków. Tumult ludowy nie wtargnął do murów więzienia: do krwawych gwałtów nie przyszło; tem bardziej, iż w duchu autokratyzmu cesarza Mikołąja było wstrzymywanie walki szczepów i stanów społecznych. On tego znieść nie mógł; a więc za jego rządów do takich zapasów nigdy nie przychodziło i nigdyby on na nie nie pozwolił. W późniejszych czasach zmieniły

się poglądy decydujących sfer, a tłumy karmiły się w następnych latach długo i wytrwale jadem nienawiści zaczerpniętym z dzienników.

W czasach znacznie późniejszych, historyk rosyjski Kostomarow wykazał w oddzielnej rozprawie całą sprzeczność tej nowożytnej legendy z prawdą historyczną i rzeczywistymi faktami; rylec dziejopisa unicestwił całe to zdarzenie, a jednak pomnik mniemanego zbawcy Michała, założyciela dynastyi Romanowów, wznosi się wciąż nad Wołgą, i legendy otaczające go nie przestają sączyć jadu nienawiści w umysły tłumów.

* * *

Drogi krajów, wegetujących jeszcze w stanie natury, przeważnie, jeźli nie wyłącznie, biegną wzdłuż rzek większych i ich dopływów. Takiemi są drogi w głębi Syberyi, takiemi często są one w krajach zawołżańskich, gdzie się zaczynają pustynie północy. Za Kostromą takim właśnie był nasz gościniec: wił się brzegiem Unży, lewego dopływu Wołgi, wśród lasów, zarośli, wśród wklęsłości, rozpadlin, drogą wąską, olbrzymiemi zaspami śniegu zawianą. Od Unży na wschód — błota, niziny, topiele, nieprzerwane pasma lasu, rosnącego na wilgotnym gruncie, na odwiecznych, nieprzebytych bagniskach, towarzyszyły nam aż do puszcz wiackich, do celu długiej, nużącej naszej podróży.

Mroźna, śnieżna, twarda zima, prawdziwa zima północy, ścięła grząskie topiele, wytworzyła z nich twardą powierzchnię, a wszystko to pokryła grubą warstwą śniegu, który wyrównał, zasypał

wąwozy, rozpadliny, zjednoczył pagórki i z falujących się wzgórzy równinę utoczył. Po tej równinie szybko pędziły, wśród dwóch ścian śniegu, dwoje sani naszej karawany. Droga niekiedy tak wąskim torem wyjeżdżona w śniegu, że niepodobna było jechać inaczej, jak „gęsiego“. Zaprzęgano tak po cztery konie, koń przed koń, a pies duży biegł naprzód i torował drogę całej karawanie. Posuwała się ona szybko, hałaśliwie, przy dzikich okrzykach pocztarzów i brzęku dzwonków.

Gościniec ten, rzadko uczęszczany, prawdziwym był szlakiem jasyru: różni przestępcy stanu od wieków, od dni upadku W. Nowogrodu, gdy tym ustronnym szlakiem pędzono jego synów i obrońców swobód północnej, słowiańskiej rzeczypospolitej, od dni podróży dzwonu uglickiego, który również przez te topiele wieziono na wygnanie, aż do naszego stulecia, do dni „Decembrzystów“—tym a nie innym szlakiem, szli na zatracenie. To szlak niewoli synów Rosyi. Polacy przeważnie innemi drogami, przez Niższy Nowogród i Kazań, dążyli na Syberyę.

Między Kostromą a Wiatką, na szerokich przestworzach pustyni, z dwoma tylko miasteczkami spotkaliśmy się. Pierwsze, bliżej Kostromy — to Makaryew nad Unżą, drugie, już blisko Wiatki—Orłów. W obu miasteczkach mieliśmy dwa różne, a charakterystyczne, spotkania z ziomkami.

Dojeżdżając do Makaryewa, posiadaliśmy wskazówkę, że mieszka tam jakiś lekarz, Polak, rodem ze Żmudzi, człowiek młody, niegdyś uczeń moskie-

wskiego uniwersytetu, niewygnaniec, który jako rządowy stypendysta odsługiwał swe stypendyum.

Spodziewaliśmy się, iż spotkanie ziomka wśród puszcz kostromskich będzie oazą wytchnienia dla znużonych jednostajnością wrażeń wcale niewesołych, przypuszczaliśmy, iż spotkamy się znowu z chwilą tak podniosłą jak owa, wysnuta z dźwięków poloneza samotnego starca w Jarosławiu. Lecz gościniec życia, również i szlak wygnańczej wędrówki, przebiega niwy rzadko kwieciem okryte; stopa pątnika najczęściej uderza o kamień.

W Makaryewie odszukanie wpomnianego lekarza, nie wywołało żadnych trudności. Jedynym tam był. W drewnianym, z okrąglaków skleconym domku, gdzie parter składał się z kuchenki i izdebek dla służby, a pięterko posiadało zaledwie parę szczupłych pokoików, niskich, ale widnych, bo ze znaczną liczbą okien, dość schludnych, papierem ciemnych barw wytapetowanych — powitał nas człowiek jeszcze dość młody, lecz o ruchach flegmatycznych, o zwiędłem, znużonem obliczu, o włosach płowych, rzadkich, z poza których przeświecała czaszka. Był to ów lekarz, ziomek.

Na pierwszy rzut oka już uderzał, zdumiewał apatyą jakąś, która z jego postaci spływała na otaczających. Parę lat pobytu na bezludziu, na lesistych Unży wybrzeżach, wytworzyły z niego pewien rodzaj automatu. Zniechęcenie do ludzi, obojętność na wszystko co go otaczało, bliższe i dalsze, zasklepienie się w atmosferze nader ciężkiej małego miasteczka, uwidoczniało się w nim w każdem słowie, w każdym niemal ruchu.

Spotkaliśmy w biednym lekarzu nowy, nieznany nam jeszcze typ samotnika, który nie zdołał uróść ponad bardzo poziome swe otoczenie, a ono pochłaniało go najzupełniej. Był to niby liść lipy naszej, który barwy nie traci i zapachem nęci, lecz oderwany od gałęzi pnia ojczystego, ginie, usycha i w proch się rozsypuje.

Obca atmosfera, owiewająca go nieznacznie, ale stale, wywierała też wpływ nieustanny, podkopujący, niszczący w nim wszystko dawne, aż do zewnętrznej jego postaci.

Z pewnego rodzaju uśpieniem duchowem, które w biednym tym samotniku dawało się spostrzegać, i rysy jego twarzy zmieniały się, przekształcały — stawał się innym człowiekiem. Widzenie ziomków, z kraju wprost przybywających, nieznanych wprawdzie, lecz w każdym razie ziomków, nie wywołało ani radości, ani zdumienia, ani uczucia żadnego. Równie obojętnie witał, jak żegnał. O kraj, o stosunki, o wszystko, co wywoływało w każdym z ówczesnych ludzi, nawet wśród obojętnych, żywsze serca bicie, nie zawadził ani słówkiem. Nie można było stanowczo orzec, czy tak dalece do wszystkiego zobojętniał, czy nad własne powszednie potrzeby ciała nic go nie obchodziło, czy też powiewy monotonne puszczy kostromskiej tak go uśpiły, ukołysały do snu nieprzespanego, z którego już nigdy nie miał się obudzić. Zdaje się, iż człowiek ten był innym jeszcze niedawno, przed niewielu laty, w dniach swej wcześniejszej młodości; był innym, gdy młodzianem wychodził zpod rodzicowej strzechy, tam kędyś za Niewiażą lub na wybrzeżach jeziora

Miednickiego, w świat szeroki, — gdy marzył, iż na ojczystym zagonie, ku pożytkowi własnych ziomków pracować zacznie, po ukończeniu studyów uniwersyteckich.

Rzeczywistość rozwiała marzenia; los oderwał wcześnie od pnia ojczystego; brak środków materyalnych znaglił go przyjąć na kursach uniwersyteckich stypendyum rządowe, co znowu wywołało konieczność przyjęcia tam posady, gdzie mu rząd wskaże: dano mu ją w głębi puszcz kostromskich, na bezbrzeżnych topielach nad Unżą.

Biedny człowiek utonął wkrótce w bezdennej toni umysłowego uśpienia tych zdziczałych zakątków świata. Samotność go zabiła. Towarzystwo obcych ludzi, urosłych na poziomych nizinach innej, spaczonej kultury, stało się jego grabarzem. Zanim go grób pochłonął, — a podobno wnet po naszej bytności w Makaryewie zmarł ów samotnik — już on prawie nie istniał dla innego świata, okrom puszcz kostromskich. Bezwiednie zapewne utonął w otchłaniach otoczenia swego.

Patrząc na to życie przedwcześnie złamane, a przynajmniej spaczone, na to wcielanie się bezwiedne, a dobrowolne, w obcą kulturę, uprzytomniałem sobie przyszłość wielu, bardzo wielu, którzy ginęli lub zginąć mogli na obczyźnie, jeżeli strzedz się i obronić nie potrafią od pochłaniającego ich obcego pierwiastku. A właśnie nasz lekarz podobno nie posiadał żadnego oręża ku swej obronie, nawet nie widziałem książek w jego izdebkach; praktyka lekarska także nie zabierała mu czasu; pozostały dlań

jedynie poziome rozrywki życia, a raczej wegetacyi tamecznych tubylców.

Po godzinnej, czy też dłuższej nieco rozmowie, apatyczny samotnik ożywił się nieco; widząc zaś, żeśmy bliscy odejścia, zatrzymał nas, proponując zostanie na obiedzie. Dzień zimowy, krótki nadzwyczaj w tych odległych, północnych okolicach, miał się ku schyłkowi; wahaliśmy się więc, czy nie należy śpieszyć z wyjazdem. Opóźnienie mogło być niebezpiecznem; z biegiem Unży od północy ciągnęły wichry, które sprowadzały zawieje.

— Nie bójcie się zadymki, — mówił nasz gospodarz, a w mowie jego już czuć się mocno dawał akcent obcy i zwroty obcego języka wciąż mu się nawijały — nie bójcie się, w lesie zadymka nie jest straszną; pies biec będzie jako przewodnik, zabłądzić niepodobna.

Zostaliśmy, sądząc, że spędzimy z gospodarzem jaką godzinę, która może i dla niego przyjemną będzie, bo w języku ojczystym mówić nie często mu się zdarza. Na usłyszenie mowy ojczystej czeka się tam niekiedy rok, dwa i więcej.

Stało się jednak inaczej, i wycofać się już zapóźno było, a prawie niepodobna. Samotnik bowiem oświadczył, iż w domu on zwykle gościem tylko, całe zaś dnie spędza w przedniejszym z domów miasteczka — u horodniczego; więc i ów obiad, na który nas zaprosił, u horodniczego miał się odbyć. Zdziwiło nas to niezmiernie i wcale nie ucieszyło; chcieliśmy się wycofać, ale było to niepodobieństwem, bez obrazy biednego naszego ziomka. Pozwoliliśmy przeto poprowadzić się do p. horodniczego, który

nas przyjął uprzejmie, jako gości swego przyjaciela, lekarza, i zaprezentował samej pani. Horodniczy, człowiek stary, wciąż zajęty grą w karty, na drugim planie stał w domu, a może i w zarządzie miastem, którego zwierzchnikiem był z urzędu; sama pani, kobieta młoda, energiczna, jak pospolicie bywają Rosyanki, rej wodziła w domu; zdaje się, że panią miasta mienić się mogła.

Nie wiem, co siłę atrakcyjną stanowiło w tym domu, ale zastaliśmy towarzystwo liczne, miejskie i zamiejskie, i jak rozmowa ogólna, ożywiona wskazywała, często ta gwarna gromadka przybyszów u gościnnego stołu horodniczego zasiadała. Oglądano nas ciekawie, z dyskrecyą zachowywano się wszakże; nie dotykano wcale pytań drażliwych, w związku będących bądź z naszym krajem, bądź z naszą pozycyą.

Pani domu, kobieta z pewną ogładą, bawiła nas, opowiadając szeroce o nudach pobytu w małej, powiatowej mieścinie, o zdradzieckiem fatum, które ją, wychowaną w stolicy, skazało na życie zdala od wielkiego świata, do którego los miał ją podobno przeznaczyć. Słuchaliśmy z niecierpliwością melancholijnych tyrad pani domu i szukaliśmy środków rychłego odwrotu. O późnej, wieczornej godzinie podano obiad, podczas którego udało się nam posłać kogoś po konie na pocztę i po naszą straż, która w ciepłej izbie pocztowej wysypiała się w najlepsze po trudach podróży.

Uczta długa, nużąca, późno się skończyła; podobno obchodzono jakąś uroczystość rodzinną. Jeszcze biesiadnicy siedzieli u stołu, jeszcze gwar

był w pełni rozwoju, gdy dzwonki naszej karawany dały się słyszeć. Korzystaliśmy z tak pomyślnego obrotu rzeczy, aby się wymknąć niespostrzeżenie. Pożegnaliśmy gościnnych gospodarzy i lekarza, który wśród biesiadnego gwaru tracił wiele ze swej apatyi. Żegnał nas równie obojętnie jak witał. Co do nas, żegnaliśmy go z żalem.

V.

Ciemną nocą opuściłiśmy Makaryew nad Unżą, ciemną nocą posuwała się nasza karawana niejedną dobę wśród lasów, bagien, topieli, zmieniając kierunek północny na wschodni. Śpiesznie posuwaliśmy się do celu podróży, bo już prawie miesiąc upływał od wyjazdu z domu: już i straż nasza chciała wreszcie stanąć u kresu wędrówki i zaczęła się niecierpliwić. Nocami przebiegaliśmy przestrzenie wielkie, mało zaludnione lub najzupełniej puste. Droga nasza w dalszym przebiegu, wijąc się wśród puszcz, zawadziła o kęs gubernii Wołogodzkiej, o jakiś jej węgieł wschodni, daleki, a znać nader ubogi, gdyż chleb, podany na jednej z tamecznych stacyj, uderzał swym niezwykłym kolorem i smakiem; był dziwnie biały, smak zaś miał słomy; wypiekano go z kory drzewnej, na miazgę utłuczonej, zmieszanej z małą ilością mąki, lub może wcale bez mąki. Podobnego chleba nigdy już później, podczas całego szerego lat, nawet w najbardziej głuchich zakątkach Syberyi, nie spotykałem.

Wreszcie powiedziano nam, że wjechaliśmy do gubernii Wiackiej. Nic się nie zmieniło wśród leśnego, zimowego krajobrazu. Gościniec otaczały dokoła lasy olbrzymie, mróz się wzmagał, szybkość

jazdy wzrastała, gdyż zaprzęgano konie rącze, malutkie, o kształtnej budowie, grzywie długiej, o szybkości zadziwiającej. Konie te rasy miejscowej, wiackiej, chyże, jak sarny, wytrwałe, a zdumiewająco rącze.

Cel podróży już niedaleki, zbliżał się tem szybciej, że wjechawszy do Wiackiej gubernii, lecieliśmy, niby na skrzydłach wiatru, wśród zasp śnieżnych. O kilka stacyj od Wiatki spotkaliśmy miasteczko powiatowe, Orłów, gdzie postanowiliśmy przenocować. Zmrok zapadał, wjeżdżać w nocy do miasta byłoby niedogodnem.

Zaledwie ulokowaliśmy się w izbie pocztowej, wsunęła się jakaś postać typowo-urzędnicza, przypominająca biuralistę biur dawnych z głębi państwa, która nam oświadczyła, że jest władzą najwyższą w miasteczku (horodniczym), że przybyła dowiedzieć się, jakich to więźniów wiozą, i nie może pozwolić, byśmy tu nocowali. Straż wobec tej interwencyi władz przygotowywać się zaczęła do wyjazdu, bez względu, iż mróz coraz bardziej się wzmagał.

Nie oponowaliśmy i my, wcale nie mając zamiaru polemizowania ze spotykanemi na naszym gościńcu władzami.

Wtem skrzypnęły znowu drzwi. Poza p. horodniczym ukazała się postać wyniosła, odziana w płaszcz długi, o kroju wojskowym, z futrzanym kołnierzem, zpod czapki wybiegały jasne blond włosy, okalając twarz młodą, nie liczącą zapewne dwudziestu nawet lat życia.

— Witam ziomków, — rzekł przybyły po polsku z akcentem litewskim — wspólnymi są losy nasze; mnie tu z Wilna przywieziono w lipcu, was teraz wiozą; przychodzę was powitać... Nazwisko moje Ksawery Korewa...

Powitaliśmy radośnie przybysza, przyszłego towarzysza wygnania, który od pierwszej chwili wywarł bardzo sympatyczne wrażenie, ale oświadczyliśmy mu zarazem, iż właśnie obecny tu p. horodniczy wyprawia nas natychmiast w dalszą drogę i nocować nie pozwala.

— O, nocować wy tu będziecie; nie myślcie nawet o wyjeździe; p. horodniczy zamiaru zaniecha — odrzekł przybyły i szepnął coś do horodniczego, dodając głośno po rosyjsku: — Mój koń na rozkazy pańskie, odwiezie pana do domu; powiedz pan woźnicy memu, by wracał do siebie, ja tu z ziomkami noc przepędzę.

Słowa młodego przybysza, wypowiedziane bardzo stanowczo, miały wpływ niezwykły. Horodniczy zapomniał o racyach stanu, co go skłaniały do śpiesznego wyrzucania nas w dalszą drogę; zaczął usprawiedliwiać się, że o zrobieniu przykrości nie myślał, że gotów nawet ominąć przepisy prawa i pozwala noc tu przepędzić; wreszcie pożegnał nas, a sanki Korewy odwiozły go do domu.

Noc długa, zimowa, przeszła miło, dla mnie przynajmniej, na pogadance z nowym kolegą.

Po kilkogodzinnej rozmowie zdawało się nam, że znamy się od lat wielu. Więcej słuchałem, jak mówiłem. Ksawery mówił wciąż, bez wytchnienia, mówił z zapałem; dźwięk mowy rodzinnej upajał

go, zachwycał. Śmiał się i płakał łzami radości. Spotkanie ziomków, z którymi mógł mówić językiem ojczystym, podzielić się tęsknotą swą, dowiedzieć się coś o kraju, usłyszeć słowo współczucia — było dla niego najwyższą rozkoszą. Wrażliwa, młodzieńcza dusza znalazła w nas oddźwięk najserdeczniejszego współczucia.

— Od lipca tu jestem — rzekł wreszcie — i po raz pierwszy dopiero słyszę mowę ojczystą, po raz pierwszy spotykam ludzi, co mnie rozumieją, jednako ze mną czują, i z nimi myślą dzielić się mogę. Nie domyślacie się nawet, jaka to dziczyzna mnie otacza...

Młodzian ów, który nie zdołał ukończyć rozpoczętych na petersburskim uniwersytecie studyów matematycznych, pochodził z Litwy, z rodziny dość zamożnej. Ojciec był niegdyś marszałkiem Trockim. Chociaż żył ojciec, matka wyłącznie kierowała wychowaniem synów, a że była wielką miłośniczką rządu rosyjskiego, wcześnie starała się starszych synów zaprawiać do służby temu rządowi. Drogą tej karyery poszli starsi, powodujący się wolą matki; ze znacznie od nich młodszym, Ksawerym, bieda była wielka; drogą studyów wojskowo-inżynierskich iść nie chciał; wbrew woli energicznej i stanowczej matki, zapisał się na kursa uniwersyteckie i marzył o życiu ziemiańskiem; po ukończeniu nauk marzył o pracy na roli w przypadającym nań małym folwarczku pod Oszmianą. Matka, która dwóch synów miała już na szerokim gościńcu karyery, przy wielkorządcy Litwy, Nazimowie, ze smutkiem patrzała na najmłodszego, który zaprządz się

nie dał do przywdziania munduru; uniwersytet wydawał się jej stekiem pojęć zgubnych; a zgroza tej kobiety zwiększyła się jeszcze bardziej, gdy ów Ksawery wziął udział w pierwszej manifestacyi, jaka miała miejsce w Wilnie, gdy go uwięziono, osądzono wraz z innymi sześciu i wysłano do malutkiej mieściny w puszczach wiackich. Wyrok opiewał, że powinien on był pracować w biurze tam, gdzie go internowano[1]).

[1]) Litwa z pierwszą demonstracyą—a były nią śpiewy hymnu „Boże coś Polskę“ w katedrze wileńskiej - wystąpiła bardzo późno: wypływało to z poważnego usposobienia tej prowincyi. Już w małych nawet mieścinach województw, położonych na południe od Prypeci, brzmiały hymny religijno-patryotyczne, a w stolicy Litwy jeszcze panowała cisza. Dopiero d. 8 maja (st. st.) 1861 r., podczas nabożeństwa w katedrze wileńskiej, odezwały się nieliczne głosy, śpiewające „Boże coś Polskę“. Głosy te przeważnie były niemiejscowe; uwięziono wszystkich, sądzono, na wygnanie wysłano; lecz właśnie ów ostracyzm skruszył skorupę kunktatorstwa Litwy. Śpiewy rozbrzmiały tak szeroko, jak sięgały na wschód i północ granice W. Ks. Litewskiego. Litwa składała dowody swej solidarności z Koroną, nie chciała ani na krok odejść. Do śpiewów w katedrze wileńskiej dały hasło następujące siedm głosów: Dybowski Bened. (z Mińskiego), Korewa Ksaw. (z Wilna), Limanowscy Bol., Luc. i Józ. (z Inflant), hr. Tyszkiewicz i Zelwerowicz. Oprócz Tyszkiewicza (sąd go uwolnił) i Dybowskiego, którego wyrok nie został wykonany, dzięki wdaniu się szlachetnego księcia Arkadyusza Suworowa, inni wywiezieni zostali: Bol. Limanowski nad Białe morze do Mezenia, (to jest prawdziwem, iż nie istniały w nim te zarodki kierunków radykalnych, które się później rozwinęły), braci jego zawieziono do Wołogdy; Korewa oparł się w Wiackiej gub., a Zelwerowicz gdzieś nad środkową Wołgą.

Praca biurowa młodego wygnańca szła niezbyt pomyślnie: biuraliści ówczesnego Orłowa tego rodzaju byli nicponiami i pijakami, że pracować z nimi przy jednym stoliku, czy też w jednej izbie, niepodobna było. Zwierzchnik biura niejednokrotnie zamykał w śpiżarni buty całej swej kancelaryi na godziny biurowe, i dopiero wówczas oddawał obuwie kancelistom piszącym boso, gdy upłynęły godziny biurowe. Miało to być wybornym środkiem, wstrzymującym kancelistów od wycieczek z biura i upijania się. Ksawery, dzięki środkom materyalnym, jakie posiadał, zdołał wkrótce uwolnić się od konieczności obcowania z ową gawiedzią w świątyni Temidy. Nie żądano, po kilku próbach, dalszych zajęć biurowych, ale niemniej pozycya codziennie cięższą się stawała, dla braku wszelkiego towarzystwa i wszelkiej umysłowej pracy. Książka lub obcowanie z ludźmi wykształconymi zaliczały się tam do zupełnych niepodobieństw.

Samotność i tęsknota wyegzaltowały jego usposobienie, nader wrażliwe i z natury już dość rozmarzone. Listy matki, patrzącej na pozycyę syna z punktu widzenia ultrarządowego, drażniły i dodawały najniepotrzebniej nowych trosk do umysłu skołatanego, raniły serce, prawdziwie matkę kochające.

Prosił on matkę, aby mu wolno było przenieść się do Kazania z prawem uzupełniania tam studyów uniwersyteckich; dla matki, mającej u Nazimowa stosunki, bo starsi synowie byli dobrze u wielkorządcy widziani, łatwem to było. Ale matka ulg tych dla syna nie pragnęła, snać żądając, aby los

syna i cała jego przyszłość zwichnięta stały się ekspiacyą za czyny i dążności nienawistnego dla niej ruchu narodowego.

Nie wszystko, ale znaczną część tych okoliczności, tyczących się Ksawerego, dowiedziałem się z jego ust podczas owej nocnej pogadanki. Resztę dowiedziałem się później, a wkońcu miałem możność osobistego poznania w Wilnie tej matki o lojalnych usposobieniach, a serca twardego.

Noc, spędzona na rozmowie z Ksawerym, ostatnią była nocą długiej wędrówki, miesiąc trwającej. Dzień następny już doprowadził do celu podróży. Nadzwyczaj mroźny świt zimowy powitał nas w saniach.

Przesunęły się niby w panoramie, z szybkością niezmierną, wielkie ściany wyniosłych lasów, zamykające gościniec i dalsze horyzonty krajobrazu; przesunęły się wioski nieliczne, lecz dość obszerne, zwiastując miasto nieco większe, stolicę prowincyi— Wiatkę. Dzień był niedzielny, wylegały przeto liczne gromadki ludu na ulice wiosek, bez względu na mróz ostry, tamujący oddech, wylegały tłumnie, zwabione dwoma dzwonkami naszej karawany, świstem i okrzykami woźniców, jazdy szybkością. Przypatrywano się ciekawie, a my mieliśmy możność czynienia spostrzeżeń, o ile na to mróz i szybkość jazdy pozwalały. W przelocie wszakże ukazały się nam typy ludu bardziej może słowiańskie, niż w środkowej Rosyi; wsie to były starej kolonizacyi wygnańców, wypędzonych przed wiekami ze zdobytego i zniszczonego Nowogrodu. Słowiańska lud-

ność, jeśli nie jest mniejszością w owej odległej prowincyi, w każdym razie niezbyt góruje liczbą.

Statystycznym danym w Rosyi niewiele można dawać wiary; zbiera je zwykle i układa podrzędny urzędnik, nietylko o statystyce, ale o niczem nie mający pojęcia, co przekracza zakres jego biurowych zatrudnień; niemniej wszakże widzimy tam nawet w urzędowych wykazach znaczną ilość niesłowian wśród dwóch milionów, które zaludniały wówczas wiacką gubernię. Wotiacy, Czeremisi, Tatarzy, Zyryanie, Permiacy, Baszkirzy, Besermianie i inne szczepy, mniej lub bardziej ukształcone, mniej lub bardziej w stanie pierwotnym, a w każdym razie nic ze słowianizmem wspólnego nie mające, tworzą jednę z podstaw dawnego zaludnienia.

Poza szeregiem tych ludów i ludków, które na wybrzeżach Wiatki i Kamy są najstarszymi przedstawicielami zaludnienia, spotykamy potomków dawnych Nowogrodzian, a dopiero ponad tem wszystkiem urasta ludność, dominująca dziś ilością i władzą, ludność szczepu panującego, sporo w swych żyłach posiadająca krwi tubylców.



Wiatka już oddawna, od czasów najbardziej odległych, była miejscem wygnania. Konfederaci barscy, pędzeni na Sybir, ominęli ją. Znacznie na południe od niej leżący Kazań, dla jeńców barskich tworzył punkt zbioru i wypoczynku. Z Kazania, zgrupowane, drobniejsze gromady konfederatów rzucano większymi tłumami za Ural, w głąb pustyń, mających wszelkie warunki stopniowego ich wygu-

bienia wśród okoliczności najdotkliwszych. Omijaną była Wiatka za dni Katarzyny; nie dlatego, by lepsze posiadała warunki od innych miejsc wygnania, lecz owo panowanie, lubujące się we wszystkiem, co nosiło charakter ogromu, lubujące się w sławie rozgłośnej, jeśli zakreślało plany — to olbrzymie, gdy wytrzebiało miasta — to z gruntu, gdy zdobywało kraje — to państwa całe, gdy wysyłało na wygnanie — to na krańce świata, za Irkuck lub do Kamczatki.

Przestrzeń, wynosząca więcej niż dwa tysiące kilometrów, od granic dawnej Polski do Wiatki, była snać zamałą, by na jej przebieganie skazywać konfederatów barskich. Szukano przeto innych, szerszych pustyń, w nieskończoności mil ginących, i tam wytwarzano dla nich ziemię wygnania a zarazem zatracenia. Wielkimi tłumami pędzono ich na Wschód; poszli — i nie wrócili...

W czasach nieco bliższych, za dni cesarzów Aleksandra I i Mikołaja I, dostrzeżono, iż zatracanie powolne, wegetacya, usiłowanie wytworzenia ciągłego, stopniowego konania, zarówno w okolicach przeduralskich jak i zauralskich, w mniej odległych, jak i w bardziej odległych, może być osiągniętem. Od czasów Pawła nie wożono więc na Kamczatkę, poprzestano na okolicach bliższych; bo bliższe dzikszemi są nieraz i przykrzejszemi niż odległe. Mniejszym kosztem tenże sam cel zdobywano. A zatem, gdy nadszedł i przeszedł rok 1831, Wiatkę zapełniać zaczęto wygnańcami.

Cesarz Mikołaj I, wobec uczestników walki listopadowej, nie zapędzał się zbyt w objawach su-

rowości — przynajmniej stosunkowo do tego, co się działo za rządów jego następcy, w latach późniejszego powstania; mścił się na instytucyach krajowych i kraju, nad jednostkami mniej się znęcano — klasyfikował on jeńców, na dwie kategorye ich dzieląc: do jednej należeli ci, co z bronią tylko mieli do czynienia, do drugiej — a tę za bardziej karygodną uważał — ludzie, którzy mieli udział w napadzie na Belweder. Dla tych spiskowych ustanowioną została, po upadku listopadowego powstania, oddzielna komisya śledcza i sąd: i jedno i drugie utworzono w Wiatce. Tak więc ludzi uczestniczących w spisku przedwybuchowym i Belwederczyków, o ile posiadano ich w ręku, badano i sądzono w Wiatce. Do Wiatki dla badań przywożono Piotra Wysockiego. W Wiatce również więziono po r. 1831 wywożonych bez sądu ze wschodnich prowincyj kraju: było ich w owej epoce w ciągu lat kilku przeszło trzystu w samem mieście gubernialnem; niektórych lokowano i w powiatowych malutkich mieścinach [1]).

Od owych dni Wiatka stała się siedzibą wygnańców polskich z różnych epok klęsk i prześladowań. Kilku Rosyan wybitniejszych także odbywali w Wiatce wygnanie: rozgłośny później pod imieniem Iskandera, Hercen, pełen talentu Sałtykow, znany później pisarz, piszący pod pseudonimem Szczedryna, pędzili tam dni wygnania. Patryota finlandzki, profesor helsingforskiego uniwersytetu, Azelius, również tam był internowany.

[1]) Z Wołynia w owym czasie porwani i osadzeni w Wiatce byli wśród innych: Gracyan Baykowski z Owruckiego, Konstanty Teleżyński, Michał Nyko.

W ciągu lat kilkudziesięciu XIX w., Wiatka stała się klasyczną ziemią wygnania. Nie było żadnego wypadku większego rozgłosu, z zakresu ruchów rewolucyjnych, lub naszych usiłowań, żadnego objawu niepodległej myśli w tem państwie obszernem, o ciężkich warunkach istnienia, aby każdy taki wypadek nie sprowadził do Wiatki kilku lub kilkunastu wygnańców, aby nie upamiętnił się w jej puszczach cierpieniami pewnej ilości ludzi. Z życiorysów tych ludzi możnaby wysnuć długie pasmo.

Około 1860 r. przerzedziły się znacznie szeregi wygnańców w Wiatce i w innych okolicach Rosyi; ówczesne początki rządów Aleksandra II zdawały się wróżyć, iż wrzeciądze bram wygnania rdzą się okryją, a szlaki Syberyi chwastem zarosną. Kwiat nadziei w owem państwie nigdy długo nie kwitnie. Powiewy mroźnej rzeczywistości niszczą go w zawiązku.

Rozpoczynające się czasy naszych ruchów wznowiły niezbyt dawną tradycyę wysyłań bez sądu, porywań pierwszych lepszych na wygnanie. Wiatka znowu od wiosny 1861 r. zaludniać się zaczęła: tym razem wyłącznie Polacy, i na długo, na bardzo długo mieli pod jej niebem pędzić dni tułacze. Gdy tam przybyliśmy, zaledwie trzech, czterech, liczono wygnańców; wnet przy nas kontyngens wzrastać zaczął, i wzrastał z szybkością lawiny śnieżnej ze szczytów lecącej.

Wkrótce spotykano ich tam ciżbę niezwykłą, ale już na to nie patrzałem: niedługo potem byłem gdzieindziej.



W godzinach południowych, dnia 10 listopada (st. st.), przed domem wiackiego gubernatora stanęła nasza karawana.

Byliśmy u celu podróży.

Straż weszła z papierami do wnętrza na chwilkę krótką, wnet bowiem wróciła z poleceniem, by nas wieść do biura policyi, gdzie powiedzą o dalszych losach naszych.

Prawdopodobnem było, że każą dalej jeszcze nam się udać, do którego z miast powiatowych, dla tem większej prywacyi ducha: tak zaleca ścisła interpretacya prawa o ludziach wysyłanych bez badań i sądu.

Czekaliśmy tedy w izbie policyjnej, o bardzo nieestetycznym wyglądzie, na owe dalsze wyroki losu.

Oczekiwanie długiem nie było; zanim jednak skończyło się, stanęli przed nami dwaj ziomkowie, którzy na kilka miesięcy przedtem na wygnanie z Ukrainy byli przywiezieni. Dowiedziawszy się o przybyciu naszej karawany, śpiesznie przybyli do biura w celu powitania nas i dania wskazówek stosownych, na przypadek gdyby wieźć chciano dalej, do powiatowego miasta.

Wędrówka tym razem miała się skończyć na Wiatce. Nadszedł p. policmajster, oświadczając, że p. gubernator pozwala nam wszystkim trzem w gubernialnem mieście pozostać. Obecnie możemy wypocząć, a jutro o południu, stawić się mamy u gubernatora.

Z radością prawdziwą powitaliśmy wiadomość, iż długa, uciążliwa wędrówka stanowczo do kresu dobiegła, i wreszcie, że nie będziemy osamotnieni.

Ziomkowie, przyszli koledzy wygnania, którzy w biurze policyi nas powitali, uprzejmością swą ujęli mocno. Wspólne losy zbliżyły nas natychmiast, szczególniej mego brata; wiekiem zbliżony on był do nich, a usposobieniem swem łacno ludzi ujmował. Nasi koledzy byli to ludzie lat średnich, ojcowie rodzin, ziemianie z pogranicza ukrainnego, z okolic Berdyczowa: Stanisław i Julian Morzyccy. Pierwszy, młodszy nieco od swego brata, już odbywał wygnanie syberyjskie od 1848 r., i, niedawno wrócony krajowi, znowu udać się musiał z bratem swym, wskutek jakichś, ściślej nieokreślonych podejrzeń, na owo wiackie wygnanie. Obaj oni, podobnie jak mój brat, jak trzeci kolega z nami przybyły, Dyonizy Kadłubiski, zostawili rodziny w domach swych, w kraju, co dodawało niemało boleści do ich losów nader niewesołych, o niepewnej przyszłości. Oprócz dwóch M., spotkaliśmy w Wiatce dwóch Czarnołuskich, przywiezionych niedawno z Wołynia.

Nowi koledzy zawieźli nas do mieszkania swego, gdzie pożegnaliśmy naszych strażników i rozpoczęliśmy obrady nad urządzeniem się z mieszkaniem.

Straż pożegnała nas uprzejmie; widocznie, iż źle jej z nami nie było podczas tej całomiesięcznej odysei, wśród błota, słoty, a później śniegów i mrozów o niezwykłej surowości. Urzędnik tylko wiozący K. uskarżał się, iż nie zdołał wedle instrukcyi jechać klasycznym szlakiem wygnania, przez Carewo-Kokszajsk, Kosmo-Demiańsk, i dziwił się, jak mu u rogatek Moskwy poplątała drogi jakaś zła siła. Pocieszaliśmy biedaka rutynistę. Odjechał, zdaje się,

pocieszony zupełnie. Z mieszkaniem także rzeczy poszły szybko. Lokal zajmowany przez braci Morz., braci Czarnołuskich i jeszcze jednego wygnańca z dawnej plejady wygnańców (1848), staruszka Wiatrowskiego, można było rozszerzyć; donajęliśmy do tego co było izdebkę, i w ten sposób wszyscy ówcześni wygnańcy w jednym domu zamieszkaliśmy.

Nazajutrz po przyjeździe do Wiatki ulokowani już byliśmy w lokalu naszym, z którego rychło się wytworzył pewien rodzaj klasztorku. Każdy posiadał swą izdebkę lub swój kącik oddzielny zupełnie, niby maluczką celę, gdzie pracy lub rozmyślaniom mógł się oddawać, a nikt mu nie przeszkadzał; wspólna zaś izba, rodzaj saloniku, zgromadzała nas wszystkich w pewnych chwilach dnia na wspólny posiłek, na przyjęcie gościa, gdy się zdarzył, i wreszcie na wspólną również pogadankę, jak i modlitwę. I jedna i druga była dla nas dźwignią niemałą, a ukojeniem niezaprzeczonem. O modlitwie, najczęściej przytem wspólnej, wygnańcy owej epoki, w Wiatce przynajmniej, nigdy nie zapominali.

VI.

Prezentacya gubernatorowi, formalność obowiązująca każdego z wygnańców, miała dla nas tę korzyść, iż wreszcie dowiedzieliśmy się, za co nas wywieziono. Nazajutrz po przyjeździe odbyła się owa ceremonia. Ówczesnym gubernatorem wiackim był Klingenberg, z pochodzenia Niemiec, człowiek grzeczny i ludzki. Gdyśmy się stawili w sali recepcyjnej, przyjął nas dość uprzejmie, i przeglądając przybyłe z nami czy też oddzielnie nadesłane nasze tak zwane formularze wygnańcze, rzekł:

— Panowie jesteście skazani na wygnanie, bo u siebie na wsi wznieśliście krzyż...

Mówiący wyrzekł to powoli, z pewnym namysłem; widocznie oczom własnym dobroduszny Niemiec nie wierzył; jakoś mu się w głowie mieścić nie chciało, iż wzniesienie krzyża może ludzi poprowadzić na wygnanie.

Wkrótce miały nadejść czasy, w których jeszcze dziwniejsze rzeczy działy się przed okiem współczesnych.

Wizyta u gubernatora, który ponowił dany rozkaz, że możemy pozostać w mieście gubernialnem, zakończyła szereg formalności niezbędnych do załatwienia, wprowadziła spokój, chociaż chwilowy,

do naszej myśli. Odtąd rozpoczęły się dla nas dni ciche, które należało pracą zapełnić.

Praca łatwą nie była; brak książek mocno dawał się uczuć. Każdy z nas wprawdzie przywiózł z sobą parę książek, nieco ich znalazło się w biblioteczce po dawnych wygnańcach — ale to wszystko nie wytwarzało ani większego księgozbioru, ani też nie imponowało jakością. Pocieszaliśmy się nadzieją, iż z czasem coś się sprowadzi, a coś wyszuka wśród stosunków, które w gronie ziomków zawiązywały się.

Wiatka posiadała wtedy kilka domów urzędników Polaków. Wszyscy ci ziomkowie nie stronili od nas; jeszcze bowiem nie były nadeszły czasy, iż stosunek z wygnańcem pociągał za sobą dymisyę, lub przynajmniej szereg mniejszych a dokuczliwych przykrości; owszem, wszyscy odznaczali się uprzejmością dla nas i pamięć o nich wszystkich miłą i dobrą nazawsze pozostała. Zapewne wszyscy są już w grobie: składam więc na ich mogiłach słowo dobrej pamięci.

Najwybitniejszym wśród nich, najbardziej wpływowym, a zarazem najżyczliwszym dla wygnańców, był radca gubernialnego zarządu, Aloizy Rodziewicz. Dość wysokie stanowisko urzędowe, na którem zastaliśmy go, dawało możność wywierania dobrego wpływu na wyższe, rządzące sfery, tj. na gubernatora. Dzięki tym uczciwym wpływom, wytworzyła się dla wygnańców pozycya wcale znośna, a przynajmniej pozbawiona tych drobnych szykan, zdolnych zatruć wszystkie chwile życia.

Mieszkanie nasze wspólne, cisza i pewna powaga naszego życia, bijąca, na zewnątrz, zdobyły szacunek władz. Dom nasz nazwano „kolonią polską“ i ceniono ją. Korzystając z lepszych usposobień czynników decydujących, nasunięto władzom myśl, czy nie należałoby wszystkich wygnańców, jeśli są jeszcze gdzie w powiatowych mieścinach wiackiej gubernii, zwieźć do gubernialnego miasta, aby mogli być wszyscy razem, uwolnieni przynajmniej od zupełnego osamotnienia: towarzysze doli, mając wpośród siebie upadających pod brzemieniem troski, tęsknoty, biedy, mogliby stać się dla nich pomocą, dźwignią, pociechą.

Projekt podobał się władzom. — Zgrupujemy wszystkich razem; tem lepiej, łatwiej ich mieć na oku, gdy są razem — rozumowały władze — i wydano polecenie zwiezienia wszystkich z powiatowych miasteczek do naszej „kolonii“ w Wiatce, a nawet posłano rozkaz do stacyi ostatniej przed miastem, aby każdy Polak, wygnaniec, któryby z Polski przybywał, zawieziony był przedewszystkiem nie do biur policyjnych i gubernatora, ale do naszej „kolonii“, która zajmowała cały dom, a później dom i oficynę kupcowej Olginy, przy ulicy Orłowskiej.

— Niech tam zajeżdżają, — mawiały ówczesne władze, dość dla nas życzliwe — a po wypoczynku należytym, gdy w gronie współtowarzyszów ciało wyprostuje znużone członki, gdy myśl znajdzie nieco spokoju i wróci do chwilowej bodaj równowagi, wówczas będą mogli władzom zaprezentować się.

Rozkazy te niezwyczajne, nigdzie wśród ziem

wygnania niepraktykowane i w owem państwie niesłychane, ze względu na swą ludzkość, prawdziwą łaską były dla niejednego, a zarazem dowodem zaufania rzeczywistego dla tych, co ową kolonię wytworzyli i rzucili podwaliny ładu, spokoju, pewnej podniosłości ducha, która tam, w owym klasztorku wygnańczym panowała.

Rozkazy te wydano w jakie trzy tygodnie po naszym przyjeździe. Prawdopodobnym inicyatorem rzeczonych pomysłów był wspomniany wyżej radca Rodziewicz; ale i panu Klingenbergowi, ówczesnemu gubernatorowi, należy się słowo uznania, że umiał korzystać z rad zacnych i światłych ludzi.

Po rozpatrzeniu się w warunkach miejscowych, dawał się nam uczuć brak kościoła, brak domu modlitwy. Zgromadzaliśmy się wprawdzie wszyscy mieszkańcy wygnańczego klasztorku do głównej izby domu, i tam wspólne wieczorne modlitwy odbywaliśmy, ale wystarczającem to nie było. Łatwo można było przewidzieć, iż wobec wzmagającej się w kraju represyi, nadbiegną wkrótce nowe karawany wygnańcze i w gronie więźniów księża przybędą; na ten więc przypadek chcieliśmy urządzić dom modlitwy, pewnego rodzaju oratoryum. Brat mój myśl tę powziął i popierał ją, jak wogóle wszystko, co zdolnem było duchowo podnieść naszą wygnańczą gromadkę. Ceniono go i kochano, słowo jego posiadało wpływ; żywioły dość różnorodne jednoczyły się i postępowały we wspólnym kierunku, tak iż zdawało się, że nie przypadek, nie ciężkie próby doświadczeń losu, ale dobrowolny wybór zgromadził nas pod jednym dachem.

Postanowiliśmy wynająć wspólnemi siłami parę pokoików na kaplicę. Poszło to łatwo. Mieszkania były tanie. Chodziło przedewszystkiem o pierwszy krok; sądziliśmy, że wszystko inne wkrótce się znajdzie. Nie zawiedliśmy się tym razem.

— Będziecie mieli i aparata do swego kościoła — zawołał raz zacny radca, wpadając szybko, jak zwykle, do naszego mieszkania. — Później wam opowiem gdzie, co, jak; niech kto z was siada ze mną, sanki me czekają; przywieziemy zaraz aparata....

Pojechałem z radcą. Najmłodszy z całej gromadki, zawsze gotów i nader ochoczy byłem do wszystkich wycieczek. Minęliśmy parę ulic i chyży rumak zawrócił na cerkiewne obejścia. Zdziwiłem się niezmiernie.

— Nie dziw się — mówił mój przewodnik — jedziemy do protojereja (prałata) Azaryusza (Azaryj). Znali go i cenili wasi poprzednicy, wygnańcy z roku 1831; on ich żegnał piękną, serdeczną przemową, gdy manifest cesarza Mikołaja I. pozwolił im wrócić do kraju; wygnańcy na znak podzięki dali mu kubek srebrny z wyrytymi na nim wyrazami uznania; u niego też, pod jego opieką, zostawili aparata kościelne, mensę, mszał i inne sprzęty. Obiecał mi on to wszystko wam oddać.

Przy tych słowach weszliśmy do owego protojereja Azaryusza.

Starzec powitał nas obu, niby dobrych znajomych, a snać uprzedzony o godzinie naszego przyjazdu, wszystko już miał przygotowane.

— Od wielu lat czekają te rzeczy, — mówił Azaryusz — czekają na właściwe ręce, w które zło-

żyłbym ów depozyt. Byli tu różni wygnańcy, po tych co mnie to oddali, ale jakoś sprawy te ich nie obchodziły. Nie uznawałem za słuszne im się narzucać; aż wreszcie doczekałem się innych czasów; w was, jak mówią, jest jakaś gorącość do służby bożej; weźcie to, przydać się wam może. Wszystko w porządku i dobrze zachowane.

Tu mój przewodnik, przy wyrazach podzięki, napomknął coś o kubku. Starzec, widocznie rad wspomnieniom, uprzytomniającym lata dawno ubiegłe, wyjął z szafy srebrny kubek, i wskazując wyryty na nim napis łaciński, rzekł:

— Pamiątka cenna dla mnie bardzo, dar niespodziany, ofiarowany mi bez żadnej z mej strony zasługi; pamiątka po ludziach i czasach pogrzebanych. Dzielni to byli przedstawiciele najszlachetniejszego ze szczepów słowiańskich. W myśli widzę ich wszystkich, widzę ich dotąd. Bóg nie przyjął jednak ich ofiary; może nadejdą tacy, których ofiara przyjętą zostanie...

Ktoś nadchodząc, przerwał wyrazy starca, które wysnuwał powoli z pamięci, niby przypominając rzecz dawno słyszaną, mówiąc coraz ciszej, jak gdyby do siebie jedynie.

Zdumiałem się słowom starca, Jedynym i wyjątkowym człowiekiem, jedynym popem w Rosyi mienić się mógł Azaryusz. Podobnych jemu nigdy później nie spotykałem, acz na szerokich przestworzach, w ciągu lat wielu, widywałem całą ciżbę ludzi i kapłanów tego narodu.

— Gdy jesteś ciekawy ludzi niezwyczajnych, innych niż codziennie spotykasz — mówił radca pod-

czas powrotu do naszej kolonii — to poznać musisz człowieka, którego adres zostawię ci. Jestto nasz ziomek, samotnik, człek zacny, zdziwaczały, zgorzkniały, długoletni wygnaniec. Sam się udaj do niego; ja tam nie bywam i nikt inny nie bywa.

— Więc i ja progu tego zaklętego nie przestąpię — odrzekłem.

— Że zaklęty próg to pewna; spróbuj jednak, może ci się uda, Typ to ciekawy, godzien szacunku, lubo od ludzi ucieka i stroni. Wy jesteście inni nieco, niż dotychczasowi, co tu gościli, może wam uda się dotrzeć do pustelnika. Wygnaniec to najstarszy latami wygnania, równie w Wiatce, jak i w całem państwie. Przed czterdziestu laty przysłano go tu, i zapomniano o nim. Używa wprawdzie przywilejów pewnych, jest od kilkunastu lat urzędnikiem, zasiada w sądzie na stanowisku niepodrzędnem; potrzebujemy bowiem ludzi wykształconych, a nieskazitelnych — on jest takim: ale gdyby chciał, albo potrzebował stąd wyjechać, nie miałby prawa; droga do kraju dla niego zamknięta. Manifesta przed kilku laty wydane, o różnych kategoryach ludzi mówiły, wszystkich uwalniały, wszystko oddawały zapomnieniu — o nim zapomniały, czyli raczej o kategoryi, do której on należy, którą sam jeden reprezentuje, nie rzekły ani słowa. Nie przypuszczano zapewne, by istniała jeszcze.

— Cóż to za kategorya? — zapytałem.

— Był posądzonym o należenie do lóż masońskich; co w nich działał, i czy rzeczywiście uczestniczył — niewiadomo; działo się to w czasie, gdy loże wszędzie zamykano. Zabrano go z katedry

profesorskiej liceum nieżyńskiego, na Zadnieprzu, gdzie wykładał prawo, i tu przysłano. Dziwnie dawne to rzeczy; w ciągu lat wielu nie zbliżył się do tutejszego społeczeństwa, chociaż z nim niejako zespolony, bo urzęduje; nie jest więźniem skazanym na wegetacyę, pomimo to jednak nikogo nie zna i znać nie chce; rozmawia ze współtowarzyszami urzędowania o tyle, o ile z konieczności niezbędnej należy, zresztą wcale się z nimi nie wdaje. Przy końcu sesyi urzędowej, skinieniem głowy żegna kolegów, nakłada w biurze czapkę i odchodzi. Nikt go już nie widzi aż do dnia następnej sesyi. Tak trwa lat wiele. Przyzwyczajono się do tego; budzi on niemały szacunek; z uszanowaniem na niego patrzą: jeśli nie umieją należycie ocenić nauki, znacznego zasobu jego wiadomości, oceniają prawy charakter, niezłomne zasady. Poza biurowymi kolegami nikt go nie zna wśród warstw ukształceńszych, ale wybornie znają biedacy: dla nich on zawsze widzialny, obecny, dla nich prawie wyłącznie trzyma krów kilka. Codziennie biedota przychodzi do niego po mleko, i nikt jeszcze, jak mówią, z próżnym garnkiem od niego nie odszedł...

* * *

Po paru dniach, kiedy rozeszliśmy się o wczesnym zmroku do izdebek naszych ze wspólnej izby jadalnej, skorzystałem z chwili, która wieczorem jeszcze nazwać się nie mogła, a już przestała korzystać z dziennego światła, aby udać się do wskazanego mi mieszkania najdawniejszego wygnańca.

Dorożkarz o jednokonnych, maluczkich, wiej-

skich sankach, za dziesięć groszy polskich, zawiózł mię na jakąś odludną ulicę. Pospolicie cichemi są ulice miast rosyjskich, nawet większych, nawet w dzień; cóż rzec o ustronnej uliczce w Wiatce, podczas zimowego zmierzchu? Pustkowiem nazwać się mogła.

Poza okopami śniegu, wytworzonymi przez śnieżną zawieję, ledwo zdołałem dotrzeć do furtki bramy. Odemknąłem, i torując sobie drogę laską, dobrnąłem z trudem niemałym do drzwi jakichś, prowadzących do suteryn. W izbie obszernej, słabo oświetlonej, dość niskiej, o sprzętach ubogich, powitał mię pytającem spojrzeniem starzec nieco pochylony, stojący na środku izby.

Powiedziałem mu moje nazwisko.

— Jestem Szapuliński — odrzekł głos stłumiony, jakby z trudnością dobywający się z piersi.

Na spokojnem obliczu starca promyki wzruszenia ukazały się i zgasły. Opanował je prędko. Przyzwyczajony do zamykania w sobie wszelkich uczuć, po chwili był on znowu obojętny, wpatrzony przed siebie, i ślady wzruszenia, wywołanego zapewne usłyszeniem mowy rodzinnej, zniknęły bezpowrotnie.

Wskazał mi miejsce obok siebie. Usiedliśmy. Rozmowa szła opornie. Powiedziałem mu, że przychodzę poznać najstarszego wśród wygnańców, nietylko wiackich, ale z całego obszaru ziem wygnania; spodziewam się, iż mi przebaczy kołatanie do drzwi, które, o ile wiem, dla świata są zawsze zamknięte.

Potrząsł głową, uśmiechnął się smutnym uśmiechem niedoli i dłoń mi uścisnął.

Dobrze widocznie przyjął me wyrazy, mówiąc wszakże mniej ustami, więcej uściśnieniem dłoni i wzrokiem, który się ożywiał niekiedy, ale na krótko. Siła woli tłumiła każde żywsze uczucie, niemal każde serca uderzenie, a język odzwyczajony wogóle od mówienia, a przytem łamiący się z trudnościami mowy ojczystej, na każdym kroku odmawiał posłuszeństwa. O jego przeszłości ani wówczas, ani też później nic nie dowiedziałem się, oprócz chyba tego, że pochodził ze Żmudzi, że odbywał studya w wileńskim uniwersytecie, które ukończył około r. 1811, że wreszcie ziomków od lat wielu nie widział, bo podobno ci z listopadowego powstania, co opuścili Wiatkę w r. 1834, ostatnimi byli, z którymi obcował.

Jeśli jednak przeszłość starca pozostała dla mnie zagadką, mogłem wytworzyć sobie pojęcie o teraźniejszości, porównywając to, co słyszałem z ust radcy, z postacią starca, smutną, poważną, przygnębioną — więcej może brzemieniem nieszczęść, niż lat.

Postać wyraźnie mówiła, że mam przed sobą człowieka wysokiej zacności, niezmiernego hartu woli, człowieka, który tak wiele cierpiał, że wreszcie nieszczęściem owładnął, nad troską zapanował, a tęsknota siostrzycą mu się stała.

Starzec ten urodzeniem sięgał zapewne znacznie w głąb XVIII w.; siły mu jednak jeszcze dopisywały, chodził wiele, i na zmiany temperatury wcale nie był wrażliwy. Podczas wielkich mrozów niezbyt ciepło ubierał się, kaloszów nie znał. Wzrost średni, lub nieco wyższy, budowa mocna, o bar-

kach trochę pochylonych, dźwigających piękną głowę znacznych rozmiarów, wyróżniały go z tłumu. Głowa szczególnie uderzała swą niepospolitością i dziwny kontrast czyniła z suknią wyszarzałą, ubogą, wcale nie licującą z urzędem wyższym, jaki zajmował. Głowa ta, kiedyś zapewne dziwnie piękna, zwracała zawsze uwagę wybitną charakterystyką, swą lwią fizyognomią. Głębokie bruzdy, wijące się w przeróżnych kierunkach, gęstą siecią okrywały twarz piękną, białą, niby wyrzeźbioną z kości słoniowej, okoloną długiemi włosy, które z biegiem lat śnieżną barwę na żółtawą zmieniły.

Pomimo sił jeszcze niewyczerpanych, pomimo mocy budowy, stawiającej opór klęskom i dłoni czasu, głowa pochylała się ku piersiom, acz promienie oczu biły w górę, ku sferom i światom nieznanym: snać z niemi częściej niż z ziemią obcował.

W tej pochylonej nieco postawie, siedział pochmurny, słuchając mię, więcej milcząc, niż głos zabierając; lecz bacznie śledził każdy wyraz, każdą myśl: świadczyły o tem nieznacznie przebiegające odblyski wzruszeń, drgania muszkułów twarzy napozór spokojnej jak posąg.

Nie przedłużałem odwiedzin, chciałem je wkrótce ponowić: postać i całe zachowanie się starca budziły ciekawość, do której zaspokojenia, sądziłem, że dosyć jeszcze znajdzie się czasu. Wygnania trwają w owem państwie lata... dziesiątki lat. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że łaski, bądź nowe kary, spadając niespodzianie, rzucają osobą i dolą wygnańca niby wiatr jesienny liściem zeschłym, że i tam spokój o jutro nie istnieje.

W kilka dni później, Szapuliński o zmroku odwiedził mię. Niezwykły to był wypadek w jego ówczesnem życiu, by kogo odwiedzał; ci co o tem później w mieście opowiadali, nie dawali wiary, iż pustelnik widzialnym się staje. A jednak w istocie, choć trybu życia wcale nie zmienił, kilka razy był u mnie. Widok ziomków, dźwięk mowy rodzinnej budziły go stopniowo z odrętwienia. Milczący — badawczem, wymownem spojrzeniem wszystkich obrzucał; zrzadka dorzucając słowo swe ciche do ogólnej rozmowy, przysłuchiwał się wszystkiemu z wielką uwagą. Skoro jednak ktoś wszedł z nienależących do wygnańczego koła, zaciskał dłonie i, sięgnąwszy po czapkę, cicho, niespostrzeżenie izbę opuszczał.

Opowiadania o kraju zajęły go bardzo, ale, pomimo gorącego zajęcia się tem, co słyszał, poprzestawał na roli biernej słuchacza, sam o nic nie pytał; na twarzy zdziwienie, smutek lub radość wielekroć uwydatniały się, ani jednem wszakże słówkiem nie ujawnił swych uczuć.

Pomimo milczenia widocznem było, jak go wszystko zajmowało i do głębi wzruszało, co kraju się tyczyło — jak domowy obyczaj, przypominający zapewne to, co widział pod rodzicową strzechą, wysnuwał mu powoli z pamięci obrazy dzieciństwa, na dnie duszy ukryte.

Raz, późno do mnie przyszedłszy, doczekał się chwili wspólnej modlitwy. Uczestniczył w niej, zcicha szepcąc wyrazy, głośno przez jednego z nas odczytywane; ale gdy przy jej końcu zaintonowano „Anioł Pański“, starzec zsunął się z krzesła na ziemię, padł na klęczki, a łzy mu zrosiły owo piękne,

niby wyrzeźbione oblicze. Wzruszenie wielkie uwydatniło się na niem. Teraźniejszość dla niego znikała, obrazy przeszłości otaczały i pochłaniały całą istotę starca.

Po chwili, z trudnością dźwignąwszy się, ściskał w dłoni wyszarzałą czapkę i wysuwał się niespostrzeżony. Zanim odszedł, szepnął mi na pożegnanie: „Dziękuję wam; dawno, bardzo dawno...“ Tu nie dosłyszałem wyrazów, które wielkie wzruszenie więziło w piersi: usta mu drżały, kurczowe drżenia twarz przebiegały...

Odtąd już go nigdy nie widziałem.

. . . .

Rozkaz zwożenia do naszej „kolonii“ wszystkich, tak nowoprzybywających, jak i tych, co w powiatowych mieścinach wegetowali, nie pozostał martwą literą. Wzięto się gorliwe do wypełniania go. Żandarmi, wysłani do powiatowych miasteczek z berlaczami i futrami, aby przyodziać tych, którzy nie posiadali ciepłego odzienia, niedługo przywieźli do nas z Orłowa znanego już Ksawerego Korewę, który nie potrzebował żandarmskiej troskliwości i rządowych futer, aby nie zmarznąć — z innej zaś mieściny przywieźli postać nieznaną, w futra rządowe otuloną. Gdy żandarmi zwlekli zeń futra i berlacze, odwinęli wielkie chustki, stanął przed nami reformat, O. Michał G., z Białej Podlaskiej, ubiegłej jesieni wywieziony.

Ksawerego Korewę powitałem radośnie. Przenosząc się do Wiatki, był tem samem uwolniony od smutnych warunków, które mogły niepomyślnie wpłynąć na dalsze życie. Zdrowie jego nawet chwiać

się zaczęło. Otoczyliśmy go braterskiem uczuciem: za serce sercem nam odpłacał.

Reformat pożądaną stał się niespodzianką. W owym właśnie czasie myśleliśmy o urządzeniu kaplicy: mieliśmy już mszał i aparata kościelne, najęliśmy lokal, brakowało tylko kapłana. Przybycie reformata brak ten usuwało.

Zakonnik opowiadał o sobie, iż właściwie o innego reformata chodziło władzom aresztującym go w Białej, o O. Gorgoniego; ale gdy ten ostatni, wcześnie ostrzeżony, zdołał umknąć do jednego z klasztorów w Prusach Królewskich, pochwycono owego Michała, aby nie wyjść z korytarzy zakonnych z próżnemi rękoma[1]. Poszedł więc Michał zamiast Gorgoniego na wygnanie; tego rodzaju branie Pawła zamiast Gawła, lub naodwrót, i oddawanie w pęta jasyru, często i w owych latach, i później zdarzało się.

Zresztą i dawniej, w dziejach nieszczęść krajowych, spotykamy podobne brania przez wroga do niewoli naoślep, pierwszych z brzegu. Twierdzono w swoim czasie — i podobno słusznie — iż w liczbie wywiezionych senatorów do Kaługi, w r. 1767, jeden z biskupów wzięty był przypadkiem zamiast biskupa

[1] O. Gorgoni Sulej, umknąwszy szczęśliwie z Białej Podlaskiej (1861 r.), długie lata pracował w województwach Prus Królewskich, na Pomorzu, wśród Kaszubów, docierał do Lauenburga. Za dni kulturkampfu przeniósł się do Galicyi i tam w misyach uczestniczył aż do ostatnich chwil życia. Pracowity żywot zakończył w Krakowie, w marcu 1890 r. Za łaskę Bożą ocalenia od niewoli wypłacał się O. Gorgoni zacną, w plon obfitą pracą życia dalszego.

Turskiego (późniejszego biskupa krakowskiego), którego chciano pojmać. Wróg, chociaż spostrzegł pomyłkę, już jej nie naprawiał. Chodziło mu o zadanie ciosu społeczeństwu; która zaś cząstka organizmu społecznego bardziej ucierpiała, obojętnem dlań było.

Wkrótce po naszem przybyciu do Wiatki zaszła drobna okoliczność, wyłącznie nas dwóch tycząca się, która przyczyniła się poniekąd do zwiększenia dobrych usposobień władz tamecznych.

Gubernatorowi przyniesiono z poczty, nadesłany z Wołynia, pakiet, zaadresowany do gubernialnego marszałka szlachty wiackiej. Ponieważ gubernia wiacka wcale szlachty nie posiada, również jak wszystkie prowincye Syberyi, a zatem i przedstawiciele szlachty, gubernialni i powiatowi marszałkowie, nie są tam znani. Poczta nie wiedząc, komu oddać rzeczony pakiet, oddała go gubernatorowi. Była to odezwa marszałka naszego powiatu, wzywająca gubernialnego marszałka wiackiego, aby, jako przedstawiciel szlachty, otoczyć nas zechciał orędownictwem swem i bronił w razie potrzeby. Gubernator, w zastępstwie instytucyi nieistniejącej, wziął na siebie odpowiedź, lecz zarazem powziął przekonanie, że poza nami przyświeca jakaś życzliwość, czy też nić sympatyi naszych ziomków. Ta nić sympatyi — jak rozumowały władze — jest dowodem i wartości osób, i powagi ruchu narodowego, gdy instytucye krajowe otaczają swą opieką uczestników owego ruchu. Wynikiem rzeczonych rozumowań było — jak rzekliśmy przed chwilą — zwiększenie się uprzejmości władz. Prądy przekształceń

społecznych, płynące z góry, od tronu, w owej właśnie epoce, oddziaływały na społeczeństwo rosyjskie w sposób uszlachetniający. Trwać to miało niedługo: prądy zmieniły się rychło,

. . . .

W połowie grudnia szczupłe koło nasze wygnańcze powiększyło się o parę jeszcze osób, co nie wniosło wszakże większej pogody do zakresu stosunków naszych domowych. Przybycie jakiegoś indywiduum, przysłanego na wygnanie z Podola, zasmuciło nas niezmiernie: stało się źródłem trosk naszych. Do Podola nie przedarły się były wówczas jeszcze ożywcze promienie ruchu narodowego; prowincya ta, stojąc zdala od wszelkich objawów budzącego się życia, mogła nie płacić ofiarami za chwile podniosłe, uszlachetniające, bo ich jeszcze nie była doświadczyła; ale władzom zdawało się inaczej. Porwano i stamtąd kilka osób: jedna z nich do nas przybyła.

Jeśli niespodziane przybycie paru osób niewiele wniosło pociechy pod dach naszej „kolonii", to wzamian za przykrości, stąd płynące, doświadczyliśmy prawdziwie podniosłych wrażeń, gdy udało się wkońcu urzeczywistnić myśl urządzenia publicznego oratoryum w wynajętym na ten cel lokalu. Zanim upłynął miesiąc od naszego przybycia, już się przeszkody usunęły; władze trudności nie czyniły, przygotowania ukończono. Chcieliśmy wyżej wspomnianego reformata obrać na kapelana głównego; okoliczności wszakże zrządziły inaczej.

W pewien poranek posłyszeliśmy ciężkie stąpanie na galeryi otaczającej dom; dał się słyszeć

brzęk ostróg, pałaszy—i do małego przedpokoiku wtargnęło trzech ludzi, których twarze szron okrywał. Dwaj byli zbrojni. Wszedłszy owi zbrojni, zaczęli rozbierać z licznych futer i okryć trzecią postać: po kilku minutach zpoza kożuchów i sukień zimowych ukazała się duchowna suknia człowieka młodego, o ujmującej powierzchności. Rozglądał się ciekawie dokoła, snać nie mogąc zoryentować się, gdzie jest i co go otacza. Zbrojni ludzie — a jak się po bliższem wpatrzeniu pokazało — żandarmi, również ciekawie rzucali okiem w głąb mieszkania. Sądzili zapewne, iż przybyli do biura urzędowego. Sytuacya wkrótce wyjaśniła się. Pocztarze, stosownie do rozkazów wysłanych do przedmiejskich stacyj pocztowych, przywieźli do naszej kolonii — żandarmów z więźniem; podczas gdy ci ostatni myśleli, że przyjeżdżają do jakiegoś urzędu.

Z trudnością udało się nam wytłumaczyć obu stronom, iż wszystko w porządku, iż taki tu obyczaj, iż żandarmi mogą wypocząć, więźnia u nas zostawić, który także dopiero po stosownym wypoczynku meldować się będzie.

Nowoprzybyły kolega nazywał się Jeske, był kapłanem, misyonarzem z Płocka; tam go nagle ujęto; bez badania i bez sądu wysłano; bez wypoczynku, dniem i nocą wieziono do Wiatki dni piętnaście.

Misyonarza, który nader sympatycznie zaprezentował się od pierwszej chwili przybycia, kreowaliśmy na naszego kapelana naczelnego, wikaryat objął przy nim reformat; w kilka dni później od-

były się pierwsze msze św. w zaimprowizowanej kapliczce.

Była to niedziela; uwiadomione rodziny katolickie o inauguracyi nabożeństwa w kapliczce, stawiły się w komplecie. Przybywał wprawdzie do Wiatki raz na rok ksiądz ze mszą i dla wysłuchania spowiedzi, z bardzo odległego Kazania; ale te wizytacye odbywały się raz na rok, czasem rzadziej, krótkiemi były, i ci księża urzędowi (pospolicie kapelani okręgów wojskowych) często razili uczucia katolickie i polskie: z małymi wyjątkami tak wszędzie było w głębi Rosyi. Nic więc dziwnego, że garstka tamecznych katolików, których urząd i praca przywiązywały do tych dalekich świata krawędzi, z radością powitała wiadomość, iż chociaż na pewien czas posiędą kapłana wprost z kraju. Było to dla nich i dla nas pociechą prawdziwą.

Różne okoliczności dobrze się złożyły; władze niedość, iż przychylnie patrzały na oratoryum, ale nawet w pierwszych chwilach opieką je otoczyły. U wejścia do lokalu przeznaczonego na oratoryum, podczas mszy w niedzielę, widziano straż policyjną, której obowiązkiem było zdejmować płaszcze wchodzącym do kaplicy, utrzymywać porządek u wejścia. Drobne te uprzejmości władz wykonawczych świadczyły o kierunku panującym u góry. Potem wszystko zmieniło się—zmieniło do niepoznania, na gorsze. Ale gdy zmieniało się, nas już tam nie było. Mówimy tu o tem, na co patrzaliśmy w dniach kończących rok 1861. Czy jednak długo tak było, nie wiem; wkrótce bowiem musieliśmy obaj z bratem Wiatkę opuścić.

Wytworzono nam najniespodzianiej inne wygnanie, wytworzono je w drodze łaski: przeniesiono na stepy dawnego Kipczaku, których część znaczna, to południowe okolice dzisiejszej gubernii Tambowskiej.

Tego rodzaju łaski, spadające najniespodzianiej na wygnańców, są nieraz ciężkiemi, niby kara nowa. Burzą warunki istnienia, układające się niekiedy dość znośnie, zmuszają do budowania nowego schroniska, do szukania nowych stosunków, nowych dróg pracy.

Radca Aloizy, o którym kilkakrotnie wspomniałem, zawsze zwiastunem był i dobrych, i złych wieści, a statecznym orędownikiem kolonii. Otóż i tym razem wpadł pierwszy z wiadomością przeniesienia nas obu do Tambowskiej gubernii.

— Może tam wam lepiej będzie, — mówił — może do kraju zbliżycie się, może stopniowo zbliżając się, do ojczyzny wrócicie. Ale stosunków tak znośnych dla wygnańców, jak tu, prawdopodobnie nie spotkacie.

— Ani serc, któreby się do was tak prędko przywiązały — dorzucił Stanisław Morzycki, dodając swe przysłowie: — Tak, tak, panie kochany...

Ksawery Korewa zmartwił się tem szczerze, i wogóle cała kolonia czuła się zaniepokojoną. Stosunki, które uregulowały się, wprowadzając pewien ład w życiu naszem wegetacyjnem, plątać się, wikłać mogły. Zgrupowani, byliśmy silniejsi, spokojniejsi: rozproszeni zaś, pojedyńczo rzuceni, stawaliśmy się słabsi, pełni obaw o jutro, które coraz niepewniejszem zarysowywało się.

— A co, mówiłem wam, iż nam zbyt dobrze, zbyt dużo u nas spokoju, — wołał Stanisław Morzycki — z tego spokoju wytworzył się niepokój... Gdy wygnańcowi stosunkowo spokojnie, wówczas najgorzej mu, bo zbliżają się niespodziane zmiany na gorsze. Tak, tak, panie kochany; wierzcie mi, przeszedłem Sybir, katorgę, osiedlenie—niczem się nie łudzę i wam wszystkim radzę: nie łudźcie się nigdy niczem...

Stanisław Morzycki okazywał zawsze pesymistyczne usposobienie. Kilkunastoletniem chłopięciem—piętnastoletniem podobno—był uwięziony w 1846 r., i osadzony w cytadeli warszawskiej, gdzie przebył cztery lata pod śledztwem. W ciężkiem więzieniu urósł na młodziana: cytadela była dla niego szkołą, która go wyrobiła na człowieka z wielkim hartem woli i umocniła zacne zasady, któremi się odznaczał. Z cytadeli poszedł do katorgi w zachodniej Syberyi, a później na osiedleniu, w Jałutorowsku, ożenił się z córką wygnanki, towarzyszki pani Ewy Felińskiej (w Berezowie, w okolicy podbiegunowej). Z młodą żoną i dzieciną wrócił był Stanisław Morzycki do kraju, gdy pierwsze lata panowania Aleksandra II odmykały możność powrotu wygnańcom; lecz jak widzimy, już w r. 1861 na powtórne wygnanie go wywieźli. Tym razem tylko rok tułactwo jego trwało. Czasy to były zmian częstych, ulg, łask.

O postaci tej, wygnańczej od dzieciństwa, są wzmianki w Zbiorze Korespondencyj p. Narcyzy Żmichowskiej. Tam on figuruje pod imieniem „Stacha". Dzieckiem bowiem wchodził do więzienia.

Stanisław, zdobywszy dużo doświadczenia na drogach tułactwa, z którego całe życie mu się splatało, nieustannie rzucał słowem złowróżbnem, uwagą usuwającą złudzenia optymistyczne...

Stwierdzał te słowa staruszek Wierusz-Wiatrowski, niegdyś długoletni emigrant, najstarszy wśród nas wiekiem i najdawniejszy mieszkaniec ówczesnej wiackiej kolonii—stwierdzał pospolicie sentencyą łacińską, rzucaną tym, którzy wówczas z kraju przybywając pełni byli dobrej otuchy, że stoją u bram wyzwolenia. Sentencya ta brzmiała: *Una salus victis nullam sperare salutem.*

Mówił to cichym głosem staruszek, ze spokojem i łagodnie, pospolicie ku najmłodszym zwracając się, a komentarzy do sentencyi nie dodawał; zapewne przypuszczał, iż słuchacz w duszy swej resztę dosnuje.

I słuchacz młody snuł dalszy wątek, lecz inny, niż się spodziewał starzec: mniemano, iż mówiący na wszystko zobojętniał i wiarę w lepsze jutro w piersi wyziębił—gdy on tylko od złudzeń strzegł.

Ogłoszone nam przeniesienie do Tambowskiej gubernii wykonanem być musiało. Zapytano jedynie, kiedy chcemy jechać, dając do zrozumienia, poufnie a wrzekomo przyjaźnie, iż zbyt zwlekać nie należy, nie można. Odpowiedzieliśmy, iż pragniemy święta Bożego Narodzenia przepędzić w Wiatce, z towarzyszami doli.

Zgodzono się, na to, ale też po nad ten termin nie dano ani dnia dłużej zwlekać, jakby Wiatka rajem była. Nazajutrz po Trzech Królach wyjazd miał nastąpić, i rzeczywiście nastąpił. Dopro-

wadzenie do skutku tej translokacyi, dopilnowanie, by nie zwlekano, było obowiązkiem szefa gubernialnego żandarmeryi, pułkownika Adamowicza. Wykonał on przepisy z całą ścisłością, ale i z uprzejmością, cechującą go. Wedle prawa, naszym bezpośrednim stróżem był on, i z zadania wywiązał się tak, iż pamięć o nim jako o dobrym człowieku przetrwała dotąd. Zapisujemy takową na jego grobowcu, bo oddawna już grób go pochłonął, jak prawie wszystkich tych, o których tu mówię.

VII.

Wigilia upłynęła nam w kole towarzyszy, w izdebkach wygnańczego klasztorku. Odbyła się ta tradycyonalna *agape*, niby uczta braterska pierwotnych chrześcijan, z zachowaniem wszystkich obyczajów ziemi ojczystej. Stał w kącie snop zboża — rzecz mała a z trudnością zdobyta w kraju leśnym, prawie nierolniczym — szary, zgrzebny, ubogi, wąski obrus okrywał stół, warstwą siana potrząśnięty. Opłatki piekliśmy sami; reformat był nam pomocą i wskazówek udzielał w kwestyi tej, nieco dla nas trudnej. Na ziemi obcej, pod niebem mroźnem północy, staraliśmi się chociaż chwilowo wytworzyć odblask wspomnienia naszych ognisk rodzinnych, gdzie dalecy a ukochani, na skrzydłach myśli ku nam się zbliżali, łzą, modlitwą, westchnieniem łączyli się z nami. Zasiedliśmy do stołu jedynie w ścisłem wygnańczem gronie. Inni ziomkowie, bodaj najczęściej nawiedzający, w ów wieczór, w godzinach ukazania się pierwszych gwiazd, omijali z dyskrecyą próg domostwa tułaczy. Byliśmy tylko sami, w swem wyłącznie, niby rodzinnem kole. Odblask ognisk domowych przesunął się przed okiem naszem, stanął na jedną godzinę, niby cień wyraźny rzeczywistości, lecz wnet zniknął jako zwodnicza

fata morgana, rozszerzając tem głębszą ciemność w ducha dziedzinie.

Służba domostwa naszego składała się z młodziutkiego Ukraińca i młodego, dziewiętnastoletniego żydka. Ten ostatni był to niby żołnierz, urlopnik; chociaż młody, uwolniony już z wojska dla braku sił fizycznych. Za dni rządów Mikołaja I, pięcioletniem chłopięciem porwano go z łona matki, kędyś w polskiej mieścinie, i rzucono do twardej szkoły życia tak zwanych „kantonistów", z których wytwarzano żołnierzy i majtków. Bito, musztrowano, sztyftowano chłopaka, aż wreszcie zrobiono z niego coś pośredniego między żydem a Rosyaninem. Tradycye dziecinstwa, miłość dla przeszłości wczesnych dni życia, zachował gdzieś na dnie myśli, w głębinach uczuć. Gdy biedny żydek ujrzał nasz stół wigiliowy, gdy o jego ucho obiły się dźwięki kolendy śpiewanej po uczcie, w płacz uderzył.

— Panie mój, panie, to jakby u nas, jakby u mej matki wieczór szabasu—mówił łkając chłopczyna.

I ci, co słyszeli mówiącego, również płakali.

Święta Bożego Narodzenia przeszły uroczyście, ale z pewnem uczuciem niepokoju. Niektórzy ze współtowarzyszy smucili się i niepokoili, iż wyjeżdżamy, inni mieli złe przeczucia co do własnego jutra; nas ta zmiana miejsca wygnania także niezbyt cieszyła.

W oratoryum nie mieliśmy „pasterki" — ale za to zaledwie opadły szare mroki długiej, grudniowej nocy, rozpoczęły się msze św. naszych kapłanów: było mszy aż sześć w dniu Narodzenia, a wszystkie uświetnione, w sposób dla Wiatki wówczas nieznа-

ny, śpiewem chóralnym wygnańców. Kolenda „Bóg się rodzi“, najwięcej była w użyciu. Brzmiała rozgłośnie, zarówno w kaplicy, jak w mieszkaniu naszem. My dwaj i bracia Morzyccy przeważnie służyliśmy do mszy, inni dwaj Wołyniacy, bracia Czarnołuscy, tworzyli główny zawiązek chóru, ani licznego, ani umiejętnego. Ci co w śpiewie udziału nie brali, skuleni po kątach dwóch małych izdebek, na skrzydłach modlitwy ulatywali w nieziemskie przestworza.

Dolatywały do ołtarza nietylko szmery modłów owej wygnańczej gromadki, którą ówczesne chwile niezwykłe w kraju bardziej usposobiały do modlitwy, ale i ludzi, co zdala stali od wszelkich prądów chwil ówczesnych, ludzi zapędzonych zbiegiem różnych okoliczności do biur i do urzędów w głąb Rosyi. Niektórzy wśród nich modlić się zapomnieli oddawna; owe chwile budziły wspomnienia i wrażenia lat dziecinnych, w kraju spędzonych, i tak przypominały pacierz dni pacholęcych, jak biedny nasz żydek przypomniał sobie ucztę sabatu, i zapomniane chorały sabatowe wyśpiewywał łkaniem tak rzewnem, niby kwilenie niemowlęcia.

W chwilach gdy ucichł śpiew, a modlitwa kapłana rozpływała się w szept milknący, dobiegały do uszu to łkania tłumione, to szept błagań owej gromadki rozpoczynającej okres życia prób. Rozróżnić niekiedy można było słowa psalmisty:... „Pan wejrzał na modły poniżonych, nie wzgardził ich prośbami. Z wysokości świątnicy swojej spojrzał Przedwieczny, z nieba wejrzał na ziemię. Ażeby

wysłuchać wzdychania więźniów, aby rozwiązać synów pomordowanych".

. . . .

Im uroczystszy nastrój panował w oratoryum, tem smutniej, ciszej było w zakątkach, węgłach i poza przepierzeniami izdebek wygnańczego domostwa. Opowiadania, gwar, rozprawy umilkły. Dni wesela u ognisk domowych — na wygnaniu stały się dniami cięższych prób; bolesnem przypomnieniem rzeczywistości. Taki dzień uroczysty dla tułacza jest niby przydrożnym słupem milowym, który przypomina przebieżoną przestrzeń bolesnej pielgrzymki, wykoleja z drogi ciągłych mozołów, powszedniej pracy, myśl uśpioną budzi, rozrania rany, które trud codziennej troski zabliźniał.

Pierwsze dni doroczne dla tułaczej gromadki nadbiegły: i teraz dopiero w całej mocy osierocenie swe ocenić zdołano. Dla wielu był to początek lat długich cierpienia, zawsze jednakich, beznadziejnych wciąż. Snać odczuwano, iż owo jutro smutne nie będzie miało dla wielu ani zmroku, ani zachodu, bo mroki trwałego smutku osiadły na niejednem czole.

Do smutniejszych należał Ksawery Korewo, o młodziutki jego umysł fale przeciwności wytrwale biły, zakłócając spokój. Twarde słowa listów matki, nasz wyjazd, choroba jakaś, rozwijająca się w organizmie, acz nie obalająca odrazu, składały się na jego posępne usposobienie.

Dzień Nowego Roku 1862 (st. st.) przeszedł również ponuro. Zadawano sobie pytania, co rok zbliżający się przynieść może?... Jeżli niepewność towarzyszyła wszelkim przypuszczeniom, co do

przyszłości najbliższej pojedyńczych osób z gromadki wygnańczej — o przyszłości pogodnej dla ogółu społeczeństwa nie powątpiewano. Symptomata wprawdzie groźne ukazywały się na widnokręgu stosunków ogólnych, ale wnet potem nadbiegały inne, pomyślniejsze wieści; i znowu oddawano się nadziejom, które nawet mienić się nie mogły złudzeniami, każda bowiem z nich opierała się na faktach, rokujących lepsze jutro. W pomyślniejsze wieści wierzono pochopniej i goręcej, niż w inne, o barwach mniej jasnych.

W ostatnim tygodniu pobytu w Wiatce brat mój czynił przygotowania do podróży, która nas czekała, do nowych koczowań w warunkach może nienajlepszych. Podróż przymusowa, śpieszna, o mil dwieście, wymagała pewnych przygotowań. Szczęśliwie składało się, iż nieco czasu dawano dla ich dokonania.

Co do mnie, chciałem, korzystając z dni ostatnich pobytu, bliżej przypatrzyć się miastu, które kilka tygodni schronieniem naszem było; gdzie się zostawiało maluczką wprawdzie, ale zawsze jakąś cząsteczkę życia.

Niewiele było do zwiedzenia, mało co pozostało w pamięci, parę tylko opowiadań charakterystycznych mego przewodnika utkwiło we wspomnieniach.

Wiatka, położona nad rzeką tegoż nazwiska, sięga początkiem swym dawnych bardzo czasów; przy schyłku bowiem XII w. Nowogrodzianie mieli tam swą kolonię, coś w rodzaju faktoryi handlowej, noszącej nazwę Chłynow. Z tego Chłynowa wytwo-

rzyła się Wiatka, która posiadała za moich czasów 15.000 ludności i zewnętrznym wyglądem swym przypominała drugorzędne miasta gubernialne odleglejszych prowincyj Rosyi. Instytucye, biura, miała ona te jedynie, które wedle pewnego szematu zwykle w Rosyi spotykają się w miastach gubernialnych; lecz w życiu i obyczaju ówczesnych mieszkańców dużo było owej dobrodusznej prostoty, jaką widziano na Syberyi, przeważnie w jej odleglejszych okolicach. Dobroduszni ci ludzie, wobec wygnańców, pospolicie okazywali się dobrymi, życzliwymi; w prowincyach bowiem, zestosunkowanych bezpośrednio z Syberyą, lub w ziemiach wygnania, tubylec siermiężny na każdego wygnańca patrzy ze współczuciem. Wypływa to z pobudek, których rodowód nader odległy wiąże się z przeszłością całą tego ludu, przepełnioną samowolą, krzywdami, brakiem sprawiedliwości.

Owo współczucie, wtedy przynajmniej, i to wyłącznie wśród wieśniaczych warstw ludności, zdarzało się, lecz czasy późniejsze wiele mogły zmienić i — o ile wiemy — zmieniały, wytrzebiając uczucia humanitarne, tak niespodzianie wyrastające na dziewiczym gruncie tych dusz, nietkniętych prawie dłonią uprawy religijnej. Chrześcijanizm jest tam przeważnie z imienia tylko.

Wiacka gubernia od wielu lat w wykazach statystycznych posiada liczbę, oznaczająca ilość pogan, zamieszkujących ową prowincyę. Liczba ta stale nie zmienia się: wynosi 10.000. W rzeczywistości jednak znacznie jest wyższą. Wotiacy, tubylcy owego kraju, których liczba wynosiła wówczas

200.000, prawie wszyscy są poganami. Jeśli do tej liczby dodamy pewną ilość pogan z innych drobnych ludków, tworzących dawny, pierwotny pokład tamecznego zaludnienia, to stanie przed nami masa pogan, o wiele przerastająca urzędową, zawsze jednaką cyfrę 10.000.

Wotiacy są jednem z plemion fińskich, zamieszkujących wschodnio-północny węgieł Rosyi; nazywają oni siebię *Ot* lub *Ul;* Tatarzy zaś, którzy przed wiekami z brzegów Wołgi ich wyparli ku północy nad Wiatkę, nazywali ich *Ar*. Narzecze wotiackie jest fińskie, zbliżone do Permiaków i Czeremisów. Kult ich religijny nader pierwotny: czczą bóstwa dobre i złe; pierwsze nosi nazwę *Inmar*, drugie *Keremet*. Konie ich rącze są także przedmiotem czci; głowa konia ustawianą bywa nieraz ku czci publicznej w przedniejszym kącie szałasu, który zastępuje świątynię. Spokojne, pełne pokory to plemię tubylców trudni się rolnictwem, lecz więcej pszczelnictwem i wyrobami z drzewa; miód i wosk sprzedają do dalszych okolic: wysyłają aż do portu na Białem morzu, do Archangielska; wyroby zaś z drzewa, meble nader proste, naczynia z kory drzewnej, rodzaj słojów z nakrywami, t. zw. *buraki* (na Syberyi dalszej zowią się one *tujasy*) mają znaczny zbyt w Wiatce i mniejszych mieścinach guberni, a sprzedają się nadzwyczaj tanio. Uboga izba wygnańca może być za dwa, trzy ruble umeblowaną tymi sprzętami wyrobu Wotiaków.

Zdobycie przez kupców W. Nowogrodu stanowiska handlowego nad rzeką Wiatką (w końcu

XII wieku), wytworzyło jak gdyby pierwszy krok ku utorowaniu drogi za Ural, do odkrycia wreszcie Syberyi, znacznie już późniejszego. Pierwotna droga ku Uralowi, którą także ruchliwi Nowogrodzianie pierwsi torowali, szła w górę biegiem nurtów Kamy, wielkiego dopływu Wołgi, a wreszcie również w górę biegiem rzeki Wiatki. Nowogrodzianie, posuwając się coraz dalej, wśród puszcz wotiackich, idąc coraz głębiej w dzikie ostępy, w pogoni za skórami dzikiego zwierza, któremi handel prowadzili, torowali drogę ku nieznanym a olbrzymim przestworzom północnej Azyi, tak zwanej później Syberyi.

Na tym gościńcu ku krajom nieznanym, nader ponętnym dla łowców, rokującym świetne korzyści dla kupców, nie poprzestano na jednej faktoryi kupieckiej, na założeniu Chłynowa (dzisiejsza Wiatka), ale rączo posunięto się w głąb kniej najdzikszych i założono Kaj. Mieścina to uboga, zaledwie 1000 głów płci obojga licząca, wśród puszcz i niedostępnych trzęsawisk, leży o czterdzieści prawie mil na północny wschód od miasta Wiatki; niegdyś, a nawet dość długo po odkryciu Syberyi, była ona jedyną drogą za Ural. W późniejszych latach, w wieku XVII i później, torowano drogę do Syberyi w bardziej południowym kierunku, przez dzisiejszy Ekaterynburg. Kaj zaś z tego już dziś tylko znany, że to jedyna mieścina, jaka legła między miastem Wiatką a wodami Lodowatego oceanu.

Podboju i wcielania do państwa rosyjskiego szczepów wotiackich i wybrzeży rzeki Wiatki dokonywano w ciągu wieków stopniowo, ze znaną

wytrwałością i konsekwencyą w działaniu. Przeszli Wotiacy przez okres zależności od kazańskich chanów, póki wreszcie nie stali się zdobyczą Rosyi. Ostateczne utrwalenie tego podboju przypada dopiero na drugą połowę XVI wieku.

Od owej chwili brano od nich daninę, którą później zamieniono na zwyczajne podatki i ciężary, jakie ponoszą mieszkańcy innych okolic państwa; lecz o ich potrzebach duchowych, o rozszerzaniu wśród nich wiary chrześcijańskiej, pomyślano bardzo późno — w XVIII wieku zaledwie. Że zaś te misyjne usiłowania szły leniwie, że misyonarze chętnie pozwalali tubylcom na pozostawanie w poganizmie, byle kasa rzekomych krzewicieli chrześcijaństwa coś zarobiła, o tem świadczy nietylko wielka ilość pogan, do dziś tam spotykana, lecz i ta okoliczność, że za panowania cesarza Mikołaja I miało miejsce pewnego rodzaju dochodzenie rządowe, śledzące tego rodzaju nadużycia.

Źródłem takich indagacyj stała się korespondencya, posyłana z Wiatki do Sztokholmu, do gazet szwedzkich, przez wygnańca wiackiego, profesora helsingforskiego uniwersytetu, Azeliusa. Korespondencya, tajemnie wysłana — działo się to około połowy XIX stnlecia — zanim do Szwecyi doszła, uległa konfiskacie i spoczęła w biurku szefa wydziału żandarmeryi, Benkendorfa, który jej treść przedstawił monarsze. Azelius w swej korespondencyi dziennikarskiej utrzymywał, iż owi pseudomisyonarze posiadają obraz św. Mikołaja, przedstawiający jedynie szaty kapłańskie, z głową postaci—końską. Celem tej mistyfikacyi prawosław-

nych misyonarzy było wyłudzanie wśród puszcz wotiackich danin na rzecz krzewicieli wiary. Wotiak widząc, że i chrześcijanie cześć końskiej głowie oddają, chętnie dawał daniny. Umyślnie przysłany ze stolicy urzędnik prowadził indagacye w tej sprawie i podobno — jak opowiadano — znalazł rzeczony obraz w głównej chrześcijańskiej świątyni w Wiatce.

Zwiedzając ową przedniejszą cerkiew, napróżno szukałem rzeczonego obrazu: już go tam nie było; ale tradycya żyła w pamięci i ustach wielu.

Ciemnota i przesądy do niedawna tak były wielkie w owym dalekim, leśnym kraju, iż w czwartym dziesiątku naszego stulecia powstał tam wielki tumult ludowy, na znacznej przestrzeni guberni, z powodu iż rząd nakazał uprawiać kartofle. Wstręt ku kartoflom szerzyli jednak nie tubylcy, ale Rosyanie. Rewolucyę tę kartoflaną uśmierzać potrzeba było siłą zbrojną.

Nie miałem czasu i sposobności przypatrzyć się Wotiakom; lecz wiem od tych, którzy tam byli po mnie, i posiadali możność zetknięcia się bliższego z tubylcami owych puszcz północnych, iż poganie właśnie wśród nich są moralniejsi; ci zaś, co zostali zaliczeni do chrześcijan, do kościoła rządowego, najniżej stoją pod względem moralnym.

Twierdzeniu temu najzupełniej daje wiarę każdy, kto był rzucony w głąb Syberyi, gdzie toż samo zjawisko miałem możność wielekroć spostrzegać; zwracał też na nie moją uwagę protojerej Konstanty Stukow, niegdyś naczelnik misyi prawosławnej w Nerczyńsku, człowiek uczciwy i biegły oryentalista.

Dziwne to, — zwłaszcza dla Europejczyków i prawdziwych chrześcijan — ale, niestety, prawdziwe.



Przygotowania do nowej podróży, na stepy Kipczaku, niedługo trwały. Zależały one głównie na usunięciu, o ile środki pozwalały, tych uciążliwości, jakie usuniętemi być mogły. Zmienianie na każdej stacyi sani — co się tam nazywa podróżowaniem *perekładną*—podczas bardzo ostrej i śnieżnej zimy, niedogodnością było największą. Stosownie więc do wskazówek i rad tamecznych mieszkańców, nabyliśmy tak zwany *wazok;* jestto rodzaj karetki na saniach, o dwóch okienkach i jednych drzwiczkach, bez siedzenia wewnątrz, w której można było odbyć podróż wygodnie. Zbytek ten, wyrób miejscowego drzewnego przemysłu, kosztował dziwnie tanio — piętnaście rubli.

Urządziliśmy wewnątrz ów *wazok* jak pewien rodzaj domku, w którym mieliśmy przebywać dni kilkanaście i prawie tyleż nocy. Urządzenie to wewnętrzne zastosowane było najzupełniej do obyczaju tamecznego kraju. Na dnie zamkniętych sani, których spód był mocny, drewniany, ściany zaś składały się jedynie z kraty drewnianej, obitej grubo wojłokami wewnątrz i zewnątrz, szczelnie zabezpieczone od przenikliwego zimna — usłano z naszych tłumoków posłanie, na którem mogliśmy odbywać podróż leżąc, wedle obyczaju odwiecznego krajów tamecznych. Powóz był wygodny, mocny, lekki.

Już IMP. Pasek podziwiał sposób podróżowa-

nia posłów rosyjskich, których spotykał, gdy jechali, leżąc; dziwiło to pana Paska niezmiernie, ba, i gniewało nawet, ale wcale niepotrzebnie: obyczaj to bowiem owego narodu, na niezmiernych przestrzeniach rozsiedlonego, przytem ruchliwego, kupczącego, potrzebującego odbywać podróże olbrzymie po drogach złych, a na przestrzeniach wielkich. Konieczność ulżenia sobie w tych podróżach długich, ciężkich, niewygodnych, wywołała osobny obyczaj podróżowania.

Od dni p. Paska wieki upłynęły, warunki jednak komunikacyi w owych ziemiach dalekich nie zmieniły się wcale; naturalnem następstwem tego stanu rzeczy— zachowanie starego zwyczaju podróżowania w pozycyi leżącej. W innej pozycyi na wielkich przestrzeniach, wynoszących setki mil, przy szalonej szybkości jazdy, przy wybojach ogromnych zimą, a dołach, grudach i nierównościach w innych porach roku, kości ludzkie nie wytrzymałyby.

Kopeć w r. 1795 także w podobnym powozie i w tak oryginalnej pozycyi, tj. leżąc, odbywał swą podróż do Kamczatki. Nikt o niego nie troszczył się, nikt mu tam na dnie pudła łóżka nie usłał: biedny więc Kopeć na wiązce słomy, lub bez słomy, tłukł się w pudle długie tygodnie i miesiące, podczas swej wędrówki, przez całą prawie szerokość starego lądu.

Nasze losy tym razem były stokroć lepsze.

Dzień 7 stycznia 1862 r. (st. st.) był to dzień naszego wyjazdu z Wiatki na nowe miejsce wygnania. Żegnano nas owacyjnie; nie licowało to nawet z prostotą obyczaju kolonii wygnańczej, jaki

wytworzył się w ciągu ubiegłych kilku tygodni naszego tam pobytu. W pożegnaniu, obok współtowarzyszy doli, brały udział żywioły zpoza światka wygnańczego, co zapewne nadało pożegnaniom cechę trochę za owacyjną... Myśl skołatana, zbyt daleko odbiegała od wszystkiego, co mienić się mogło ucztą, zabawą, tak iż ów wieczór owacyjny w zupełnej stanął rozterce z naszem ówczesnem usposobieniem.

W dniu wyjazdu wysłuchaliśmy dwóch mszy śś. w naszem oratoryum i już w godzinach popołudniowych byliśmy do odjazdu gotowi. Żadna władza nie nagliła; o godziny, minuty nikt się nie sprzeczał, nie targował; żandarmi wprawdzie nadeszli z papierami, w całym rynsztunku zbrojnym, do drogi gotowi, zupełnie wybrani, ale po konie nie posyłano, czekano cierpliwie; a tymczasem nadciągali znajomi z miasta, chcąc jeszcze raz dłoń naszą uścisnąć.

Było już ciemno, gdy wreszcie sanie stanęły u ganku, i wśród gwaru pożegnań, ulokowano nas na dnie oryginalnego powozu, usłanego niby łóżko. W powozie, na przedniej ścianie, umocowana latarnia wciąż gorzała, oświecając wnętrze.

Długim korowodem pociągnęły za naszemi sanki współwygnańców i znajomych miejskich. U rogatek dopiero cały ów kulig, który miał w sobie coś z żałobnego orszaku, zatrzymał się. Odemknięto drzwiczki naszych sani. Otoczyły nas raz jeszcze ramiona przyjazne, podano dłonie po raz ostatni. Życzenia, westchnienia, błogosławieństwa zlały się

w jeden chór rozgłośny. Przyświecały temu gwiazdy północy i niezmierzone obszary śniegu.

Jeszcze minuta, dwie... a po raz ostatni przesunęły się przed okiem naszem zacne te twarze. Żandarm wreszcie zatrzasnął drzwiczki, posłyszeliśmi zgrzyt zardzewiałego klucza — zamknięto nas w pudle. Na wierzchołek pudła wspiął się żandarm ogromnej budowy i tam się usadowił. Rozległ się świst przeciągły, a trójka rączych, wiackich, rumaków ruszyła cwałem.

Posłyszeliśmy z zewnątrz pudła okrzyki: „bądźcie zdrowi", „do widzenia" — ale już nasze słowo do wołających dobiec nie mogło; przestrzeń coraz większa oddzielała od tych dłoni przyjaznych, ku nam wyciągniętych; odpowiedź w sercach naszych pozostała; jeden z nas już ją zaniósł oddawna do mogiły, zaniesie kiedyś i drugi wraz z wdzięczną pamięcią aż poza grób...

VIII.

Zamknięci na klucz w pudle, na którem królował żandarm rozparty, z pałaszem i paru pistoletami u pasa, lecieliśmy z niezwyczajną szybkością dzień i noc.

Przeszło nam tak dni kilkanaście.

Świat zewnętrzny dla nas nie istniał. Promienie dziennego światła, jakby ukradkiem, wciskały się do wnętrza pudła przez okienka malutkie. Znaczną część doby latarenka, umieszczona w pudle, nie była gaszoną. Przy słabem światełku, wieczorem i w ciągu nocy prawie niepodobnem było czytanie: czytaliśmy jednak, o ile się dało. W dzień rzecz ta szła lepiej; okienka, chociaż wcale nieodmarzające, dostarczały na tyle światła, iż czytanie odbywało się, dość znośnie.

Wieczorem, myśl znużona, przy oświetleniu słabem, do książki z trudnością wracała; niepodobna było przykuwać jej na czas dłuższy do kart druku. Zamykała się więc książka, składała gazeta, myśl odtwarzała obrazy niedawno pożegnanej Wiatki, lub siliła się odgadnąć owo niepewne jutro, które czekało na nowem miejscu wygnania.

Cykl jeden, maluczki, wędrówek wygnańczych zamykał już wyjazd z Wiatki. Stawało się teraz

przed przyszłością nową a niewiadomą, może groźniejszą, w każdym zaś razie inną, więc bardzo ciężką dla każdego tułacza, który w swej duszy tak wielki balast smutku dźwiga, iż wszelka zewnętrzna zmiana warunków niepokoi go, przeraża, budzi obawy, często przesadne.

I my nie byliśmy wolni od obaw o najbliższe jutro. Warunki nawet społeczne prowincyi, do której dążyliśmy, nic dobrego nie rokowały. Tambowska gubernia posiada szlachtę, nie jest pustynią, jak wiacka prowincya, która zna i ma jedynie gmin wiejski.

Wśród pustyń życie wygnańcze znośniejsze, wolniejszy tam tułacz od drobnych szykan i łatwiej mu ustrzedz się różnych pokus, które na każdym kroku spotykają się w prowincyi, stojącej nieco wyżej pod względem społecznym. A właśnie Tambow, acz na stepach dawnego Kipczaku położony, chociaż to od wieków siedziba wygnańcza, miejsce zesłania, zalicza się do prowincyj, mających też same stosunki społeczne, jak i najcelniejsze prowincye państwa. W takich okolicach pospolicie los wygnańca cięższy znacznie. Wiedzieliśmy o tem, i dlatego obawy nasze, o niewiadomą a bliską przyszłość, urastały z pobudek rzeczywistych. Wspomnienie zaś Wiatki budziło żal pewien, żal wcale uzasadniony.

Wśród ludzi, stojących poza kołem wygnańczem, wyróżniali się tam dwaj: znany już nam radca Aloizy Rodziewicz, i lekarz Władysław Zaleski; pierwszy, jak już wspomnieliśmy, Litwin, drugi rodem z Polesia ukrainnego, czy też wołyń-

skiego. Zachowanie się obu w stosunku do wygnańców zawsze odznaczało się szczerą życzliwością. Obaj zajmowali stanowiska wybitne w różnych gałęziach administracyi i ze swych stanowisk czynili wielekroć dobrze[1]).

Jeśli po wyjeździe z Wiatki myśl często zwracała się do tych, co sympatyą szczerą nas otaczali, a z żalem żegnali, ci dwaj zawsze w pamięci naszej naczelne miejsce posiadali. Biedacy! marzyli skończyć z czasem swe dni na własnej ziemi, a znaleźli grób wśród obcych. Zaleskiego mogiła w Kazaniu, na Wołgi porzeczach, Rodziewicza nad Newą. Im bardziej przebrzmiało echo ich działalności poczciwej, tem skrzętniej je zapisujemy...

. . . .

Wedle przepisów prawa powinni byli nas wieźć dwaj żandarmi; wiózł tylko jeden — przyspo-

---

1) Aloizy Rodziewicz, po ukończeniu uniwersytetu w Moskwie, był profesorem matematyki w gimnazyum w Mińsku litewskim, wpływowym i cenionym przez młodzież. W gronie jego ówczesnych uczniów widzimy Józefata Ohryzkę i Włodz. Spasowicza—postacie znane w naszem społeczeństwie. W r. 1848 Rodziewicz, zmuszony, opuścił Litwę i zawód pedagogiczny, osiada jako urzędnik administracyjny w Wiatce, szybko dochodzi do wyższych stanowisk, korzysta z możności być pomocnym ziomkom-wygnańcom. Gdy od r. 1863 Wiatka zapełniać się zaczyna tłumami wygnańców, na Rodziewicza patrzą podejrzliwie, wreszcie, z wysoką rangą usuwają go z posady, motywując dymisyę częstem bywaniem u biskupa-wygnańca, ś. p. ks. Ad. St. Krasińskiego. Rodziewicz w ostatnich latach swego życia zdobywa chleb dla swej rodziny dorywczemi pracami w biurach Petersburga, gdzie umiera około 1882 r., zawsze gorąco kraj miłujący, zawsze poświęcający się dla innych.

rzyło to dochodu zwierzchności żandarmskiej — a ów jeden, acz uprzejmością, usłużnością nawet, odznaczał się, wszakże nie zapomniał ani na chwilę o swych obowiązkach. Klucz w zamku drzwiczek naszego pudła niemałą mu niósł pomoc w wykonywaniu obowiązków: pilnie przestrzegał nasz strażnik, aby drzwiczki wciąż były zamknięte.

Gościniec miał on wytknięty w instrukcyi: przez Niższy Nowogród, stamtąd jakiemiś drugorzędnemi, pocztowemi drogami dążyć nakazywano do północnych granic Tambowskiej guberni, od których już w kierunku prostym biegł nasz trakt na południe, do Tambowa.

W ten więc sposób nowa podróż — w teoryi przynajmniej — dawała możność poznania całej prawie wschodniej połaci Rosyi europejskiej, gdyby się na nią składały warunki inne. W rzeczywistości inaczej się stało. Zamknięci w pudle, mało, bardzo mało widzieliśmy; wyjątek tylko tworzyły dłuższe popasy i noclegi, które nie codziennie nawet odbywaliśmy; i jedne i drugie urządzaliśmy w większych miastach, lub większych wioskach. Ale i to dopiero na prawych porzeczach Wołgi miało miejsce. Do Niższego Nowogrodu pędziliśmy bez wytchnienia, z woli nie własnej lecz strażnika, pędziliśmy, jak gdyby nam spiesznie było.

W „Niższym" odpoczynek trwał godzin kilkanaście, nastręczała się przeto sposobność poznania chociaż ogólnej fizyognomii miasta, które od bardzo dawna słynie ze swych jarmarków. Rozrzucone na wyniosłych wzgórzach, nad dwiema rzekami, Wołgą i Oką, zdala mile wpada w oko wędrowca, ale

jedynie na wiosnę i latem, gdy zazielenią się niezabudowane stoki gór i ogrody, rozrzucone na dużych przestrzeniach, na których miasto się rozsiadło, gdy wreszcie ożywią się wody dwóch rzek mnóstwem statków, parowców, tłumnie u wybrzeża skupionych; lecz zimą powitała nas cisza i dziwna martwota, która jest właściwością wszystkich prawie miast w dalszych prowincyach Rosyi.

Patrząc na duże przestrzenie, ogromnemi zaspami śniegu zasypane, puste zaś zupełnie, ani jedną twarzą ludzką nieożywione, z trudnością wyobraźnia odtwarza na tych pustkowiach obrazy zgiełku jarmarcznego, jaki tam panuje w miesiącach letnich; z trudnością zaludnia je tysiącami twarzy o typach azyatyckich, które ściągają się tu na owo wielkie targowisko wschodnich kończyn Europy z Azyą. Jarmark ten znakomity, głośny w świecie od XVI w., nosi nazwę ogólnie znaną, „Makaryewskiego“, gdyż przed kilkudziesięciu laty (do 1816 r.) odbywał się o jedenaście mil od „Niższego“, około monasteru Makaryewskiego.

Wielki pożar, który zniszczył wszystkie zabudowania, składy i sklepy jarmarczne, zniewolił rząd do przeniesienia owego olbrzymiego targowiska do Niższego Nowogrodu. Tam, na wielkim cyplu lądu, między Oką i Wołgą, rozsiadły się gmachy jarmarczne, zawierające składy i sklepy. Liczba tych ostatnich, większych i małych, dobiega do olbrzymiej cyfry półsiodma tysiąca.

Odbywa się ten jarmark w drugiej połowie lata, od końca lipca do pierwszych dni września. Mieszkańcy Chiwy, Buchary, Persyi, Mongolii, kupcy

chińscy, syberyjscy, tłumnie spieszą na owo targowisko wielkiego znaczenia dla całej Syberyi i kilku ościennych krajów azyatyckich. Obroty tłumnego kupczenia dochodzą do sum nader wysokich.

Dajemy tu parę cyfr z owych lat, gdy przesuwałem się w mem pudle przez Niższy Nowogród. Przywożono wówczas na jarmark towarów europejskich za sumę półczwarta miliona rubli; herbaty drogą lądową, syberyjską, przychodziło za 7 milionów rub.; ogół zaś przywozu krajowego i zagranicznego wynosił przeszło 60 milionów rub., wśród którego towary rosyjskie zajmują stanowisko pierwszorzędne i dochodzą do sum bardzo znacznych. Futra i skóry syberyjskie, wyroby tkackie z okolic Moskwy, perkaliki, tkaniny bawełniane, konopne, lniane, wełniane — to najcelniejsze i najliczniejsze artykuły przywozu krajowego.

Zagraniczny przywóz składa się wyłącznie prawie z towarów kolonialnych, wśród których wino wynosi $^1/_3$ całego przywozu zagranicznego, a reszta tego importu składa się z tkanin jedwabnych, bawełnianych, wełnianych. Persya przysyła na rynek jarmarku bawełnę, dywany, jedwab, nieco futer, które również idą i z Chiwy, i z Buchary, dostarczających znaczną ilość bawełny w stanie surowym i w tkaninach.

Liczby te z przed latu kilkudziesięciu, dają obraz ogromu obrotów owego głośnego targowiska Rosyi. Wzrost i rozwój znaczny kolejowych komunikacyj, jaki miał miejsce podczas ubiegłych dwudziestu kilku lat, mniej niż przypuszczać można, wpłynął na zmiany stosunków i dróg handlowych.

Koleje żelazne bardzo mało sięgnęły poza Wołgę, do owych bezbrzeżnych przestworzy Wschodu, dla którego Niższy Nowogród był, jest i długo jeszcze pozostanie znakomitem, pierwszorzędnem emporyum.

Zimą, niepodobna wytworzyć sobie nawet przypuszczalnego obrazu owego zgiełku, gwaru różnojęzycznej ciżby kupczącej wśród ramion Oki i Wołgi. Podczas zimowych miesięcy, „Niższy“ usypia, znaczną część roku wegetuje, aby za dni letnich tym większym gwarem rozbrzmiewać na tym rozległym, a tak dziwnym dla oka Europejczyka, „bazarze“ Wschodu.

Dla Syberyi bliższej, dalszej i najdalszej, „Niższy“ jest głównem ogniskiem interesów, spraw, zabiegów handlowych; jestto okno, prez które Syberya na świat spogląda. Z najodleglejszych kończyn Syberyi każdy większy kupiec corocznie odbywa pielgrzymkę do owej miedzy dwóch światów kupczących: europejskiego i azyatyckiego. Tam załatwia swe sprawy handlowe i stamtąd czerpie niektóre wskazówki mody, pewne objawy zewnętrznego poloru; stamtąd wreszcie, z owego okna dla ziem syberyjskich, a właściwie zpoza tej olbrzymiej „lady sklepowej“, płynie głębokiem a szerokiem łożyskiem zepsucie na obszary północnej Azyi.

Niższy Nowogród, chociaż gości corocznie w swych murach tysiące przybyszów, lubo miasto rozległe, liczące wówczas około 40.000 mieszkańców, nie obfituje ani w wielką, ilość hotelów, ani w zbyt wielką liczbę domów. Cały ten jarmark ma wygląd zupełnie wschodni, koczowniczy. Podobnie jak konie, woły, zwierzęta pociągowe lub juczne, podobnie

jak wielblądy, czasem aż nad ową środkową Wołgę nadciągające, które nie potrzebują ani stajni — ani dachu — tak i człowiek, setki mil idący u wozu z towarami, na owem targowisku poprzestaje na małem, na niczem, rzec można. Ziemia mu za posłanie, wasąg wozu lub „arby", z którą przybył, a w najlepszym razie kawał wojłoku, dach mu zastępują: istne to koczowisko ludów pierwotnej kultury.

Jeśli jednak na targowiskach, na bazarach, lud kupczący na bardzo małem poprzestaje, wyższe regiony handlowego świata, właściciele karawan kupieckich, szefowie firm, a zwłaszcza ich synowie i bracia, w hotelach, zajazdach, toną w zbytkach, dopuszczają się ekscesów, świadczących o ich instynktach poziomych, o niskiej kulturze tych warstw wpływowych, a nawet w wielu prowincyach obszernego imperyum górujących wśród narodu kupczącego, jakim są Rosyanie.

. . . .

. . . .

Stare to są dziedziny panów na Kremlinie, owe wybrzeża środkowego biegu Wołgi, owe ziemie i prowincye, które były naszym gościńcem aż do Tambowa, a jednak wciąż, na każdym niemal kroku, wyłania się zpod warstw zrusyfikowanych pokład dawnych zaludnień, z których wytworzył się dzisiejszy Rosyanin. Już tam w wodozbiorze Wołgi, a jeszcze bardziej ku Uralowi i wszędzie poza Uralem, ku granicom Mandżuryi, spotykamy ślady tego procesu wytwarzania się Rosyan z ludów i ludków fińskiego, tatarskiego lub mongolskiego pochodzenia.

Laboratoryum do dziś nie zamknięte; praca tam się wciąż posuwa i posuwać się jeszcze będzie długie lata, praca wytwarzania nowych zastępów zwiększających ilość owej rzekomej słowiańszczyzny.

Przeszłość nie rządziła się w Rosyi fałszywym wstydem; nie domyślano się nawet, że może być wstydem, że jest choćby małem ubliżeniem, iż rodowód narodowy od fińskich ludków początek swój wyprowadza, a przynajmniej znacznie o takowy zahacza. W przeszłości, w epoce przed Katarzyną II, mówiono i pisano o tem jawnie, snać nie przypuszczano, iż nadejdzie czas, gdy naród odbiegnie od swego genealogicznego drzewa, wstydzić się go zacznie, a przynajmniej ten urojony wstyd wmawiać weń będą. Moda słowianizmu rozpoczyna się dopiero od Katarzyny II [1]).

---

[1]) Ciekawymi są Pamiętniki Rosyanina, z pierwszej połowy XVIII w., który, mówiąc o rodowodzie własnej, szlacheckiej rodziny, wcale nie ukrywa się z faktem dziejowym, iż większość szlacheckich rodów rosyjskich posiada swą kolebkę pod oponą jurt mongolskich. O żadnym słowianizmie ów pamiętnikarz—człowiek ukształcony, ziemianin i wojskowy, który brał udział w wojnie siedmioletniej—wcale nie mówi.

Podobną relacyę słyszymy również z innych ust. Jestto świadectwo głośnego później Roztopczyna. Podczas zwiedzania Kazania przez Pawła I, w którego świcie był Roztopczyn, prezentowano monarsze miejscowych obywateli. Mnóstwo było ziemian, posiadających tytuły książęce, dziwnie brzmiące przy nazwiskach nieznanych (są tam książęta Engałyczewy, Kołokolnikowy i inni). Paweł, nieco zniecierpliwiony, zapytał obecnego przy tem Roztopczyna: „A ty księciem nie jesteś?“ —„Nie, N. Panie—odparł zagadnięty—moi przodkowie

Od Wiatki do Tambowa, na wielkich przestrzeniach, nieustannie spotyka się prastarą ludność tych ziem. Jak się ona nazywa w obrębie wiackiej gubernii, wyżej mówiliśmy. Dalej idą z kolei: Mordwa, Czeremisy, Czuwasze, Mer, Weś i znowu Mordwa. Cała ciżba ludków, nic ze słowiańszczyzną nie mająca wspólnego, większemi bądź mniejszemi gniazdami rozsiadła się na prawych porzeczach wodozbioru Wołgi i na wschodnich miedzach wodozbioru Donu. Niknie ona potrosze, wsiąka w pokład tych, co dawniej asymilowali się; jednak trwa dotąd, acz w liczbie uszczuplona, i bytowaniem swem świadczy o pierwiastkach, z których wytworzył się olbrzym Wschodu.

Poza Niższym Nowogrodem, jadąc, stosownie do danej instrukcyi, drugorzędnymi traktami pocztowymi, byliśmy w tych zakątkach narażeni kilka razy na natrętną ciekawość miejscowej ludności. Chciano wiedzieć, kto w tem czarnem pudle podróżuje pod osłoną żandarma, i dobijano się bezskutecznie, by zobaczyć co się w pudle dzieje.

Ciekawości nie chciał nasz strażnik zadość uczynić; lecz wreszcie wpadł na pomysł, któryby

---

na dwór w. książąt. moskiewskich przybyli z hordy zimą".— „Jak to?"—ze zdziwieniem rzekł monarcha.—„Gdy hanaty padały—objaśniał dalej—a przyszłość w Złotej hordzie nie miała widoków, rozmaita starszyzna tłumnie z hordy wynosiła się na dwór w. książąt, do Moskwy. Kto uciekł z hordy latem, a był „murzą", otrzymywał tytuł księcia, kto przybył do Moskwy zimą, dostawał kożuch. Moi przodkowie snać zimą przybyli, poprzestali więc na bardziej praktycznym darze, na kożuchu"...

mu przynosił pewną korzyść. Kazał ciekawym opłacać się, a w takim razie słyszeliśmy zgrzyt klucza w drzwiczkach naszego pudła i ukazywały się jakieś postacie ciekawie nas oglądające. Po paru takich niespodzianych wizytach, oświadczyliśmy żandarmowi, iż po przybyciu na miejsce zaskarżymy go, jeżeli spektakle ponawiać się będą.

Admonicya skutkowała: widowisk nie wznawiano.

Zanim przybyliśmy do granic guberni Tambowskiej, przejeżdżaliśmy przez Murom, który ongi otoczony był puszczą olbrzymią, znaną z klechd ludowych. Z odwiecznych lasów, które wyobraźnia ludowa zaludniała olbrzymami i zbójcami, obecnie nic nie pozostało, prócz legend. Murom był niegdyś stolicą księstwa, które stanęło przed wiekami wśród szczepów fińskich; mówi o nich Nestor w kronice, i dziś jeszcze pozostały szczątki dawnego, fińskiego zaludnienia: resztki Meri i Wesi.

Tambowska gubernia zalicza się do obszerniejszych guberni w prowincyach środkowych Rosyi europejskiej; przejeżdżaliśmy jej część znaczną, północną, bardziej leśną i dawniej zaludnioną. Południowa część gubernii, są to stepy Kipczaku, do końca XVII wieku puste, niezaludnione, dzikie przestworza. Na ich granicy stanęło, w drugiej połowie XVII w., miasto Tambow. Z tych pól, które dopiero ubiegłe stulecie zdołało chociaż w pewnej części zorać i oddać kulturze rolniczej, wylatywały dzikie hordy ludków, koczujących jeszcze za dni ojca Piotra I (więc ku końcowi nawet XVII w.),

niosące ciągłe spustoszenia w kierunku środkowej i dolnej rzeki Oki.

Założyciel dynastyi Romanowów drewnianymi gródkami, tak zwanymi „zasiekami", otoczyć chciał południowe węgły państwa swego; jednę z takich obronnych, stepowych warowni wzniósł w tem miejscu, gdzie później urósł Tambow, nad rzeczką Cną i jej dopływem Jerykiem. Pierwotna nazwa Tambowa była mongolska: Tambuj.

To pograniczne, na krawędziach Kipczaku, wzniesienie się Tambowa zrobiło zeń wcześnie bardzo miejsce wygnania dla wielu w ciągu wieków. Różni polscy, szwedzcy i innych ludów jeńcy, wygnańcy, bądź porwani bez zarzutu i sądu ludzie miejscowi, którzy w niełaskę wpadli u swych władców, t. zw. niegdyś w Rosyi „ludzie w opale" *(opalnyje ludi)*, długie dni i lata smutne spędzali w niewoli na stepach Kipczaku, i stawali się podścieliskiem zaludnienia pierwotnego Tambowa.

Łzy wielorakiej niedoli spływały długo do wód Cny i Jeryku, zanim posępne obszary zdołały się zaludnić i jakaś, chociaż nędzna, uprawa rolnicza ustaliła się na tych pustkowiach.

Do dziś Tambow trąci pustkowiem, do dziś jakaś groza rozlana w atmosferze tamecznej, a jakaś bezbrzeżna tęsknota ciąży nad głową mieszkańców. Coś dziwnie smutnego przenika atmosferę tych krajów o trudnych do przebycia przestrzeniach, bez względu czy to okolice przeznaczone na wygnanie, czy nie. Chociaż, która tam okolica dla tych lub owych nie była wygnaniem? której zaludnienie nie

urosło z pokoleń wygnańczych, ze skazańców i ludzi porwanych i w jasyr zagnanych?

Kto wie, czy owe smutku mgły, wznoszące się na monotonnych równinach tych ziem, nie powstały z łez jasyru, którym wciąż je przepełniano. Sybiru przestworza, zwłaszcza nietknięte dłonią rosyjskiej kultury (a takie zakątki są tam jeszcze) weselej nieraz witają wędrowca, niż głębie Rosyi.

Snać gospodarka człowieka odbija się wielekroć i na obliczu przyrody. Ziemia piękną wyszła z dłoni Stwórcy, człowiek tylko zmienił i spaczył nieraz jej rysy...

IX.

Po dwutygodniowej, czy też nieco dłuższej wędrówce w pudle, stanęliśmy wreszcie w Tambowie. Zima z wyborną sanną, z ciągłymi, trwałymi mrozami, wiernie nam towarzyszyła podczas podróży. Niezbyt utrudzającą była ta wędrówka, ale zbyt monotonną, za długą; bo wyczerpały się wreszcie szczupłe zasoby książek i dzienników, któremi nudy wielodniowej podróży rozpraszaliśmy. A co najbardziej dziwnem było w tej wędrówce, to, iż wsie, miasta, okolice, całe kraje niemal, przesunęły się przed zamarzniętem okienkiem naszych sani, przesunęły się i zniknęły, dla nas niewidzialne.

W podobnem, ale znacznie większem pudle, jechała przed wiekami, z Moskwy do Wilna, narzeczona Aleksandra Jagiellończyka, Helena; zapewne jednak więcej od nas widziała co działo się zewnątrz, i około czego przejeżdżała, bo miała wewnątrz swych sani piec; było więc jej tam ciepło, zacisznie, okna nie zamarzały, przypatrzeć się mogła krajom, ludziom, obyczajom.

Nasza pozycya inną byłą. Widziało się tylko to, na co padło oko podczas dłuższych przystanków, popasów lub noclegów. Tak więc przesunęły się przed nami, ale niewidzialne dla nas, miasta: Szack,

Jełatma, Morszańsk, z których ostatnie handlowe, zamożne, o połowę mniejsze od Tambowa (który posiadał 37.000 mieszkańców), przewyższało swą gubernialną metropolię handlową ruchliwością, znaczną zamożnością swych licznych kupców. Ta niemożność przypatrzenia się pewnej ilości miast, nie na wielką stratę nas naraziła.

Jeżeli się widziało jedno miasto powiatowe w Rosyi, można być pewnym, iż się o wszystkich ma pojęcie zupełne, bo wszystkie są do siebie podobne; miasteczek zaś, tak u nas licznych, z których każde ma cechę odrębną, przyczyniającą się do ożywienia kraju, do nadania mu znamion kultury wyższej, sięgającej w głąb warstw społecznych — wcale tam niema.

Tambow zrobił na nas smutne wrażenie, a czas późniejszy pierwszego wrażenia nie zatarł.

O żadnych udogodnieniach, ulgach, jakie dawały ówczesne władze wiackie dla wygnańców, nie mogło być mowy w Tambowie. Wygnańcy nie tworzyli jednej korporacyi, a władze dalekiemi były od wszelkich starań o osłodzenie ich doli. Owszem, stano w Tambowie na biegunie wręcz przeciwnym; wszelka chęć i gotowość skierowaną była do terroryzowania wygnańców, dla błahych powodów. Wkrótce my sami mieliśmy tego doznać na sobie. Źródeł wytwarzania się warunków przykrych dla wygnańców, szukać należało nietylko w osobistem usposobieniu ówczesnych władz tambowskich, ale w tem nawet, iż to gubernia nie syberyjska, ani też nie sąsiadująca nawet z Syberyą (jak to było w Wiatce) W guberniach, gdzie istnieje stan szlache-

cki, gdzie zaludnienie nie składa się wyłącznie z chłopów, zawsze los wygnańca w Rosyi gorszy. Chronią go pilnie od stosunku ze stanem górującym, stąd też wytwarzają się liczne przykrości, mnożą się różnorodne szykany: pozycya niekiedy staje się nie do zniesienia.

Gubernatorem ówczesnym tambowskim był p. Danzas, Hiszpan z pochodzenia, oddawna zrusyfikowany, posiadający pewną towarzyską ogładę — widocznie młodość spędził na petersburskich salonach — ale życie uważał jako zabawkę i, zdaje się, nie uważał się za skrępowanego żadnymi życia obowiązkami. Nie on rządził, rządzili inni: on tylko się bawił.

Po nocy, pospolicie bardzo wesołej, o nader późnej godzinie, południowej, odmykały się podwoje sali audyencyonalnej, w której ukazywał się p. Danzas, człowiek niemłody, ale udający młodego, znużony zabawą, wyelegantowany, w peruce starannie ułożonej, z uśmiechem i francuskim frazesem na ustach. Przebiegał szybko szeregi interesantów, starał się być uprzejmym, zlekka dotykał wszystkich interesów, udawał że je rozumie, pamięta, zna, załatwia. Kończyło się na mniej lub więcej udatnym frazesie francuskim, a interesa szły zwykłą koleją: załatwiali je ci, co rządzili gubernią i gubernatorem.

Sprawy najważniejsze, interesa wymagające wyższego wykształcenia, doświadczenią, szerszego na rzeczy poglądu, zdane były na ręce mało biegłe, zostawione umysłom ciasnym, uprzedzonym, słowem, kilku urzędnikom wyższym i niższym; w sprawach

administracyi panował chaos, a p. gubernator bardzo wesoło się bawił.

Tego rodzaju okoliczności, otaczające władzę najwyższą, prowincyonalną, nie rokowały spokojnego pobytu wygnańców w Tambowie: byli oni zdani na łaskę i niełaskę drobnej biurokracyi. Los zaiste nie do zazdrości.

Podczas jednej z tych eleganckich audyencyj prezentowaliśmy się p. gubernatorowi, który krótkiem, francuskiem przemówieniem powitał nas, kończąc zapewnieniem: *Vous resterez à Tamboff*. To zapewnienie uspokoiło nas, że nie będziemy w konieczności podróżowania gdzieś dalej, w głąb stepów Kipczaku, że jeżeli nie do końca, to przynajmniej znaczną część tej niespodziewanej niewoli przebędziemy w jednem miejscu.

Później przekonaliśmy się, że tym zapewnieniom wiele ufać nie można.

P. gubernator był tylko świetną reprezentacyą rządu, lecz poza nim rząd rzeczywisty, przynajmniej w sprawach, tyczących się wygnańców, spoczywał w dłoni p. policmajstra (tj. dyrektora policyi miejskiej), który przy formach dość wytwornych był człowiekiem pełnym uprzedzeń. Nie lubił Polaków, jak to pospolicie bywało u Rosyan ukształceńszych, lub nawpół ukształconych.

Zastęp wygnańców w Tambowie zastaliśmy nieliczny. Prócz lekarza, Fortunata Nowickiego, przywiezionego na wiosnę 1861 r. z Żytomierza, do którego później żona przybyła, by dzielić z nim wygnanie, wszyscy inni, a było ich zaledwie kilku, po nas wyjechali z kraju, lub dopiero przy nas do

Tambowa przybyli. Niewielka liczba tej gromadki, w rozproszeniu dnie pędziła. O wspólnem życiu, mieszkaniu, o jakiemś ognisku braterskiej miłości, wspólnej pracy i modlitwy, jakie w Wiatce istniało, nikt nie myślał i nikt go utworzyć nie usiłował.

Rozproszenie zupełne, które cechowało ówczesnych mieszkańców tambowskich, zasmuciło nas głęboko. Zdaje się, iż brak tradycyj naszych był tego przyczyną; wygnańcze tradycye, jak to już wyżej wskazaliśmy, tkwiły niejako w owej klasycznej ziemi wygnania i z nich niejedno dobre powstało i urosło.

Tradycye wybitniejszych, lepszych znamion wygnańczego obyczaju, unosiły się niejako w atmosferze owej dalekiej pustyni; mówili o nich obcy, gdy swoich ust zabrakło, by je przekazały późniejszym, idącym na życie tułacze. A gdy milczenie wśród obcych zapanowało, mówiły groby tych, co nie wrócili, by ledz na ojczystych cmentarzach... mówiły owoce czynów dobrych, pragnień szlachetnych, kroków zacnych...

Tego wszystkiego Tambow nie posiadał. Przesuwały się nad owemi wodami Cny i Jeryku, leniwie płynącemi przez step Kipczacki, przesuwały się w ciągu wielu lat różne wygnańcze postacie, samotne, chwilowo goszczące, a może jeszcze przesiąknięte starą butą, nie rozumiejące, czem jest wygnanie...

Nie wiemy, o ile słusznem jest nasze przypuszczenie, iż źródłem złego był brak tradycyi; bądź cobądź rozproszenie tam spotkaliśmy wielkie. Zapobiedz temu narazie trudno było. Robiły się małe usiłowania, lecz prawie bezowocnie one przeszły.

Zresztą w życiu wygnańca, jak zaznaczyło się już poprzednio, o stałość stosunków trudno nadzwyczaj. Losami wygnańców wciąż miotają burze i wichry wielorakie w postaci bądź łask, bądź kar niespodzianych za winy niepopełnione.

W latach bardzo dawnych spotykano tam na wygnaniu generała Fiszera, bojownika zpod Kościuszkowskiego sztandaru; w kilka lat po wypadkach listopadowych przybył do Tambowa żołnierz pułku jazdy wołyńskiej (Karola Różyckiego) z r. 1831, ziemianin z Ukrainy, Adolf Pilchowski, i piętnaście lat strawił tam internowany; wrócił on do kraju około 1851 r. To są wspomnienia, nie jedyne wszakże, o wygnańcach naszych, w Tambowie przebywających dawnemi laty.

Zapisując te dwa nazwiska, wiemy dobrze, iż nie wyczerpaliśmy całej listy imion ludzi, którzy tam w ciszy, nieznani, zapomniani — cierpieli, ginęli, a pamięć o nich szła na zatracenie... Już i teraz trzecie imię ciśnie mi się pod pióro, lecz o niem później opowiem. Imię to uwieńczone zasługą, a nieznane, jak wiele innych.

Podobnie jak pierwsze szeregi wygnańców, którzy torowali drogę późniejszym jasyrom, giną w pomroce przeszłości — pamięć o wielu, bardzo wielu późniejszych, o ich liczbie, losach, cierpieniach, zgonie, zasługach lub błędach — zatarta na zawsze.

Tak działo się na Syberyi, tak i w innych licznych miejscach wygnania. A ileż to owych miejsc?... Któż je policzy na tych przestworzach zdumiewających rozmiarami?...

*
* *

Zastaliśmy w Tambowie, oprócz wspomnianego już lekarza, Fortunata Nowickiego z żoną, przywiezionego od dni kilkunastu z Wołynia — lekarza Henryka Boguckiego, tudzież Lipskiego, ziemianina z Wołynia, i Adolfa Pilchowskiego, o którym przed chwilą mówiliśmy. Pilchowski, już wówczas starzec, wieziony był gdzieś dalej, ale zachorował w drodze pod Tambowem i czasowo go tam zostawiono; ujrzał się więc znowu na dobrze sobie znanych śmieciskach, gdzie strawił poprzednio lat kilkanaście. Lipski również uważany był jako czasowo zostawiony, bo miejscem jego wygnania miały być ujścia Wołgi.

Spotkanie z Boguckim i Nowickim było rzeczą nader przyjemną, lecz nie zacierało to w mej pamięci wrażeń, z Wiatki wywiezionych. Chcąc skupić, chociaż chwilowo, rozproszonych tambowskich wygnańców, urządzaliśmy kolejno zebrania wieczorne, bądź u Nowickiego, bądź u nas. Rozmowa, lub czytanie, zapełniały owe wieczory, które były nieludne, bo Lipski w nich nie uczęstniczył, a Pilchowskiemu rzadko zdrowie pozwalało brać stały udział.

Stary ten żołnierz listopadowego powstania, odznaczający się wielką niegdyś galanteryą, podobno podczas pierwszego swego tambowskiego wygnania był wielce poszukiwany w towarzystwach miejscowych. Nie dziwimy się temu; przewyższał on tameczne towarzystwo o wiele ukształceniem i obyciem się z salonami.

To życie salonowe unosiło go podobno ongi zadaleko; ale wówczas, gdyśmy go spotkali na ste-

pach Kipczaku, dalekim już był od wszelkiego szukania rozrywek poza ścianami swego domu i poza stosunkami w kole wygnańczem.

Byliśmy z nim nieco bliżej niż inni; przyczyniały się do tego dawne nasze rodzinne tradycye, z epoki poprzedzającej me przyjście na świat, z epoki wybuchu listopadowego. Pilchowski sztyftował się do walki powstańczej w domu naszych rodziców, zpod ich dachu wyruszył do szeregów pułkownika Karola Różyckiego, pod sztandarem dzielnego pułku jazdy wołyńskiej, i wkrótce bił się już pod Mołoczkami [1]).

Te wspomnienia przyczyniły się, żeśmy z nim w Tambowie mieszkali czas pewien pod jednym dachem. Miałem możność wtedy korzystać z opowiadań starca, barwnych nadzwyczaj i nader ciekawych. Gdy silne artrytyczne cierpienia nie zamykały mu ust, chętnie myślą przenosił się do dni minionych i umiał nadawać świetny koloryt swym opowieściom.

Przytoczymy tu jedną z nich.

...„Wiecie zapewne — mówił raz w chwilach wolniejszych od cierpień—wiecie, iż podczas pierwszego mego wygnania, za panowania cesarza Mikołaja I, byłem tu mocno zestosunkowany z całą szlachtą tambowską. Cała śmietanka towarzyska gubernii mieszkała w mieście, jak to pospolicie

---

[1]) Adolf Pilchowski był bratem rodzonym Seweryna Pilchowskiego, znanego zwolennika Towianizmu wśród dawnej emigracyi. Losy wypadków walki listopadowej rozdzieliły braci: Seweryn oparł się na Zachodzie, Adolf wrócił do kraju, i w Tambowie pokutował za udział w walce 1831 r.

dzieje się w Rosyi, gdzie wiejskie dwory stały zwykle pustką, a obywatele mieszkali w mieście: bardzo zamożni bawili w Moskwie; dalsi przestrzenią, lub mniej zamożni, w miastach gubernialnych. Do wiosek zaglądano tylko w lecie, lub wówczas, gdy zaległych *obroków* (czynszów) niepodobna było ściągnąć.

Tambow wówczas roił się mnóstwem szlachty zamożnej. Do Moskwy zadaleko było, szczególnie dla złych dróg, pełnych błota i wybojów nie do przebycia. Tak jest dziś, tak i jeszcze gorzej bywało dawniej. Bawiliśmy się tedy wybornie. Każda zima była jednym wielkim piknikem. Rozrywano mię, wszędzie być musiałem; zabierało to wiele czasu, ale mnożyło stosunki, i bezwiednie stałem się wpływowym w sferach urzędowych.

Raz, gdy po nocy bezsennej, za dni karnawałowych, ubierałem się o dość późnej, porannej godzinie, na jakiś obiad proszony, czy też szlichtadę: stanęło dziwne zjawisko przede mną, a raczej za mną, bo ja je tylko w lustrze, przed którem ubierałem się, zobaczyłem.

Zjawisko odbiło się w lustrze niespodzianie. Byłem zdumiony. Do pokoju, w którym się ubierałem, nikt zwykle nie wchodził oprócz służącego. Wpatrzyłem się w zwierciadło pilnie — zjawisko nie znikało.

W zwierciadle ukazał się najwyraźniej człowiek, prawie zupełnie nagi, dość silnie zbudowany, o twarzy wynędzniałej, lecz wyrazistej, wzrok miał spokojny, głęboki, i długą brodę. Na

jego ramionach wisiała stara popowska *rjasa* [1]. Suknia ta lekka, podziurawiona, nie okrywała nagiego ciała, lecz w licznych strzępach spadała z pleców ku kolanom i niżej.

Wpatrywałem się zdumiony chwilę jednę, drugą, zjawisko nie znikało. Patrzyło na mnie ustrojonego w jasny frak i białą chustkę, której końce właśnie wówczas misternie związywałem przy pomocy zwierciadła — patrzyło okiem poważnem, spokojnem, rozumnem. Wzrok ten przenikać zdawał się do głębi, mijał mię obojętnie i biegł w przestworza, sięgał daleko, w nieskończoność.

Odwróciłem się.

Rzeczywiście, nagi człowiek stał przede mną; nie było to zjawisko. Stał mniej okryty niż św. Onufry, królewicz perski, w swej pustelni pod niebem południa. Tu, jak wiecie, nie była południowa kraina, ale stepy Kipczaku, podczas srogich dni lutowych.

— Kto jesteś, co tu robisz — zawołałem wielkim głosem po rosyjsku, ująwszy jednocześnie dzwonek, by zawołać służącego.

Postać zagadkowa podniosła głowę i doniosłym, uroczystym głosem rzekła po polsku:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Jestem kapłan katolicki, kapucyn ze Starego Konstantynowa...

— Bracie! ojcze! — wołałem, wyciągając ręce ku przybyłemu, prągnąc go uścisnąć, ująć w ramiona.

---

[1]) *Rjasa* (ряса), jestto suknia niekościelna prawosławnych popów.

— Nie zbliżaj się do mnie, robactwo mnie toczy, brud mię okrywa...

W tej chwili, poza tem dziwnem zjawiskiem, ukazał się we drzwiach żandarm i mój służący, niosący na tacy papier urzędowy. Papier był do mnie adresowany od pułkownika żandarmeryi miejscowej. Dowiedziałem się z urzędowej odezwy, że pułkownik, zwiedzając dziś właśnie więzienie, spotkał tam człowieka, który się mieni katolickim kapłanem, a był bez odzienia, okryty jak Job robactwem. Wina tego człowieka jest tego rodzaju, że pewien czas może być na wolnej stopie; jeżeli więc wezmę go na porękę i zaopiekuję się nim, może u mnie pozostać.

Odpowiedziałem kilku słowami wdzięczności poczciwemu pułkownikowi, odesłałem żandarma, a zająłem się mym niespodzianym, zagadkowym gościem.

Już tego dnia nie pojechałem na szlichtadę i na obiad, czy też wieczerzę tańcującą, ale, zrzuciwszy strój galowy, myłem kąpałem mego kapucyna. Wymyty, wykąpany, przeodziany w bieliznę i szlafrok, biedny więzień położył się i nie wstał w ciągu kilku tygodni.

Znużenie, cierpienia, o których dopiero później dowiedziałem się, nędza i głód, obaliły tego człowieka, choć silnie zbudowanego. Chorował ciężko, wywiązała się gorączka; parę tygodni walczył ze śmiercią: czuwałem nad nim, nie wychylałem się z domu prawie nigdzie. Karnawał już był na schyłku, a mnie nie widziano tam, gdzie bywałem codziennym niemal gościem i duszą zabawy. Moja nieobec-

ność w towarzystwach zaczęła budzić ciekawość, a zwłaszcza wśród dam: komentarzom i różnym wieściom nie było końca. Bajeczki na tem tle osnute stawały się coraz dziwniejsze, zwłaszcza gdy tej i owej pani powiedziano o ukazaniu się u mnie zagadkowej postaci więźnia. Zaciekawienie bardziej wzmagać się zaczęło, gdy post nadszedł, dający mniej pokarmu do nowych wrażeń i roztargnień, niż czas karnawałowy.

Po trzech czy czterech tygodniach, mój chory powstał z choroby: znękany, zmizerowany, zdawał się bardziej wynędzniałym, niż wówczas gdy się kładł; ale siły szybko wracały, i wreszcie, po ich powrocie, dowiedziałem się, kto jest moim gościem i nad kim czuwam.

Historya tego człowieka była zdumiewającą; słuchając jego prostej opowieści o losach dziwnych, postać ta w mych oczach olbrzymiała. Czułem, że nie jestem godzien rozwiązać rzemyka u obuwia jego... Był to apostoł wiary, misyonarz pełen poświęcenia.

Losy, które go rzuciły do barłogu nędzy, i z owej nędzy, nagiego, jak z morskiej toni na brzeg, wyrzuciły pod mój dach, streścić się dają w następujących niewielu słowach.

...Około r. 1838, czy też o parę lat wcześniej, w kapucyńskim klasztorku, w Starym Konstantynowie, na pograniczu Wołynia i Podola, był zakonnik, O. Marcin, nazwiskiem Podgórski. Miał on wówczas lat ze 30 i coś, był rodem z okolic tegoż miasteczka i w klasztorze od lat kilku przebywał; wyróżniał się w konwencie większem cokolwiek wykształce-

niem, a zapewne i żarliwością religijną. Przymioty te prawdopodobnie stały się powodem, że gdy władza świecka udała się do władzy dyecezyalnej, by z grona zakonników dano jakiego kapelana dla czarnomorskiej marynarki, los padł na O. Marcina. Wysłano go na dwa lata.

Poszedł, ale nie wrócił.

W Mikołajowie, u ujścia Bohu do morza Czarnego, gdzie przebywał zarząd floty, O. Marcin pełnił obowiązki kapelana lat parę, lecz na tem nie poprzestawał. Otaczała go społeczność pozornie chrześcijańska, w rzeczywistości pogańska: obyczaje gorszące, niesumienność we wszystkiem; postanowił złe wykorzenić, rozszerzając katolicyzm... Zróbmy ludność tę prawdziwie chrześcijańską, a wróci ona do pierwotnej niewinności, w jaką Bóg ją na chrzcie św. przyodział—mówił O. Marcin, i działał w tym kierunku: praca nie poszła na marne.

Stopniowo, powoli, lecz wciąż wzrastał zastęp katolików. Praca wśród dymisyonowanych marynarzy, wśród ich rodzin, wśród siermiężnego mieszczaństwa Mikołajowa, szła szybko, przynosząc dobre owoce. Ziarno wiary, rzucone przez gorliwego siewcę, znalazło grunt odpowiedny: był nim szczep rusiński, bo do niego należała tameczna ludność.

Praca apostolska O. Marcina nie poprzestawała na prostym ludzie, sięgnął on do warstw górujących; w łonie rodziny naczelnego admirała znalazł pole do sprostowania wielu niewłaściwości, do poprawienia tego, co było spaczone w stosunkach, a co było naturalnym wynikiem ogólnego zepsucia,

właściwego, jak to widzicie, całemu tutejszemu społeczeństwu.

Sięgnąwszy do głębi sumień i poruszywszy je, O. Marcin, ubogi, cichy zakonnik, stał się znanym, cenionym. Z gorliwością apostolską łączyła się w nim niezmierna dobroczynność, co powiększało popularność, zbliżało serca tłumów: cała ciżba nędzarzy, których wszędzie takie mnóstwo, czciła go jak świętego.

Duchowieństwo prawosławne z oburzeniem dowiedziało się o tem; sypnęły się denuncyacye, niby z rogu obfitości; władze cywilne i duchowne, prawosławne, z wściekłością rzuciły się na apostoła wiary. Żandarmi porwali O. Marcina w ciemną noc jesienną i wywieźli niespodzianie w kierunku dla nikogo nieznanym.

W Mikołajowie pozostał smutek i łzy wśród tłumów, wśród biedy wielorakiej, dla której O. Marcin był jedynym dobroczyńcą.

W północnych okolicach gubernii Tambowskiej jest klasztor prawosławnych mnichów, zwany Temnikowski (leży bowiem w puszczy tego nazwiska). Tam osadzono O. Marcina.

Pobyt u Temnikowskich mnichów był cięższy nad wszelkie uciski galernicze. Dzika tłuszcza pastwiła się nad nim; prywacye fizyczne i moralne stały się jego strawą codzienną. Udręczeniom końca nie było: biedny zakonnik nie upadał na duchu; a co dziwniejsza, wśród udręczeń nie zapominał o swej misyi apostolskiej.

Z grona nowicyuszów (t. zw. *posłuszników*) wybrał kilku, bardziej trzeźwych, roztropnych, i

zaczął ich nawracać. Praca misyjna nawet w Temnikowskiej mniszej pustelni okazała się płodną. Więzień, galernik, pilnie strzeżony, do najniższych posług używany, rozmaitemi udręczeniami nękany, stał się krzewicielem światła wiary. Kilku nowicyuszów przyjęło katolicyzm.

W godzinach ogólnego spoczynku, wśród nocnej ciszy, zgromadzał O. Marcin nowonawróconych i modlitwy wspólne z nimi odmawiał. Zachodziły trudności językowe, po łacinie niepodobna ich było nauczyć w krótkim przeciągu czasu, odmawiał więc z nimi polskie litanie i godzinki, których się wkrótce nauczyli. Pewien czas szło to, nie zwracając niczyjej uwagi; długo jednak utrzymać się nie mogło.

Ktoś przypadkiem zeszedł to grono chrześcijan na wspólnej modlitwie. Rozległ się okrzyk zgrozy między popami, a tak był wielki, że zdawało się, iż bory temnikowskie zadrżały w swych posadach.

Posypały się liczne razy kijów na apostoła i nawróconych; kapucyna, odartego z odzienia, zbitego, odesłano do więzienia, do Tambowa, gdzie miało się prowadzić śledztwo, a tymczasem sprawę przedstawiono do Synodu petersburskiego.

O. Marcin pół roku przesiedział w więzieniu tambowskiem, niebadany, zapomniany, rzucony na pastwę nędzy i robactwa. Resztki odzienia i bielizny rozpadły się.

Ciasnota jedynie w tłumie różnych zbrodniarzy chroniła go od zimna; mimo to wszakże byłby zginął niechybnie, gdyby nie wizytacya więzienia, którą odbywał człowiek ludzki, szef gubernialnej żan-

darmeryi. Zobaczywszy więźnia nago w barłogu, wśród zgnilizny i robactwa, i dowiedziawszy się od dozorcy więzienia o co oskarżony, owinąć go kazał w kożuch rządowy i zawieźć do mnie, sądząc, i słusznie, że zajmę się nieszczęsnym, jako więźniem i ziomkiem.

Rozkazano i wnet spełniono. Mówiłem już wam, jak O. Marcin stanął przede mna, tj. w stroju praojca naszego, Adama; żandarm bowiem, który go do mnie przywiózł, ściśle rozkaz spełnił, kożuch rządowy zdjął zeń w przedpokoju, a jego wpuścił do mej sypialni bez odzienia, oprócz łachmanów, które na nim wisiały i zeń spadały.

Oto macie losy człowieka, którym dano mi było opiekować się.

Skoro powstał z choroby O. Marcin, poczyniłem pewne kroki, by go ochronić od dalszego więzienia i prześladowań. Za pośrednictwem mych stosunków, dotarłem do wszystkich znakomitości gubernialnych, i wszystkie, a nawet archirej, dość przychylnie dla więźnia zostały usposobione. Falanga dam, którą zaprzągnąłem do owych starań o protekcyę, zdołała taki obrót nadać sprawie, iż O. Marcin mógłby był spokojnie pozostać w Tambowie pod dozorem policyi, nie wychylając się za rogatki miasta, gdyby nie Synod petersburski, którego decyzyi oczekiwano: o stolicę bowiem rzecz cała oparła się.

Czekaliśmy na tę decyzyę coś około roku i już zdawało się, że wszystko umorzone i poszło w zapomnienie. W tym kraju jednak, gdy chodzi o karę, o ucisk—o niczem nie zapominają.

W ciągu tego czasu, O. Marcin mieszkał u mnie, odziałem go w habit kapucyński i dałem mu oddzielny pokoik, gdzie na modlitwie czas trawił. Co czynił i jak, nic nie wiedziałem. Życie światowe unosiło mię na swej fali... Raz tylko, pamiętam, spotkałem u mych drzwi lokaja w liberyi, który pytał o O. Marcina, a niósł kosz z bielizną, ubraniem i jakiś pakiet miał przytem. Gdy kapucyna pytałem, co to znaczy, odparł mi: to Bóg zsyła dla mych biednych... Domyśliłem się, że i tu w pracy misyjnej nie ustaje, że i tu jest aniołem opiekuńczym biednych. Tak było w istocie.

Niedługo czekaliśmy, by się o tem przekonać. Wyrok w jego sprawie nadszedł wreszcie, a był nieubłagany, jak fatum starożytnych: spełnić go wnet należało i — spełniono.

Porwano go niespodzianie i wywieziono nad Białe morze, do Archangielska.

Gdy nadeszła nagle ta chwila rozstania, o której zdawało się, iż nikt nie wiedział, tłumy biedactwa zapełniły ulicę, wstrzymywano konie, całowano suknie, stopy kapucyna. Wołano, iż on ich ojcem; dobroczyńcą. Patrząc na to, oczom własnym nie wierzyłem; nie sądziłem, by lud ten tak głęboko czuć umiał.

Porwano go, pojechał — i już nie widzieliśmy go odtąd. Wieści jednak z Archangielska nadbiegły w lat parę potem, że posądzany o prace misyjne ponownie był zesłany do Koły, 153 mil za Archangielsk, na krańce północnego lądu...

I znowu po latach wieści nadbiegły, iż Bóg powołał go do siebie...

Nad wodami mórz północnych wznosi się krzyż katolicki, jedyny w tej ziemi podbiegunowej, pod którym spoczywają zwłoki niezmordowanego siewcy słowa bożego, ubożuchnego, nieznanego kapucyna, O. Marcina Podgórskiego.

Tułacze pokolenia naszego narodu od pół wieku prawie czerpią z mogiły tej siłę i pokrzepienie na dalszą wygnańczą pielgrzymkę"...

X.

Przytoczone tu opowiadanie o O. Marcinie, kapucynie, nie było historyą wyjątkową; takich fragmentów z dziejów wygnania różnych pokoleń narodu naszego, mnóstwo możnaby było zebrać przed laty. Dzisiaj to stało się przetrudnem, a nawet najzupełniej niemożliwem. Świadkowie i uczestnicy owych wydarzeń niezwykłych przeważnie zeszli ze świata, unosząc do mogił wspomnienia, świadectwa wypadków. Nikt tradycyj nie zapisał, rozproszyły się one, zatracone nazawsze.

Na kartach dziejów wygnańców tambowskich, woroneżskich zapisanymi być powinny przedewszystkiem losy wielu kapłanów unickich, losy kilku mnichów zakonu św. Bazylego, którzy porwani po r. 1839, bądź z parafij, bądź z klasztorów wschodnich prowincyj kraju naszego, gaśli w zupełnem zapomnieniu, nieraz – ściślej mówiąc, zawsze—w warunkach twardszych niż życie galernicze na Syberyi, bo w mniszych pustelniach prawosławnych tego rodzaju, jak poprzednio wspomniany Temnikow. Powolne konania owych wygnańców na kartach martyrologii chrześciańskiej nie znalazły dla siebie miejsca; ich westchnienia nie przekraczały oparkanienia więzień, w których gaśli, a łzy nie

spływały do łzawnic, co mogłoby stać się w przyszłości świadectwem ich bólu. Jeśli gdzie ich pamięć czas jakiś przechowywano, jeśli ku nieznanym ich mogiłom biegły westchnienia, to chyba wśród ubożuchnych lepianek na Litwie, Polesiu, gdzie miały schronienie rodziny osierocone owych filarów unickiego kościoła na Zabużu.

Zbyt krótkim był nasz pobyt na stepach Kipczaku, abyśmy zdołali jakieś zebrać wskazówki bliższe, jakieś wspomnienia o ludziach i wypadkach z epoki prześladowań unii na Zabużu, która to doba już znikała we mgle przeszłości; ludzie zaś, co wówczas cierpieli i poszli w pęta niewoli, oddawna legli w mogiłach. O innych, dawniejszych wygnańcach, również niewiele mogliśmy się dowiedzieć, gdyż nie spotykało się tam wcale ziomków żyjących na wolnej stopie, jak to widzieliśmy w Wiatce.

Zaledwie jeden się znalazł; i do nas dopytał; ale on, acz poczciwy, niewiele się troszczył o rzeczy, które z jego zawodową pracą ściśle się nie wiązały.

Przykładem mienić się mógł, jak każda maluczka nawet umiejętność, przed niewielu stosunkowo laty, opłacała się i cenioną była w głębi owego państwa. *Anteriora* jego wskazują, że najpospolitszy to był niegdyś organista w Wilnie; gdy jednak, podczas kasaty kościołów za cesarza Mikołaja, kościoł przy którym on służył, zamknięto, organista bez zajęcia poszedł w świat szukać chleba i oparł się w głębi Rosyi; dano mu tam posadę urzędowego weterynarza i delegowano na dalszą północ, w celu zbadania jakichś epidemij bydła.

Pojechał, tak niespodzianie na specyalistę kreowany, i wrócił ze sprawozdaniem wieluarkuszowem, na które złożyły się, nie spostrzeżenia własne, bo do nich brak było uzdolnienia, ale wspomnienia tych praktycznych wskazówek, jakie w głowach swych mieli nasi wieśniacy, jakie były umiejętnością gospodyń naszych, wszystko to, co mu nieraz w Polsce do ucha wpadało, i w myśli pozostało. Ze sprawozdania jednak zadowoleni snać byli, bo promowano organistę na wyższe stanowisko w urzędowej hierarchii weterynarzy, do czego on dobrowolnie dodawał inne, właściwsze mu zajęcie: był metrem muzyki.

Żadnego innego ziomka, dobrowolnie mieszkającego w owych okolicach, nie spotkaliśmy; zapewne ich nawet nie było tam wówczas wielu.

Dobry ten, a skromnie trzymający się człowiek, przypominał poniekąd swą dziwną karyerą niezwyczajne losy ubogiej rodziny Jagużyńskich, która na schyłku XVII w. emigrowała do Moskwy, i tam wkrótce doszła nietylko do bogactw, zaszczytów, lecz, co dziwniejsza, upamiętniła się nawet w dziejach tamecznego kraju.

Ojciec tej rodziny, Jan Jagużyński, organistą był u Misyonarzy wileńskich. Jakieś stosunki z kupiecką kolonią niemiecką wyprowadziły go z Wilna do Moskwy, gdzie mu zapewniano znacznie większe wynagrodzenie, i gdzie również organistował Niemcom, w ich luterskim domie modlitwy.

Na tem bardzo skromnem stanowisku zawiązał stosunki; syn zaś, Paweł, po szczeblach stosunków ojcowskich idąc, a nadewszystko mając w sobie coś

z wyższej kultury polskiej, wyrósł na potęgę wpływową u stóp tronu Piotra W. Studyując dzieje Piotra W., na każdym niemal kroku spotykamy Pawła Jagużyńskiego, który nawet podczas podróży monarchy do Astrachania (w. r. 1722), posiadał władzę regenta państwa — wydawał ukazy; a w pacholęcych latach pierwsze nauki otrzymał, dmąc w miechy na chórze misyonarskiego kościoła w Wilnie. Umarł on hrabią rosyjskim, w r. 1736. Ród jego wkrótce wygasł.

. . . .

Przypadkiem dowiedzieliśmy się, iż wśród większych właścicieli ziemskich owego kraju mieszka rodaczka nasza; nie znaliśmy jej i nie słyszeliśmy o niej nigdy przedtem: gdy raz, niespodzianie, wsunął się do naszego mieszkania człowiek barczysty, ogorzały, śniegiem osypany, w wielkie futro owinięty. Wszystko wskazywało, że zdaleka przybywa. Rzeczywiście, o dwieście czy też o trzysta kilometrów mieszkał ów przybysz. Był on rządcą majątku pewnej pani, z której polecenia przybył do Tambowa, by zapytać nas, czy jego mocodawczyni nie może nam stać się pod jakimkolwiekbądź względem pomocną. Podziękowaliśmy listownie za uprzejmość nieznanej rodaczce, która pochodziła z dawnego mścisławskiego województwa, a zamążpójście zaprowadziło ją na północne krawędzie smutnej, tambowskiej prowincyi.

Nie korzystaliśmy z uprzejmości owej pani; ale, po wielu latach, zapisuję ów fakt z wdzięczną pamięcią, tak dla samej pani Diaków (z domu Ho-

łyńska), jak również i dla jej siostry, Ks. Lubomirskiej, która była prawdopodobnie jej natchnieniem.

. . . .

Nasza nieliczna gromadka tambowska, z kilku zaledwie osób złożona, ku końcowi zimy jeszcze bardziej mogła się stać rozproszoną; przyczyniały się do tego warunki topograficzne miasta. Koniec zimy zapowiadał wielkie błota, roztopy, co utrudniałoby komunikacyę naszych mieszkań, w mieście na dużych przestrzeniach rozrzuconem, pozbawionem prawie zupełnie bruków, chodników, a rozsiadłem na nizinach. Mieszkania przytem nasze na różnych a odległych punktach miasta były położone.

Zamykaliśmy się więc coraz bardziej, coraz szczelniej wśród ścian naszych szczupłych izb, wśród pracy z książką i piórem w dłoni, wśród własnych myśli i tęsknicy, która tu przejawiała się częściej, wyraziściej, niż w Wiatce. Wrażeń podnioślejszych, zdolnych rozproszyć lub zmniejszyć chmurę smutnych myśli, zawisłych na czołach naszych, brak był wielki.

Potrzeby nasze religijne nie mogły być zaspakajane. Kapłana âni kościoła nie posiadaliśmy wcale, i tak miało pozostać do końca owoczesnego wygnania. O wytworzeniu wspólnego oratoryum, na wzór wiackiego, również w owych chwilach i okolicznościach trudno było myśleć: władze tambowskie tak podejrzliwie na nas patrzały, iż na wspólną modlitwę żadną miarą nie zezwoliłyby. Zaledwie znoszono nasze istnienie, myślano wytrwale, jakby nas rozproszyć, pojedyńczo rozrzucić po całym obszarze gubernii.

. . . .

Dodatnim żywiołem w ówczesnej wegetacyi było przybycie dwóch nowych wygnańców z Warszawy: byli to Krajewscy.

Panowie Aleksander Krajewski i Henryk Krajewski, chociaż nosili toż samo nazwisko, nie byli ani braćmi, ani krewnymi, jak wielu mniemało; posiadali jednak niektóre wybitne cechy wspólne: obaj przychodzili do nas z doświadczeniem wielkiem, nietylko życiowem, lecz i wygnańczem, długie lata bowiem na wygnaniach i katorgach syberyjskich spędzili; a przytem cechą ich wspólną było wykształcenie gruntowne, którem obaj wyróżniali się.

Niedługo wśród nas gościli, tak jak wogóle w onej epoce szybko, niespodzianie, ludzie szli na wygnania i z nich wracali; szczególnie tyczyło się to mieszkańców Królestwa. Przywieziono ich przy końcu lutego, a zanim kwiecień upłynął, już otrzymali uwolnienie i wnet potem wyjechali. Krótki ten pobyt pamiętnym wszakże się stał; bo niedość, iż wnieśli z sobą do gromadki wygnańczej pewnego rodzaju żywioł dodatni, lecz z owym pobytem połączona była praca jednego z nich, praca w następstwa obfita.

Przypadek zrządził, że ja pierwszy powitałem przybywających, i z zajazdu, gdzie ulokować się chcieli, zaprowadziłem do naszego mieszkania. Tam, w ciasnocie — ściany bowiem, pomimo najlepszych chęci naszych, nie rozszerzały sie — ulokowali się na pierwsze chwile owi sympatyczni przybysze. Wytworzyło to już narazie stosunek nieco bliższy, a nader miły z powodu licznych ich przymiotów.

Ogólny prąd ówczesnych usposobień, jak niemniej zbieg różnych okoliczności, sprawił, iż ci nowi przybysze znaleźli możność, podczas swej podróży z Warszawy, zatrzymać się w Moskwie dni kilka. Młodszy z nich, p. Henryk Krajewski, odnowił tam swą bardzo dawną, sięgającą czasów jego studyów uniwersyteckich w Moskwie, znajomość z p. Katkowem, ówczesnym profesorem uniwersytetu, później znanym publicystą, a wówczas nietylko nie wrogiem Polaków, ale ich przyjacielem.

Tak — p. Katkow był naszym przyjacielem wtedy.

Do zastępu, jeśli nie przyjaciół Polski, to przynajmniej życzliwie dla nas usposobionych, w regionach ludzi wpływu, zaliczała się też panna Antonina Błudow, córka sędziwego Dymitra Błudowa, przewodniczącego w radzie państwa, najwyższej instytucyi państwowej. Rzecz to prawie nie do uwierzenia, a jednak wówczas prawdziwa. Katkow i panna Błudow — już wtedy kobieta nie pierwszej młodości — w kilkanaście miesięcy potem, gdy się rozwinął krwawy dramat 1863 r., rozpoczęli przeciwko nam kampanię długą, eksterminacyjną, walkę stanowczej zagłady na wszystkich polach naszej pracy, naszego cywilizacyjnego dorobku.

Metamorfozy gwałtowne, wyzuwanie się z pewnych przekonań, a sięganie po inne hasła, stanęły później w Rosyi na porządku dziennym; wówczas jednak jeszcze znanemi nie były; wierzyliśmy ludziom lepszym, zacniejszym, światlejszym wśród rosyjskiego społeczeństwa. Katkowa snać także do owych lepszych, zacniejszych ludzi w Rosyi zali-

czano, gdyż okazywał się on wrażliwym na troski nasze społeczne, na ucisk, pod brzemieniem którego kraj jęczał i szamotał się bezsilny, by stargać więzy. Panowie Krajewscy nie należeli do ludzi rozniecających żarzewie ruchu; boleli nad stanem kraju, i mniemali, jak większość, że pewne koncesye, ku którym rząd zdawał się skłaniać, uspokoją umysły, wprowadzą społeczeństwo na drogę pracy spokojnej a owocnej dla przyszłości.

W tym kierunku prowadzona rozmowa z p. Katkowem, doprowadziła go do zapewnień, iż weźmie na siebie wynalezienie drogi, aby mógł dójść do monarchy memoryał, wskazujący z całą otwartością ówczesny stan kraju i zarazem jego braki, potrzeby i środki zaradzenia chociaż najgwałtowniejszym potrzebom.

Były to czasy, gdy i ten projekt, w innej epoce przetrudny, niemożliwy, mógł być urzeczywistniony.

Postanowiono korzystać ze sposobności. Panna Antonina Błudow i jej sędziwy ojciec, ze swego urzędu stojący u stóp tronu, była to droga łatwa do użycia, którą rzeczony memoryał mógł dójść do monarchy i wywrzeć pewne wrażenie: Błudow miał go poprzeć własnem przedstawieniem.

Rzecz tak postawiona nie pozostała w sferze projektów. Urzeczywistniono ją, a nawet prędzej, jak można było przypuszczać.

Po krótkim w Moskwie pobycie, wygnańcy oparli się — jak wiemy — w Tambowie, i wnet po przybyciu, Henryk Krajewski rozpoczął opracowywanie memoryału. Naradzali się obaj, lecz redakcya

wyłączną była pracą Henryka Krajewskiego. Memoryał był skreślony w języku francuskim i odznaczał się gruntownością wykładu i wytwornością stylu.

W miarę jak praca posuwała się, ustępy jej były odczytywane w gronie bardzo nielicznem. Głos doradczy jeśli kto zabierał, to jedynie Aleksander Krajewski.

Smutne i ciche kąty naszej izdebki ożywiły się nieco podczas rozpraw nad owym memoryałem. Kładziono tam wiele nacisku na opłakany stan oświaty w ówczesnej Kongresówce i wskazywano szkoły, podniesione do wyższego poziomu, z językiem wykładowym polskim, jako naczelną ulgę, której kraj domaga się i z upragnieniem oczekuje.

W pierwszych dniach marca (star. st.) (1862 r.) memoryał wykończony podążył do Moskwy, skąd wysłanym został drogą wyżej wymienioną do cesarza. Doszedł ów dokument do miejsca przeznaczenia i nie pozostał bez skutku:

Nie mamy żadnych bliższych wskazówek, któreby dowiodły, o ile ten memoryał stał się zachętą do spieszniejszego przechylenia szali sprawiedliwości na stronę uciśnionych; niemniej wszakże i on bez wątpienia nieco zaważył na owej szali, wciąż wówczas chwiejącej się, ale bardziej skłaniającej się ku czynom chwalebnej restytucyi, niż ku przedłużaniu i utrwalaniu ucisku.

Jeżeli memoryał chociaż w cząstce małej przyczynił się do wytworzenia owych ulg, jakie Królestwo Kongresowe w kilka miesięcy później otrzymało, zasługa to autora niemała. Pospolicie ludzie

w sytuacyi tego rodzaju, którą niespodziane okoliczności wytworzyły, nie zaniedbują o własnych sprawach, w danym wypadku inicyator i autor memoryału ani na chwilę nie myśli o sobie. Dobro publiczne zajmuje go głównie, o nie jedynie się troszczy, własną swą osobę zachowując w cieniu.

W parę miesięcy potem obaj panowie Krajewscy wracali już z wygnania do kraju; wracali przez Petersburg: Henryk Krajewski widział się z Błudowem, który go zapytywał, czy pragnie audyencyi u monarchy, lecz on uchylił się od zaszczytu, wiedząc, iż osobistą, chwilową rozmową nie wpłynie na zdanie woli najwyższej, gdy tymczasem memoryał wybornego miał rzecznika w osobie hr. Błudowa.

To usuwanie się dobrowolne z szerszej widowni, stronienie od stanowisk wybitnych, widocznie uderzało pannę Błudow. Poznała ona w Henryku Krajewskim człowieka wyższego wykształcenia, spodziewała się przeto go ujrzeć na stanowisku jakiemś wybitnem, w ówczesnym, tworzącym się właśnie wtedy rządzie autonomicznym Królestwa, pod kierownictwem margrabiego Al. Wielopolskiego, lecz nigdzie dopatrzeć go nie mogła. Zdziwiona, zapytuje nawet margrabiego w jednym ze swych listów: „co się dzieje z Krajewskim...“? Nie wiemy, czy zapytanie otrzymało odpowiedź i jaką. Samo wszakże zapytanie wskazuje, iż niełacno w Petersburgu zapominano o autorze memoryału[1]).

---

[1]) Patrz dzieło H. L. o „Margrab. Al. Wielopolskim“. Tom I.

Przed wyjazdem Krajewskich przywieziono paru nowych wygnańców i ktoś bawił czas dłuższy w przejeździe na jakieś dalsze wygnanie. Był więc przypływ i odpływ, ciągłe przerzucanie, miotanie ludźmi i ich losami, ciągłe niepokojenie, utrzymywanie w niepewności jutra. Wśród przybyłych był nasz sąsiad z Wołynia, Aleksander Bereżecki; przywieziono wreszcie z Warszawy Tomasza Winnickiego, urzędnika z zarządu poczt. Człowiek to był cichy, łagodny, mało jednak do nas zbliżający się, w sobie zamknięty. Takim przynajmniej nam się wydał. Niewiele go znaliśmy, i wkrótce znikł nam z oczu: do kraju wrócił. W rok później, w epoce walki, dobiegały wieści, iż on w sztabie Langiewicza wybitne zajął stanowisko.

. . . .

. . . .

Wyjazd Krajewskich dla nich dzień radości, smutną chwilą się stał dla naszej wygnańczej gromadki: traciliśmy bardzo cennych współtowarzyszy doli. A ta dola wnet na coraz gorsze zmieniać się zaczęła: na próby nas wystawiano.

Starszy z odjeżdżających Krajewskich, w chwili wyjazdu, już z wysokości wozu pocztowego, rzucił nam na pożegnanie słowa poety, a swego niegdyś syberyjskiego kolegi i przyjaciela — Gustawa Ehrenberga. „W dwóch rozkosznych ojczyznach z wami się obaczę—Za Dnieprem lub za grobem, bracia, do widzenia“. Słuchając tych słów, mniemało się, iż spotkanie rzeczywiście „za grobem“ dopiero nadejdzie: stało się jednak inaczej. A wcale nie przypuszczało się, że inne słowa tegoż poety, z

tegoż samego ustępu, należałoby zacytować, i że one właśnie rychło zaczną się urzeczywistniać:

> Ale się grono zmniejsza. Patrz, jak liść powiewny,
> Co się po stepie błąka miotany wiatrami,
> Tak nas zemsty i łaski miotają[1]).

Nadeszły rzeczywiście wśród trosk nowe dni niepokoju: małe i wcale nieściśle zjednoczone koło nasze wygnańcze postanowiono rozproszyć, „zmniejszyć“. Było nas siedmiu w jednem mieście, rozrzuconych na dużej przestrzeni, mało komunikujących się z sobą, jeśli nie dla innych przyczyn, to z powodu warunków topograficznych; uważano wszakże, że jest razem za wielu.

W chwili, gdy postanowiliśmy z Al. Bereżeckim oddać się studyom lingwistycznym, i spędzaliśmy dni i wieczory nad gramatykami i słownikami, władze tambowskie opracowały dekret banicyjny. Dotknął on nas dwóch i lekarza Boguckiego, człowieka schorowanego, potrzebującego towarzystwa, znękanego moralnie, cierpiącego fizycznie. Kazano go wywieźć do powiatowej, nędznej mieściny, Lebiediania, a nas do Lipiecka, miasteczka na większym gościńcu położonego i mniej oddalonego od Tambowa.

Ze zdumieniem dowiedzieliśmy się o tem nowem wygnaniu wśród wygnania, i bez szemrania poddaliśmy się swym losom; martwiła nas tylko banicya Boguckiego w głąb stepów, na wielkie bezludzie — do Lebiediania. Chcąc temu chociaż nieco zaradzić, o ile to przynajmniej w mocy naszej było, postanowiliśmy prosić gubernatora, aby nas posłano

---

[1]) Gustaw Ehrenberg.

na owo bezludzie, a biedny schorzały lekarz by szedł do większego, dogodniejszego stosunkowo miasteczka, dla nas przeznaczonego.

P. gubernator ze zdziwieniem wysłuchał naszej petycyi. Biedaczysko nie rozumiał, jak można poświęcić coś dla kogoś bezinteresownie; uśmiechnął się więc ironicznie, wzruszył ramionami i wyszeptał: *c'est une conduite chevaleresque*. Następstwem tej wizyty u gubernatora był wydany rozkaz zamiany naszego miejsca wygnania na gorsze. Stało się jak żądaliśmy: doktora Boguckiego ocaliliśmy od przykrości.

Powieziono nas tedy do Lebiediania, a w dobę później Bogucki podążył do Lipiecka.

Wiosna rozpoczęła się już na dobre, maj dobiegał połowy swych dni (now. st.), gdy zobaczyliśmy stepy kipczackie poza Tambowem. Pola to rozwarte, nieco falowate, ale smutne, z roślinnością ubogą, mało jeszcze rozwiniętą, chociaż wicher ciepły z głębi Kipczaku, od ujść Wołgi, od Kaspijskiego morza, gwałtownie pędził, osuszając pola z dziwną szybkością, zamieniając szeroki gościniec, jedną czarną lawą błota płynący, na również wielkie bezdroże, o grudzie tak trudnej do przebycia, jak nią były topiele.

Ani gruda, ani błotniste przepaście nie są w stanie wstrzymać szybkości jazdy w owym kraju, gdy idzie o sprawę państwową, a taką państwową sprawą są zawsze wożenia ludzi i przerzucania ich z miejsca na miejsce. Na wozie pocztowym, zbudowanym wedle obyczaju kraju, o przodzie wyniosłym i szerokim, a siedzeniu niskiem i wąskiem, ulokowano

nas. Jakieś indywiduum urzędowe, zaliczające się do szeregu wyższych nieco agentów, usiadło z przodu, twarzą ku nam, napędzając pocztarzy do szybszej jazdy.

Trwała tego rodzaju podróż dwa dni, w ciągu których przelecieliśmy mil trzydzieści, pędząc po grudzie na nieujeżdżonych gościńcach, po wybojach i pochyłościach pagórków, tworzących dział wód dwóch wodozbiorów, Wołgi i Donu.

Tuż zaraz za rogatką Tambowa, spotykamy olbrzymi wał, ciągnący się na znacznej przestrzeni — to zabytki obrony granic dawnego państwa, które w ten sposób zabezpieczało swe kończyny od napadów Złotej hordy i koczowników stepowych; łacniej mogło odpierać zpoza ziemnych obwarowań.

Zapobiegliwość ta przynosiła w swym czasie niemałe a pomyślne owoce; jakże ona różną od naszego zaniedbania obrony stepowych miedz państwa starej Rzplitej i sypania jedynie doraźnych obwarowań z nader cennego materyału — z kości najprzedniejszych synów kraju!

Dwa tak różne rodzaje gospodarki państwowej przynosiły najzupełniej różne wyniki zabiegów: z doraźnych zapałów, u nas, z poświęceń nieraz heroicznych, nie urastały trwałe owoce, gdy tymczasem ludzie Wschodu nadwołżańskiego pracą żmudną, ciągłą, wytrwałą, wprzężeni w jarzmo karności, trwałe zręby budowy państwowej wznosili.

XI.

Przesunęły się przed okiem naszem przedniejsze z miasteczek tambowskiej gubernii: Kozłów i Lipieck. Pierwszy był już wówczas miastem handlowem, zamożnem, rywalizującem ze swą gubernialną metropolią, Tambowem. Obecnie, z powodu znacznego rozwoju kolei żelaznych w tamtych okolicach, zmieniły zapewne miasta swą postać i kraj prawdopodobnie — chociaż wątpię — nabrał znamion większej cywilizacyi — wówczas wszystko nosiło cechę nader pierwotną.

Wsie szczególnie odznaczały się jakąś dziwną monotonią, wreszcie smutkiem, co wiał z owych ścian drewnianych, zczerniałych od słoty, pozbawionych zieloności, barw jaśniejszych, pozbawionych drzew, krzewów, ogródków przy lepiankach, kwiecia, którem u nas wieśniak umaja swą siedzibę, ozłaca swą szarą dolę.

Chaty przypominały szałasy koczowników, a wsie, to istne tabory nomadów. Nie ma tam na czem oko spocząć, niczem myśl nie rozjaśni się, coś dziwnie smutnego, przygnębiającego wieje z każdej wioski, z każdego domostwa wieśniaków, i na dnie duszy wędrowca osiada wrażenie głębokiego smutku, połączonego z pewną obawą.

Jak świątynia buddajska, ilekroć w niej byłem, budziła we mnie zawsze pewną grozę, tak niemniej i owe wschodnie równiny, owe pola puste, o nędznej rolniczej kulturze, napełniały mnie jakąś obawą. Może to cienie krwawej przeszłości owego ludu, o dziejach krwią i łzami przesiąkniętych, cienie niewidzialne, które krążą w przestworzu i napełniają taką grozą niewysłowioną wędrowca. Może... przyczyn nie badam; ale w mej myśli, w głębi duszy, ziemie te, zarówno bliższe, nad Oką i Klazmą i Wołgą, jak i dalsze, zauralskie, wywoływały uczucie, jakiego doznajemy, zwiedzając więzienia.

. . . .

W Kozłowie spotkaliśmy jakiegoś młodzieniaszka, ściślej mówiąc, prawie pacholę, które, przed kilku miesiącami porwane z ławy szkolnej w Żytomierzu, skazane było na żołnierkę za udział w sprawach demonstracyj ówczesnych. Kilku takich chłopaków widzieliśmy przeciągających z tłumem zwykłych zbrodniarzy przez Tambów; jednego zatrzymaliśmy nawet czas pewien u siebie, aby wśród wielkiej poniewierki odpoczął nieco, i przygotował się do życia prób. Ale żołnierzyk w Kozłowie spotkany, nazwiskiem P., najwięcej budził sympatyi i żalu zarazem. Jeden to z owych, których nieodwołalnem przeznaczeniem miała być śmierć, jeśli nie fizyczna, to moralna. Z tej kategoryi wygnańców-pacholąt na zatracenie prowadzonych, nikt pospolicie nie pozostaje, aby późniejszym szeregom młodzieniaszków zdołał opowiedzieć, jakiemi drogami szli ich poprzednicy na zagładę. Ci, co ocaleni zostali, nieliczni bardzo i rozproszeni, lub też innymi się stali. Duch dawny

z ich piersi uleciał. Ciałem niekiedy długo żyją, lecz inni to już ludzie.

Dziatwa ta najrychlej ginie, najskutecznej się wytępia, a często drogi, któremi ich ku zatraceniu prowadzono, są przerażające. Jeśli na ścieżkach swego istnienia mogiłę znaleźli, zaiste, szczęśliwymi mienić się mogli. Losy Tyra i Mollessona, pietnastoletnich dzieciaków, rzuconych w r. 1824 przez Nowosilcowa na ziemię wygnania, są tu wymownym przykładem, jak rzadko taka dziatwa ocalić się zdoła. Niejeden z nich, ginąc przedwcześnie, mógł z całą słusznością do pozostałych rówieśników rzec ową wiełką prawdę: lepiej dobrze umrzeć, niż źle żyć.

Podczas późniejszych lat wygnania mego, miałem możność w krajach nader odległych, bo aż w Dauryi, znaleść ślad dalszych losów Tyra i Mollessona, których nazwiska przechowała III. część „Dziadów". Znałem synów Tyra, spotkałem legendę otaczającą mogiłę Mollessona. Podaję w innej mojej pracy prawdziwe szczegóły, tyczące się losów owych pacholąt za dni ich wygnania. Może to pierwsi z zatracanych młodzieniaszków, ale nie najpierwsi, a w każdym razie nie ostatni. Lata 1863 i 1864, które dostarczyły obrazów największej grozy, widziały znacznie młodsze dzieci, pędzone na dalekie wygnanie.

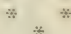
Nie wiem kierunku dalszej drogi życia owego młodziutkiego P., który krótką noc majową z nami w Kozłowie przegwarzył, płacząc i śmiejąc się naprzemian, sądzę jednak, że duchem ocalał, a jeśli umarł—to umarł dobrze. Dźwięk mowy rodzinnej,

możność wylania swych uczuć, marzeń, boleści i nadziei przed ziomkami, którzy go zrozumieją, smutek podzielą, zachwycały młodzieniaszka, czyniły szczęśliwym bodaj na chwilę.

— Daliście mi moc, siłę na długo—mówiło biedne dziecko, ściskając nas przy pożegnaniu.

Zostawiliśmy go pełnego dobrej otuchy; nie my wszakże dawaliśmy ową moc, siłę, do opierania się ponętom otaczającym, a łatwo gubiącym nietylko tak młode pacholęta, lecz i znacznie doświadczeńszych—nie my pomocą tu byliśmy; wyniósł on zpod macierzystej strzechy wiarę głęboką, którą ówczesne krajowe okoliczności umacniały, w wielki płomień iskrę rozdmuchać mogły, i nieraz rozżarzały. To była jego moc, jego pancerz, w modlitwie, jak nam mówił, szukał pokrzepienia. Ta pomoc, zapewne, nie zawiodła.

Co później z nim się stało—nie wiemy.



Lipieck, w którym zatrzymaliśmy się tylko kilka minut, dla przeprzęgu koni, mile zdala wpadał nam w oko. Patrząc na jego schludne domki, miejscowość nieco nawet malowniczą, park obszerny, przy którym są źródła wód mineralnyah, cieszyliśmy się nadzieją, iż współtowarzysz doli, lekarz Bogucki, będzie miał znośne może otoczenie na swem nowem wygnaniu. Rzeczywiście nie miał podobno tam zbyt złych warunków, ale w kilka tygodni po przyjeździe—zaledwie zaczął się rozpatrywać wśród nowego otoczenia—uwolniono go, wrócił do kraju.

Lipieck, w późniejszych nieco latach, stał się bardziej znanym i głośnym nawet w Rossyi, z powodu swych wód mineralnych, które znacznie podniósł nasz współwygnaniec, lekarz, Fortunat Nowicki. o którym słów parę wyżej wspomnieliśmy.

Już Piotr W. zwracał uwagę na Lipieck i mineralne bogactwa w jego okolicach znajdujące się; stał się on założycielem miasteczka. Obfita ruda żelazna podała Piotrowi myśl wybudowania wielkiej fabryki żelaza, około której zabudowała się mieścina schludna, stawała bowiem pod okiem wielkiego „cieśli“ i budowniczego. Wielki ten „cieśla“ i prawdziwy dobrodziej swego państwa, pragnął z Lipiecka wytworzyć podstawę działań dla swej armii, podczas zdobywania Azowa. Budowano wtedy małe rzeczne statki w Lipiecku, na nurtach wzbierającej znacznie na wiosnę rzeczki Woroneż, projektowano zbrojnemi łodziami dostać się na wody Donu, i w ten sposób korsarsko-rzeczny, który wypróbowano z pomyślnym skutkiem, zdobywając wschód i północ azyatycką, uderzać ku południowi, torować sobie drogę na *Palus Maeotis*.

Z biegiem lat Lipieck przestał być potrzebnym dla strategików, lecz ślady pobytu tam Piotra W. nie zginęły; pozostała fabryka wyrobów żelaznych, pozostała tradycya, iż są tam wody mineralne i pałacyk monarchy, założyciela miasteczka.

Dłoń cudzoziemca zwykle najwięcej w Rosyi zdziałała na polu pracy wewnętrznej, pożytek rzeczywisty społeczeństwu przynoszącej. Tak się i tym razem stało. Chociaż już w r. 1700 Piotr orzekł, że Lipieck posiada wody mineralne, czekano

lat sto, aż nadszedł Niemiec Pfeler, który owe wody zbadał i dokładnie opisał w r. 1804; po upływie zaś znowu lat prawie siedmdziesięciu nadszedł inny cudzoziemiec, Polak-wygnaniec, lekarz Fort. Nowicki, który je nanowo badał, opisał, nadał im rozgłos, wziętość—stał się rzeczywistym twórcą tej leczniczej miejscowości.

Lekarz Fort. Nowicki, umysłu rozległego, energii wielkiej, wraz z x. Waler. Gromadzkim, wikaryuszem w Horochowie na Wołyniu (późniejszy prob. w Tomsku na Syberyi), należał do najwcześniejszych wygnańców w r. 1862 (nietylko na Wołyniu, ale wogóle na całym obszarze zaboru ros.). Cały okres walki 1863—64 r. przebył on na wygnaniu, które później dla niego stało się lżejszem, wreszcie uwolniono go; i on wówczas, ze światłym obywatelem tamecznym, p. Satinem, wytworzył towarzystwo akcyjne, które wydzierżawiło od rządu wody mineralne w Lipiecku. Nowicki został dyrektorem zakładu, który pod jego dłonią wkrótce zakwitnął. Charakterystyczna rzecz zaszła, gdy owa spółka balneologiczna obejmowała dzierżawę, do której nietylko źródła należały, ale i pałacyk Piotra W. Dzierżawcy wszakże pałacu nie znaleźli. Widocznie ktoś go rozebrał, bądź też runął on przed wielu laty; nikt w Lipiecku nie pamiętał istnienia tego budynku: pomimo to jednak rząd łożył znaczne koszta na jego utrzymanie od dni Piotra W., do dni objęcia zarządu przez naszego ziomka. Tego rodzaju okradanie skarbu państwa wciąż tam na porządku dziennym. Dr. Fortunat Nowicki, po powro-

cie do kraju, urządził zakład leczniczy w Nałęczowie (w Lubelskiem), gdzie zmarł około r. 1885.

. . . .

Miało się już ku północy, drugiego dnia podróży, gdy stanęliśmy w Lebiedianiu. Mieścina, chociaż powiatowa, maluczka wszakże, z 6000 głów złożona, nigdy nie była miejscem wygnania Polaków. Przekonaliśmy się nawet, iż ogół mieszkańców nie słyszał nic o Polakach. Znano Tatarów, Turków, słyszano o Ormianach, ale o Polakach widocznie nie słyszano nawet. Do gospodarza domu, gdzie zamieszkaliśmy, przychodzili jego sąsiedzi, znajomi i krewni, pytając, jakich to ludzi u siebie ma, których rząd więzi, a zwierzchnik miasta *(horodniczy)* ich pilnuje. Nie wiem co z pierwszych narad wypadło, lecz po paru miesiącach przypatrywania się i zastanawiań orzeczono, żeśmy zapewne Ormianie, którzy mieszkają w górach Kaukazu, nie uznając władzy Rosyi nad sobą.

Ten drobny szczegół wskazuje, iż ludność mieściny najzupełniej była patryarchalną, nie wychylala się poza węgły swych domostw, nic nie czytała i o stosunkach świata tyle tylko wiedziała, że Bóg stworzył ich naród na to, aby innymi ludy władał. Wśród tak patryarchalnych stosunków mieszkaliśmy trzy miesiące. Ludność patrzyła na nas z początku z ciekawością, później obojętnie; nieprzyjazną wcale nie była.

Tłum w owem państwie, przynajmniej za dni ówczesnego wygnania, dalekim był od wszelkiej nienawiści plemiennej, nie znał jej wcale. Pokolenia

tamtoczesne pamiętały panowanie cesarza Mikołaja I, który, acz srogi, działał środkami legalnymi, używanymi przez władzę monarchiczną; wzniecanie nienawiści plemion lub klas społecznych, szukanie sprzymierzeńców wśród brutalnych instynktów mas, bodaj dla celów państwowych, uważał za rzecz niegodną monarchy, dlatego też wszelkie podobne nienawiści potępiane przezeń były surowo. Jeśli za dni i za panowań późniejszych zobaczono co innego, były to roboty sztuczne, owoce propagandy niższych organów administracyjnych, szowinizm naprędce wytworzony u góry, który rozniecała, kolportowała, utrwalała prasa, zdobywająca w latach późniejszych coraz to większą wziętość, coraz zupełniejsze uznanie.

Władze w Lebiedianiu nie czyniły nam wprawdzie szykan żadnych, ku czemu może pola brakowało, lecz z pewnego rodzaju nieufnością na nas patrzano. Dość byłoby chociaż cienia czegoś, co mogłoby usprawiedliwić nieufność, a czynionoby zapewne szykany. W postępowaniu naszem najbardziej podejrzliwe oko nic upatrzeć nie mogło. Zamknięci w mieszkaniu, nie wychylaliśmy się zeń prawie zupełnie, chyba wieczorem, na krótką przechadzkę. Stosunków, znajomości wcale nie mieliśmy i nie szukaliśmy ich; zresztą szukanie byłoby bezowocnem. Miasteczko, oprócz kilku rodzin urzędniczych, kilku domów zamożniejszych nieco kupców, ludzi może dobrych, ale bez wykształcenia, wcale nie posiadało innego towarzystwa. Postanowiliśmy zatem poprzestać na żadnem: stroniliśmy zarówno od ludzi tamecznych, jak i od światła dziennego,

gdyż zaledwie po zachodzie słońca wychylaliśmy się z mieszkania na przechadzkę po cichych, bezludnych ulicach miasteczka, lub za jego rogatki, aby chociaż na kilkanaście minut odetchnąć powietrzem szerszych przestworzy.

Ale te zamiejskie, bodaj chwilowe wycieczki, chociaż dla zdrowia potrzebne, czynić należało bardzo oględnie: mogły się bowiem władzom niepodobać, które nie miały prawa pozwalać na wychodzenie poza obręb miasteczka.

Jakaś uroczystość rodzinna p. horodniczego wyciągnęła nas niespodzianie z samotni: nasz główny stróż żądał naszej obecności na wielkiej u niego recepcyi. Uchylić się od tego było prawie niepodobieństwem—byliśmy przeto; figurując bardziej jako jeńcy i trofea, urozmaicające ucztę, niż jako biesiadnicy.

Od czasu owej recepcyi znowu nie wychylaliśmy się wcale z naszego domostwa, skracając czas wśród nadzwyczajnej samotności nie tyle książką, bo maluczki zapas książek prędko się wyczerpał, jak pracą około ogródka kwiatowego, założonego na dziedzińcu, i obszerną korespondencyą z różnemi koloniami wygnańczemi: z Wiatką, Wołogdą, Permą, Archangielskiem, Kołą [1]). Za pomocą

---

[1]) W Kole, na kończynach lądu północnego, było wówczas rzucone młodziutkie, kilkunastoletnie chłopię, z ławy szkolnej wileńskiej porwane, nazwiskiem Norejko. Nieznane mi bliżej okoliczności, które mu tak srogi los zgotowały, ani też wiem, co z nim później się stało. Zapewne powiększył szeregi zatraconych.

listów mogliśmy wytworzyć dla siebie świat niewidzialny, bardziej bliski usposobieniom naszym niż ten, co nas otaczał.

Tak ubiegał trzeci miesiąc naszej samotności w stepowej mieścinie, a dziesiąty wygnania. Nic się nie zmieniało w naszej pozycyi i żadna zapowiedź zmian nie nadchodziła. Owszem, niektóre drobne wieści w gazetach świadczyły, że wrzenie umysłów w Kongresówce, nawet wobec reform zapowiedzianych i rozpoczynających funkcyonować, nie ustaje, a co gorsza, wzmaga się. Strzał do w. ks. Konstantego zdawał się wskazywać, iż rozbrat czyniono z tak zwaną przez Rosyan „moralną rewolucyą", która wywołała szereg ustępstw korzystnych dla kraju, wchodzono zaś na pochyłość ciągnącą ku przepaści.

Przedstawiały się nam tak te rzeczy z głębi stepów Kipczaku. Przeczuwaliśmy, iż kilka miesięcy, które upłynęły od wyjazdu z kraju, stanowczą zmianę wprowadziły w usposobieniach. Przeczucia wkrótce ziściły się. Stawaliśmy w przededniu wielkich katastrof.

Przewidując zmianę usposobień w kraju, nie przewidywaliśmy wszakże prędkiej katastrofy. Mniemaliśmy, iż rozpocznie się w Królestwie spokojny okres rozwoju życia autonomicznego na podstawie ustępstw zrobionych, których zakres mógł się nawet rozszerzyć, nasze zaś, wschodnie prowincye zaboru, zdołają również, bodaj żółwim krokiem, posuwać się na stanowisku utrzymania tego, co jeszcze pozostawało: utrzymując, ocalając od ostatecznej ruiny to, co pozostało, pracowałoby się dla wzrostu, dla rozwoju, dla przyszłości. Zapewne i

rząd w owych chwilach, kończących lato 1862 r., nie przypuszczał katastrofy zbliżającej się, gdyż wygnańcy, osadzeni w różnych punktach w głębi Rosyi, wracali do kraju, bodaj częściowo; nietylko ci co pochodzili z Królestwa, ale i mieszkańcy ze wschodnich prowincyj zaboru. O ile z listów widzieliśmy, wiacka kolonia w pewnej, znacznej nawet części rozproszyła się: jedni wrócili do domów (jak bracia Morzyccy), innych (jak Ksawerego Korewę) przeniesiono do dalszych miejscowości.

Ksawery, przeniesiony do Astrachańskiej gubernii, osadzony na wysepce Kaspijskiego morza, osamotniony, chory, pisywał dziwnie smutne listy, błagając, abyśmy w razie powrotu do kraju, jechali przez Wilno i prosili jego matkę o wydobycie syna z niewoli.

. . . .

Powrót nasz do kraju wydawał się przedwczesnem marzeniem — nie marzyliśmy więc o nim, nie chcąc się napróżno łudzić; gdy nagle zaszły zmiany nieprzewidziane w naszej pozycyi.

Ktoś z bliskich a życzliwych nam osób, mieszkając w Petersburgu, i świadomym będąc czyim wpływom gubernator tambowski ulega, z nadzwyczajną zręcznością i szybkością przeprowadził sprawę naszego powrotu ze stepowej samotni do gubernialnego miasta.

Wróciliśmy więc znowu do Tambowa, około połowy sierpnia, i gdy przyszliśmy powitać pana Danzasa, miał biedaczysko minę bardzo zakłopotaną; nie wiedział bowiem, kiedy wydał rozkaz wycofania nas z powiatowej mieściny. Starał się mój

brat jakimś banalnym komplementem wyprowadzić go z kłopotu, co mu się dobrze powiodło.

W parę tygodni potem, najniespodzianiej przybył z kraju telegram, donoszący o naszem uwolnieniu. Poprzedziła owa wiadomość o dni kilka czy też kilkanaście urzędowy rozkaz uwolnienia nas. Tenże sam książę Wasylczykow, który skazał nas na wygnanie przed rokiem, uwalniał obecnie, korzystając z władzy swej nieograniczonej, jaką w trzech prowincyach południowych sprawował. Czynu tego sprawiedliwości dokonał ów wielkorządca — należący do dawnych, lepszych, zacniejszych pokoleń swego narodu — na dni niewiele przed zgonem.

. . . .

Ze smutkiem żegnaliśmy towarzyszy wygnania, lecz oni pogodnie w przyszłość patrzali; każdy z nich posiadał większy lub mniejszy promyk nadziei powrotu, również prędkiego. Promyki te wkrótce miały zagasnąć, wobec wielkiej łuny klęsk, co po paru miesiącach rozgorzała nad krajem, niemniej jednak w chwili, gdy Tambow opuszczaliśmy, jeszcze one nie gasły. Nie dziwię się temu, wszakże i my nie spodziewaliśmy się, że ów nasz powrót, to tylko krótka a ciężka przerwa dalszej niewoli, lub dalszych klęsk.

W Tambowie zostawało wtedy trzech tylko współwygnańców: Bereżecki, Fort. Nowicki i Adolf Pilchowski. Pierwszy prowadził pilnie studya lingwistyczne, uczył się po hiszpańsku; drugi zapełniał swój czas nietylko praktyką lekarską, która wówczas obszerną nie była, lecz pisał; przygotowywał bowiem materyał do opisu Wołynia, uzupełniał

swe nader ciekawe pod względem statystycznym korespondencye do *Gazety Polskiej,* noszące tytuł „Z Zabuża“. Badacz ówczesnego stanu Wołynia, znajdzie tam materyał, o który dziś napróżnoby pytał gdzieindziej [1]).

Pilchowski, starzec, narrator wymowny przeszłości, którego opowiadanie o O. Marcinie, kapucynie, wyżej tu przytoczyliśmy, muzyką skracał dni samotnej niewoli. Malutki, bardzo harmonijny jednak, melodykon przywiózł on z sobą na wygnanie i nie rozstawał się z nim aż do końca swej tułaczki. Żadnego z tych zacnych ludzi nie spotkaliśmy nigdy potem, a dziś już oddawna wszyscy oni w mogile.

Spiesznym był nasz wyjazd z Tambowa a jeszcze spieszniejszą podróż długa, z powrotem do kraju, którą późną jesienią 1862 r. odbywaliśmy.

Domowe sprawy tak się złożyły, iż nasz gościniec szedł przez Moskwę, Petersburg, a stamtąd na Inflanty do Wilna, na Lidę, Nowogródek, Pińsk i wreszcie Żytomierz, gdzie wedle urzędowego polecenia, prezentowaliśmy się p. gubernatorowi. Trakt to był długi, nużący, zwłaszcza przy końcu podróży, bo jesień już się na dobre rozgospodarzyła.

---

1) Hiszpańskie studya Al. Bereżeckiego nie poszły na marne; późniejszym nieco ich owocem były jego przekłady poetów hiszpańskich, umieszczane w ułamkach w pierwszych rocznikach *Kłosów.*—Fort. Nowicki, nie mogąc poza krajem opracować historyczno-statystycznego opisu Wołynia, przestał jedynie na wydaniu małej jego cząstki, drukowanej w Dreznie w 1870 r.

W Moskwie spotkaliśmy się z pierwszą możnością wysłuchania Mszy św., po dziewięciomiesięcznej przerwie, i złożenia podzięki Bogu, u stóp ołtarza, za niespodziewaną redempcyę. Pracy redempcyjnej podjęła się i szczęśliwie jej dokonała, z własnego natchnienia, Ks. Zeneida z Hołyńskich Lubomirska. Praca padła wprawdzie na uczciwy grunt charakteru księcia Wasylczykowa, ale nie przyniosłaby owoców, gdyby nie zabiegi dostojnej naszej rodaczki...

W Petersburgu, mając audencyę u p. ministra oświaty — a teka wówczas chwilowo spoczywała w ręku bar. Nikolai — przekonałem się, że sfery kierujące sprawami państwa biegłemi były jeszcze w geografii naszej historycznej.

Nie przeczuwając wcale, iż na horyzoncie ukazuje się zapowiedź wielkiego kataklizmu, marzyłem o pracy pedagogicznej, która mi się więcej uśmiechała niż życie ziemianina; zapytałem więc p. ministra, czy mógłbym ponownie otrzymać posadę nauczyciela polskiego języka i literatury w jednem z gimnazyów *w kraju*, po znanem mu dobrze wyparciu mnie z takiegoż stanowiska w Równem.—Nie widzę przeszkód— odparł — byle nie w okręgu naukowym kijowskim, ale w innym, dlaczegóżby nie, np. w petersburskim.— Ekscelencyo, mówię o *kraju* — dorzuciłem z nieśmiałością. — Zapominasz pan — rzekł minister z naciskiem — że gubernia witebska zalicza się do okręgu nauk. petersburskiego. Będąc w Dynaburgu, będziesz pan u siebie... — Zamilkłem zdumiony... Pamiętałem o tem, lecz wcale nie przypuszczałem, aby wśród

sfer rządzących pamiętano tak dobrze o naszych Inflantach.

. . . .

W Wilnie skorzystałem z możności torowania drogi do uwolnienia Ksawerego Korewy... Byłem u jego matki, przedstawiłem jej, jak opłakanym jest los syna; prosiłem, aby swymi stosunkami u wielkorządcy Nazimowa wyrobiła Ksaweremu przynajmniej możność ukończenia kursów uniwersyteckich w Kazaniu, i wyrwała go z owej wysepki na Kaspijskiem morzu...

Próżnemi były me przedstawienia...

Bardzo krótki pobyt nasz w Wilnie, zaledwie kilkodniowy, wywarł na mnie nader silne wrażenie... Po zwiedzeniu pamiątek historycznych miasta, po wpatrzeniu się ogólnem w oblicze starej stolicy Jagiellonów, które posiadało jeszcze wówczas rysy głęboko wyrzeźbione, nadzwyczaj charakteryczne, rzuciliśmy okiem na jednostki, grupy ludzi znanych wtedy i cenionych... Po dwóch, czy trzech, dniach już zauważaliśmy, iż uwydatniają się dwa koła, różne liczbą i powagą wśród społeczeństwa: umiarkowani tworzyli większość... Tak przynajmniej na pierwszy rzut oka dla przybyszów miasto się przedstawiało... Nie przewidywano, iż wkrótce, gdy padną hasła z nad Wisły znajdą one wnet tyle echa nad Wilią i Niemnem...

Droga nasza dalsza szybkiego powrotu do okolic rodzinnych prowadziła przez Lidę, Nieśwież, Pińsk, przez Polesie, w kierunku Żytomierza...

. . . .

W Żytomierzu, stosownie do woli władz, jako ziemianie wołyńscy, prezentowaliśmy się p. gubernatorowi, księciu Druckiemu-Sokolińskiemu. Przyjął nas uprzejmie i rzekł na powitanie:

— Nie dziwcie się swemu wygnaniu: gdy miasto w płomieniach, niszczą się nieraz domy te nawet, co daleko stoją od ognia. Burzyliśmy dachy płonące i niepłonące; wśród popłochu niepodobna dokładnie rozróżniać, który dom gore...

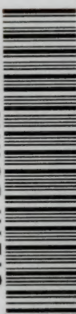
Zarówno mówiący, jak i ci do których mówił, ponieważ wracali dopiero z długiej podróży, przekonani byli, iż już cisza zupełna zaległa kraj cały, nie przeczuwali, iż burze a ognie nowe, ognie klęsk, straszniejsze od wszystkiego co dotąd widziano, stoją tuż u progu domostw naszych, kołaczą do drzwi.

Zanim sześćdziesiąt dni upłynęło od chwili, o której mówię, rozpoczął się okres dni nowych, krwawych a strasznych.

Spadły one tak niespodzianie, jak niegdyś owa Noc Listopadowa na ojców naszych. Bóg tak chciał... *Sit nomen Domini benedictum...*

. . . .




UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 11 13 11 10 012 7